

Reflexio

Tom Sapletta

* * *

Frankfurt, 2025

CZĘŚĆ I: SPOTKANIA (2025)

Rozdział 1: Projekt

Sala konferencyjna w pełnym słońcu oślepiała bielą ścian. Krakowski czerwiec przyniósł falę upałów, której nie mogła poskromić nawet najnowocześniejsza klimatyzacja w świeżo odnowionym budynku Międzynarodowego Centrum Kultury. Za oknami wieże Kościoła Mariackiego odbijały światło, a na Rynku Głównym turyści z całego świata szukali cienia pod parasolami ogródków kawiarnianych.

Marta Stawska stała przy oknie, obracając w dłoniach pusty kubek po kawie. Czterdzieści dwa lata, a wciąż odczuwała tremę przed wystąpieniami publicznymi. Jako psycholog kliniczny powinna już dawno przepracować tego typu lęki, ale jak to często bywa, szewc bez butów chodzi.

Przeczesała palcami swoje krótkie, ciemne włosy, w których od kilku lat mnożyły się srebrne nitki. Miała jeszcze piętnaście minut, zanim pojawią się pierwsi uczestnicy projektu. "Europa po transformacji: osobiste historie" – ambicja dyrektora Centrum, by w trzydziestą szóstą rocznicę wyborów czerwcowych 1989 roku stworzyć wielowymiarowy, wielonarodowy obraz przemian w Europie Środkowo-Wschodniej.

Szczęk otwieranych drzwi wyrwał ją z zamyślenia.

– Przepraszam, myślałem, że jestem za wcześnie – powiedział po angielsku wysoki mężczyzna o jasnych włosach i nordyckich rysach. Uśmiechnął się przepraszająco, ale nie wycofał. Zamiast tego wyciągnął dłoń. – Klaus Wagner. Z Berlina.

– Marta Stawska – odpowiedziała, odwzajemniając uścisk. – Konsultantka psychologiczna projektu.

Klaus kiwnął głową, jakby potwierdzał informację, którą już posiadał. Był idealnie wyprasowany – zarówno jego jasnoszara marynarka, jak i sposób mówienia.

– Czytałem pani artykuł o transgeneracyjnym przekazie traum w Journal of European Psychology. Imponujące badania.

Marta uniosła brwi. Jej artykuł z 2023 roku był dość specjalistyczny i raczej nie trafiał do głównego nurtu. Wagner najwyraźniej odrobił pracę domową.

– Dziękuję. Specjalizuję się w traumach związanych z przemianami społecznymi. Stąd moja obecność w tym projekcie.

– To oczywiste – odparł Klaus z tą samą, niemal matematyczną precyzją. – Jako inwestor w regionie często spotykam się z... powiedzmy... kulturowymi

pozostałościami transformacji. To fascynujące studium przypadku.

"Studium przypadku" – pomyślała Marta. Typowe. Dla zachodnich ekspertów Europa Wschodnia zawsze była laboratorium, nigdy partnerem.

Drzwi ponownie się otworzyły, tym razem z impetem. Do sali wpadła wysoka, elegancka kobieta w wyrazistej, czerwonej sukience.

– Amelia Korczyńska – przedstawiła się głośno, podając rękę najpierw Marcie, potem Klausowi. – Mam nadzieję, że się nie spóźniłam? Korki na Alejach są okropne.

– Jest pani dokładnie na czas – uspokoiła ją Marta.

Amelia odetchnęła z ulgą i odgarnęła z twarzy kosmyk platynowych włosów. Marta rozpoznała ją natychmiast – właścicielka prestiżowej galerii "Transformacja" na krakowskim Kazimierzu, córka znanego w latach 80. działacza partyjnego, który po 1989 roku błyskawicznie przeobraził się w skutecznego biznesmena. Jej obecność nie była przypadkowa – galeria Amelii miała być głównym miejscem prezentacji wizualnej części projektu.

– Chyba powinienam przedstawić się jako reprezentantka strony polskiej – uśmiechnęła się Amelia. – Chociaż dziś wszyscy jesteśmy Europejczykami, prawda?

Klaus skinął głową z uprzejmym uśmiechem, ale w jego oczach Marta dostrzegła cień powątpiewania. Amelia tego nie zauważyła, zajęta wyciąganiem z torebki eleganckiego notatnika oprawionego w skórę.

Do sali zaczęli wchodzić kolejni uczestnicy. Jako następny pojawił się François Lefevre, francuski wykładowca historii współczesnej z Sorbony, który miał pełnić funkcję koordynatora naukowego. Szczupły, z krótko przystryżoną brodą, emanował akademickim spokojem i nonszalancją, której Marta zawsze zazdrościła francuskim intelektualistom.

– Mademoiselle Stawska – przywitał Martę z lekkim ukłonem, po czym przeszedł na niemal perfekcyjny polski. – Cieszę się, że będziemy współpracować. Pani perspektywa psychologiczna będzie nieoceniona.

Zanim Marta zdążyła odpowiedzieć, do sali wszedł kolejny mężczyzna – średniego wzrostu, o ciemnych włosach i intensywnym spojrzeniu. Na jego widok François wyraźnie się ożywił.

– Viktor! – zawołał, przechodząc na angielski. – Nie widziałem cię od konferencji w Pradze!

Viktor Kovalenko uściśnął dłoń Francuza, po czym przedstawił się pozostałym. Jego angielski był płynny, ale z wyraźnym wschodnim akcentem.

– Viktor jest jednym z najzdolniejszych architektów w Kijowie – wyjaśnił François. – Jego projekt odbudowy dzielnic zniszczonych podczas wojny zdobył międzynarodowe uznanie.

Viktor machnął ręką, jakby chciał umniejszyć swoje zasługi, ale w jego oczach pojawiła się iskra dumy.

– Po prostu robię, co mogę, dla mojego miasta – powiedział. – Wciąż jest wiele do zrobienia.

Marta poczuła ukłucie zaciekawienia. Była w Kijowie dwa lata temu, prowadząc warsztaty dla psychologów pracujących z ofiarami wojny. Miasto fascynowało ją swoją odpornością i determinacją. Zastanawiała się, czy Viktor należał do tych, którzy zostali przez cały konflikt, czy może, jak wielu, wrócił z emigracji, by pomagać w odbudowie.

Następne weszły dwie kobiety – jedna z nich, drobna brunetka o delikatnych rysach, przedstawiła się jako Ivana Dimitrova, lekarka z Bułgarii, obecnie pracująca w krakowskim szpitalu. Druga, wyższa, o chłodnym spojrzeniu szarych oczu, była Olgą Sorokiną, tłumaczką z rosyjskiego i ukraińskiego.

– Jestem tu jako tłumaczka, ale dyrektor poprosił mnie też o udział merytoryczny – wyjaśniła Olga, a jej głos brzmiał, jakby przepraszała za swoją obecność.

Marta zauważyła, jak Viktor dyskretnie się usztywnia na dźwięk rosyjskiego akcentu. Olga musiała to również wyczuć, bo szybko dodała:

– Mieszkam w Polsce od dziesięciu lat. Wyjechałam z Rosji w 2015.

Viktor kiwnął głową, ale nie skomentował. Jego twarz pozostała nieprzenikniona.

Ostatni wszedł Stefan Wilk – znany krakowski przedsiębiorca, właściciel sieci księgarni i wydawnictwa, które miało wydać materiały z projektu. Marta znała go z mediów – zawsze rzeczowy, zawsze bezpośredni, czasem kontrowersyjny w swoich wypowiedziach. Był jednym z nielicznych biznesmenów, który otwarcie mówił o ciemnych stronach polskiej transformacji.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, rozglądając się po sali. – Mam nadzieję, że nie przegapiłem nic istotnego.

– Właśnie mieliśmy zacząć – odpowiedziała Marta, wskazując na puste jeszcze krzesła ustawione w okrąg.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, Marta poczuła, jak jej początkowy niepokój ustępuje miejsca profesjonalnej koncentracji. Przez lata pracy nauczyła się, że grupy mają swoją dynamikę, swoje niewidzialne prądy i napięcia. Ta grupa nie była wyjątkiem – już teraz wyczuwała linie potencjalnych konfliktów i sojuszy.

– Witam państwa w Krakowie i w naszym projekcie – zaczęła, spoglądając po kolei na każdego z uczestników. – Przez najbliższy rok będziemy wspólnie pracować nad dokumentacją osobistych doświadczeń transformacji w różnych krajach Europy. Jak widzicie, mamy tu przedstawicieli Polski, Ukrainy, Francji, Niemiec, Bułgarii i Rosji. Każde z was wnosi inną perspektywę, inne doświadczenia i inną pamięć o wydarzeniach, które zmieniły oblicze Europy.

François skinął głową z aprobatą. Klaus wyprostował się na krześle. Stefan przyglądał się wszystkim badawczo.

– Zanim przejdziemy do szczegółów projektu – kontynuowała Marta – chciałabym, żebyśmy lepiej się poznali. Proponuję, by każdy z was krótko opowiedział, dlaczego zdecydował się wziąć udział w tym przedsięwzięciu i jakie osobiste doświadczenia związane z transformacją po 1989 roku uważa za najważniejsze.

François jako pierwszy podniósł rękę.

– Z przyjemnością zacznę – powiedział. – Jako historyk, ale też jako Europejczyk, uważam rok 1989 za kluczowy moment w dziejach naszego kontynentu. Miałem wtedy trzynaście lat i pamiętam, jak oglądałem w telewizji upadek Muru Berlińskiego. Dla mnie, chłopca z paryskiego przedmieścia, to było jak scena z filmu – odległe i fascynujące jednocześnie. Dopiero później, studiując historię i odwiedzając Europę Wschodnią, zrozumiałem, jak fundamentalne były te zmiany.

– A co pana najbardziej zaskoczyło w Europie Wschodniej? – zapytała Amelia z uśmiechem, który Marta określiłaby jako nieco kokieteryjny.

François zastanowił się przez chwilę.

– Paradoksalnie, różnorodność – odpowiedział. – Na Zachodzie mamy tendencję do postrzegania krajów postkomunistycznych jako dość jednolitego bloku. Tymczasem Polska, Czechy, Węgry, Rumunia – każdy kraj przeszedł transformację na swój sposób, z innymi sukcesami i problemami.

– I z innym bagażem przeszłości – wtrącił Stefan. – Dla mnie rok 1989 to przede wszystkim szok gospodarczy. Miałem dwanaście lat, gdy mój ojciec stracił pracę w państwowym przedsiębiorstwie, a potem otworzył mały sklep. Pamiętam strach i ekscytację w jego oczach. "To jest nasz czas, Stefanek" – mówił. W pewnym sensie miał rację. Zdążył zobaczyć, jak jego mały sklep przekształca się w sieć, zanim zmarł na zawał w 2007 roku.

Marta zauważyła, jak Viktor pochyla się nieco do przodu, z zainteresowaniem słuchając Stefana.

– U nas w Ukrainie było inaczej – powiedział, gdy Stefan skończył. – Rok 1989 był początkiem, ale nie końcem. Prawdziwa niepodległość przyszła dopiero po rozpadzie Związku Radzieckiego w 1991. A potem... cóż, to była długa droga. Pomarańczowa Rewolucja w 2004, Majdan w 2014, wojny...

Viktor urwał, jakby zawahał się, czy powinien kontynuować. W sali zapadła cisza.

– W każdym razie – podjął po chwili – dla mojego pokolenia transformacja to niekończący się proces. Zawsze jest coś, o co trzeba walczyć.

Marta zauważyła, jak Olga lekko kiwa głową, jakby w geście zrozumienia.

– W Rosji też mieliśmy nadzieję – powiedziała cicho. – Na początku lat 90. wszystko wydawało się możliwe. Pamiętam mojego ojca, jak czytał niezależne gazety, jak dyskutował z przyjaciółmi o demokracji. A potem przyszły lata Jelcyna, chaos gospodarczy, oligarchowie... i Putin. – Ostatnie słowo wypowiedziała z wyraźną goryczą. – Dlatego wyjechałam. Nie mogłam już oddychać w kraju, który odwrócił się od marzeń o wolności.

Viktor spojrzał na nią z wyrazem, którego Marta nie potrafiła odczytać – mieszanką niedowierzania i może... zrozumienia?

Klaus odchrząknął, najwyraźniej uznając, że czas przerwać narastające napięcie.

– Z niemieckiej perspektywy rok 1989 to przede wszystkim zjednoczenie – powiedział rzeczowo. – Byłem wtedy dzieckiem, dorastałem już w zjednoczonych Niemczech. Ale pracując w finansach, szczególnie inwestując w Europie Wschodniej, widzę, jak bardzo te historyczne wydarzenia ukształtowały obecną ekonomiczną mapę kontynentu.

– A dla pani, pani Dimitrova? – zapytała Marta, zwracając się do milczącej dotąd Bułgarki.

Ivana Dimitrova wyprostowała się na krześle. Jej głos był cichy, ale pewny.

– W Bułgarii transformacja była... trudna – powiedziała. – Mój ojciec był lekarzem, tak jak ja teraz. Zmarł w 1991 roku, w wieku czterdziestu lat. Zawał. Lekarze mówili, że to stres. – Przerwała, jakby zastanawiając się, ile może powiedzieć. – Zostałyśmy z matką same. Byłam jedynaczką. Lata 90. pamiętam jako czas nieustannego liczenia pieniędzy, martwienia się o jutro. Dlatego zostałam lekarką, jak ojciec. I dlatego wyjechałam do Polski w 2015 roku. Tu przynajmniej mogę godnie żyć z mojej pracy.

Marta skinęła głową z uznaniem. Szanowała ludzi, którzy potrafili tak otwarcie mówić o trudnych doświadczeniach.

- A pani, pani Korczyńska? - zapytała, zwracając się do Amelii, która przez cały czas gorliwie notowała w swoim eleganckim notatniku.

Amelia podniosła głowę, uśmiechając się szeroko.

- Moja historia jest dość... specyficzna - odpowiedziała. - Mój ojciec był wysokim funkcjonariuszem partyjnym przed 1989 rokiem. - Rozejrzała się po sali, jakby sprawdzając reakcje. - Wiem, co teraz myślicie. Ale on zawsze był pragmatykiem, nie ideologiem. Gdy system się zmieniał, on zmienił się razem z nim. Założył firmę, potem kolejną. W pewnym sensie byłem dzieckiem sukcesu transformacji, przynajmniej materialnie. Ale psychologicznie... - Zawahała się. - To skomplikowane. Dorastanie jako córka kogoś, kto dla jednych był symbolem starego systemu, a dla innych przykładem udanej adaptacji.

François patrzył na nią z fascynacją. Marta zastanawiała się, czy to zawodowe zainteresowanie historyka, czy może coś więcej.

- A pani, doktor Stawska? - zapytał Klaus. - Jaka jest pani historia?

Marta nie spodziewała się tego pytania, chociaż powinna była. Wzięła głęboki oddech.

- Mój ojciec był opozycjonistą - powiedziała. - Został aresztowany podczas stanu wojennego w 1981 roku, kiedy miałam osiem lat. Widziałam, jak go zabierali. To jest jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. Wrócił po roku, ale... zmieniony. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nie w sposób, w jaki powinniśmy. W 1989 roku był jednym z organizatorów wyborów czerwcowych w naszym mieście. Pamiętam jego euforię, jego nadzieję. Zmarł w 2001 roku, na raka. Zdążył zobaczyć Polskę w NATO, ale nie w Unii Europejskiej. - Przerwała, czując, że wchodzi na zbyt osobisty teren. - W każdym razie, to doświadczenie wpłynęło na mój wybór zawodu. Studiowałam psychologię, by zrozumieć, jak trauma historyczna kształtuje jednostki i społeczeństwa.

W sali znów zapadła cisza, tym razem bardziej refleksyjna niż napięta. Marta czuła, że już ta pierwsza wymiana stworzyła między nimi pewną więź - kruchą, ale rzeczywistą.

- Myślę, że to dobry początek - powiedziała w końcu. - Teraz chciałabym przedstawić strukturę naszego projektu. W ciągu najbliższego roku będziemy pracować nad trzema głównymi elementami: publikacją naukową pod redakcją profesora Lefevre'a, wystawą w galerii pani Korczyńskiej oraz programem edukacyjnym dla szkół i uniwersytetów.

Gdy Marta kontynuowała prezentację, czuła na sobie wzrok Viktora. Intensywny, badawczy. Miała wrażenie, że ukraiński architekt widzi w niej coś więcej niż tylko prowadzącą projekt psycholog. Może rozpoznał w niej podobne doświadczenie – dziecka naznaczonego wielkimi wydarzeniami historycznymi.

Za oknami słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, rzucając długie cienie na bruk Rynku Głównego. W sali konferencyjnej osiem osób z różnych krajów, z różnymi historiami, rozpoczynało projekt, który miał połączyć ich doświadczenia w jedną, wielowymiarową narrację o Europie po transformacji.

Żadne z nich nie podejrzewało jeszcze, jak bardzo ten projekt zmieni ich osobiste historie.

Rozdział 2: Krakowianie i przybysze

Galeria "Transformacja" mieściła się w odrestaurowanej kamienicy na krakowskim Kazimierzu, w samym sercu dawnej dzielnicy żydowskiej. Amelia Korczyńska kupiła ten budynek w 2018 roku, gdy ceny nieruchomości w tej części miasta osiągnęły apogeum. Był to jednocześnie udany biznes i spełnienie jej artystycznych ambicji – stworzyć przestrzeń, która łączyłaby historię z nowoczesnością, polską tradycję z europejskimi trendami.

Tego wieczoru, dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu projektu, galeria wypełniła się zaproszonymi gośćmi – krytykami sztuki, artystami, przedstawicielami miejskich instytucji kultury i sponsorami. Wystawa "Europa 2025: Mity i rzeczywistość" miała być pierwszym publicznym wydarzeniem związanym z ich projektem.

Amelia przemykała między gośćmi w sukni z czarnego jedwabiu, która kontrastowała z jej jasnymi włosami. Dla wszystkich miała uśmiech, komplement, pytanie o zdrowie dzieci czy opinię na temat najnowszej wystawy w konkurencyjnej galerii. Wszystko to przychodziło jej z naturalną łatwością kobiety, która dorastała wśród ludzi władzy – najpierw politycznej, potem ekonomicznej.

– Amelia, jak zwykle czarująca – zagadnął ją starszy mężczyzna z kieliszkiem wina w dłoni. Poznała go natychmiast – profesor Nowicki, historyk sztuki, jeden z tych, których opinię szanowała. – Ta nowa wystawa to odważny krok.

– Myślisz, że za odważny, Andrzeju? – zapytała, odrobinę kokieteryjnie, ale z autentycznym zainteresowaniem jego opinią.

– Nie, przeciwnie – pokręcił głową. – Najwyższy czas, byśmy rozmawiali o transformacji bez tych wszystkich mitów. Zarówno czarnych, jak i różowych.

Amelia kiwnęła głową. To właśnie chciała usłyszeć. Wystawa, którą przygotowała, łączyła prace polskich, ukraińskich, węgierskich i czeskich artystów, którzy w różny sposób komentowali ostatnie trzydzieści sześć lat historii Europy Środkowej.

Przy wejściu do głównej sali wystawienniczej dostrzegła François Lefevre'a, który z zainteresowaniem studiował monumentalną instalację złożoną z dokumentów, fotografii i osobistych pamiątek, zatytułowaną "Co zabraliśmy ze sobą". Podeszła do niego, zadowolona, że przyszedł.

- Co sądzisz? - zapytała, podając mu kieliszek szampana.

François wziął kieliszek z wdzięcznością i upił łyk, zanim odpowiedział.

- To... poruszające - powiedział w końcu. - Szczególnie ten fragment. - Wskazał na część instalacji, gdzie za szkłem wystawiono kolekcję dziecięcych zabawek z lat 80. obok zdjęć tych samych dzieci jako dorosłych w 2025 roku. - Ta ciągłość i zmiana jednocześnie...

- Tak, to chyba kwintesencja transformacji - zgodziła się Amelia. - Pozostajemy tymi samymi ludźmi, a jednocześnie wszystko się zmienia.

François patrzył na nią z fascynacją, którą zauważyła już podczas pierwszego spotkania. Był przystojny w ten szczególny, francuski sposób - nie klasycznie piękny, ale interesujący, z charyzmą intelektualisty, która zawsze działała na nią silniej niż czysto fizyczna atrakcyjność.

- Muszę przyznać, że twoja galeria mnie zaskoczyła - powiedział François. - Spodziewałem się czegoś bardziej... komercyjnego.

Amelia uniósła brew.

- Bo jestem córką partyjnego dygnitarza, który został biznesmenem?

François zaśmiał się, nieco zakłopotany.

- Nie, nie to miałem na myśli. Po prostu... w Paryżu jest wiele galerii, które udają niezależne, ale tak naprawdę tylko powielają trendy. Tutaj czuję autentyczność.

Amelia przyjęła komplement skinieniem głowy, choć gdzieś w środku poczuła ukłucie. "Autentyczność" - słowo, które zawsze budziło w niej ambiwalentne uczucia. Czy była autentyczna? Z jednej strony prowadziła galerię sztuki współczesnej, promowała artystów, którzy kwestionowali społeczne normy i konwencje. Z drugiej - co niedzielę chodziła do kościoła, a pod poduszką trzymała różaniec po babci. Ale o tym François nie musiał wiedzieć. Przynajmniej nie teraz.

Na drugim końcu sali dostrzegła Stefana Wilka, który rozmawiał z Klausem Wagnerem. A raczej - spierał się, sądząc po ich gestach i wyrazie twarzy.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała do François. - Powinnam sprawdzić, czy wszyscy goście są zadowoleni.

François skinął głową, z rozbawieniem obserwując, jak Amelia rusza w stronę dwóch mężczyzn, którzy byli skrajnym przeciwieństwem w każdym aspekcie - od stylu ubierania (nieformalny, choć drogi sweter Stefana kontra perfekcyjnie skrojony garnitur Klausa), przez postawę (swobodna, nieco nonszalancka Stefana i wyprostowana, niemal wojskowa Klausa), po sposób gestykulacji (szeroka, ekspresyjna Stefana i oszczędna, precyzyjna Klausa).

- Panowie, mam nadzieję, że wystawa przypadła wam do gustu - wtrąciła się Amelia z profesjonalnym uśmiechem, stając między nimi.

Stefan odwrócił się do niej, wyraźnie zadowolony z możliwości przerwania dyskusji.

- Amelia, świetna robota - powiedział szczerze. - Szczególnie podoba mi się ta część o ekonomicznych konsekwencjach transformacji. Bardzo uczciwe podejście.

Klaus nie wyglądał na przekonanego.

- To interesująca wystawa, ale wydaje mi się nieco... jednostronna - powiedział z dyplomatyczną ostrożnością. - Szczególnie w sekcji o wpływie kapitału zagranicznego. Odnoszę wrażenie, że dominuje narracja o ekonomicznej kolonizacji.

Stefan prychnął.

- A czym to było, jak nie kolonizacją? - zapytał. - Zagraniczne korporacje wchodziły na rynek wschodni jak na tereny niczyje, kupując za grosze państwowe przedsiębiorstwa, wprowadzając własne zasady.

- Przynosiły też kapitał, know-how, standardy - odparł Klaus, cedząc słowa. - Bez tego Polska nie rozwijałaby się tak dynamicznie.

- "Standardy" - powtórzył Stefan, rysując w powietrzu cudzysłów. - Wiesz, co to oznaczało dla wielu ludzi? Utratę pracy, bo nagle okazywało się, że fabryka, w której pracowali przez dwadzieścia lat, jest nierentowna według "zachodnich standardów".

Amelia widziała, jak twarz Klausa tężeje. Wyczuwała, że ta dyskusja ma podtekst osobisty - Stefan, który dorastał jako syn drobnego przedsiębiorcy walczącego o przetrwanie na nowym, kapitalistycznym rynku, kontra Klaus, przedstawiciel zagranicznego kapitału, który w tamtym właśnie momencie historycznym zaczynał kształtować ekonomiczną rzeczywistość Europy Środkowej.

- Może zgodzimy się, że transformacja miała zarówno pozytywne, jak i negatywne strony? - zaproponowała dyplomatycznie. - I właśnie to stara się pokazać wystawa - złożoność tego procesu, różne perspektywy.

Klaus skinął głową, wyraźnie doceniając jej interwencję. Stefan wzruszył ramionami, ale i on odpuścił. Amelia mogła odetchnąć z ulgą - ostatnie, czego potrzebowała podczas otwarcia wystawy, to kłótnia między dwoma ważnymi uczestnikami projektu.

- Nie miałem okazji jeszcze wszystkiego obejrzeć - powiedział Klaus. - Szczególnie interesuje mnie część o Niemczech Wschodnich.

- Chodźmy, pokażę ci - zaproponował Stefan, ku zaskoczeniu Amelii. - Sam miałem okazję być w Berlinie krótko po zjednoczeniu. Ciekawe, czy nasze wspomnienia się pokrywają.

Amelia obserwowała, jak dwaj mężczyźni odchodzą razem w stronę wschodniej części galerii, gdzie mieściła się sekcja poświęcona zjednoczeniu Niemiec. Może wspólny projekt zbliży ludzi bardziej, niż się spodziewała.

Na drugim końcu sali dostrzegła Martę Stawską, która właśnie weszła do galerii. Marta rozglądała się niepewnie, jakby nie czuła się komfortowo wśród tłumu artystycznej elity Krakowa. Amelia ruszyła w jej kierunku.

- Marta, cieszę się, że dotarłaś - przywitała ją serdecznie. - Bałam się, że nie przyjdiesz.

- Przepraszam za spóźnienie - odpowiedziała Marta. - Miałam sesję terapeutyczną, która się przedłużyła.

Amelia zauważyła, że Marta ma na sobie prostą czarną sukienkę, prawdopodobnie jedyną elegancką rzecz w jej szafie. Przy jej szczupłej sylwetce i krótkich włosach wyglądała w niej androgyniczne, co dodawało jej specyficznego uroku.

- Pozwól, że pokażę ci wystawę - zaproponowała Amelia. - Szczególnie zależało mi na twojej opinii o sekcji poświęconej psychologicznym aspektom transformacji.

Marta skinęła głową i poszła za Amelią. Gdy przechodziły przez główną salę, wiele osób zatrzymywało Amelię, chcąc zamienić kilka słów, zrobić zdjęcie, wyrazić podziw dla wystawy. Za każdym razem Amelia przedstawiała Martę jako "znakomitą psycholog, specjalistkę od traumy transformacyjnej, współpracownicę przy projekcie". Marta uśmiechała się uprzejmie, ale Amelia zauważyła, że z każdą taką interakcją staje się coraz bardziej spięta.

- Przepraszam za to - powiedziała, gdy w końcu udało im się wyrwać z towarzyskiego kręgu. - Wernisaże są zawsze takie.

- Nie przepraszaaj - odpowiedziała Marta. - To twój świat, rozumiem to. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do takiej uwagi.

Dotarli do niewielkiej sali, gdzie prezentowano wywiady wideo z ludźmi, którzy doświadczyli transformacji jako dzieci. Podzielony na trzy ekrany obraz pokazywał równolegle rozmówców z Polski, Czech i Węgier, opowiadających o swoich wspomnieniach.

- To jest właśnie ta część, o której ci mówiłam - powiedziała Amelia. - Wykorzystałam metodologię, którą opisałaś w swoim artykule o pamięci pokoleniowej.

Marta podeszła bliżej ekranów, z zainteresowaniem przysłuchując się wypowiedziom.

- To zaskakujące, jak podobne są te doświadczenia - zauważyła. - "Pierwszy McDonald's", "Pierwsze džinsy z Zachodu", "Pierwszy wyjazd do Niemiec"... Te same kamienie milowe, mimo różnic kulturowych.

- A jednocześnie, gdy słuchasz uważniej, dostrzegasz różnice - odpowiedziała Amelia. - Polacy mówią o pragmatyzmie, o "wzięciu spraw w swoje ręce". Czesi o ironii i dystansie. Węgrzy o rozczarowaniu, które przyszło szybciej.

Marta przytaknęła, wyraźnie zaintrygowana. Amelia poczuła satysfakcję - zależało jej na uznaniu Marty, choć sama nie do końca rozumiała dlaczego. Może dlatego, że Marta reprezentowała to, czego Amelii zawsze brakowało - autentyczność, brak potrzeby przypodobania się, intelektualną uczciwość.

W tym momencie do sali wszedł Viktor Kovalenko. Ubrany w prostą czarną koszulę i ciemne džinsy wyglądał bardziej jak jeden z artystów niż uczestnik oficjalnego otwarcia.

- Viktor! - zawołała Amelia. - Nie byłam pewna, czy przyjdiesz.

- Przepraszam za spóźnienie - odpowiedział, podchodząc do nich. - Mieliśmy wideokonferencję z Kijowem dotyczącą nowego projektu. - Spojrzał na Martę i kiwnął głową na powitanie. - Doktor Stawska.

- Marta, proszę - odpowiedziała z lekkim uśmiechem.

Amelia zauważyła, jak spojrzenie Viktora zatrzymuje się na Marcie odrobinę dłużej, niż wymagała tego zwykła uprzejmość. Ciekawe.

- Właśnie oglądałyśmy sekcję o pamięci pokoleniowej - wyjaśniła Amelia. - Co myślisz o włączeniu podobnych świadectw z Ukrainy?

Viktor zmarszczył brwi, patrząc na ekrany.

- To skomplikowane - powiedział po chwili. - Dla Ukrainy rok 1989 to nie był punkt zwrotny. Prawdziwa transformacja zaczęła się po 1991 roku, a potem... - Zawahał się. - Potem nasza droga była inna. Pomarańczowa Rewolucja, Majdan, wojna... - Przerwał, jakby nie chcąc zagłębiać się w bolesne tematy. - Ale tak, możemy przygotować podobne materiały. Z zastrzeżeniem, że nasza transformacja wciąż trwa.

Marta przytaknęła ze zrozumieniem.

- To bardzo ważna perspektywa - powiedziała. - Pokazuje, że nie wszystkie kraje postsowieckie miały tę samą drogę. Polska, Czechy, Węgry weszły do Unii Europejskiej już w 2004 roku. Dla Ukrainy ta droga była dłuższa i trudniejsza.

- I wciąż niezakończona - dodał Viktor z nutą gorzkości.

Zapadła chwila ciszy, którą przerwało wejście Ivany Dimitrovej i Olgi Sorokiny. Obie kobiety zatrzymały się w progu, jakby niepewne, czy są we właściwym miejscu.

- Ivana, Olga, cieszę się, że was widzę - przywitała je Amelia. - Wejdźcie, właśnie rozmawiamy o różnych doświadczeniach transformacji.

Ivana uśmiechnęła się nieśmiało, ale Olga wydawała się spięta, szczególnie gdy zauważyła Viktora. Amelia wiedziała o napięciach między Ukrainą a Rosją, nawet jeśli Olga była emigrantką, która opuściła Rosję w proteście przeciwko systemowi Putina.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Ivana. - Miałam dyżur w szpitalu.

- Ja również przepraszam - dodała Olga. - Pracowałam nad tłumaczeniem.

Amelia zauważyła, że choć wszyscy mówili po angielsku, każde z nich robiło to z innym akcentem, nadając rozmowie międzynarodowy charakter. To właśnie podobało jej się w tym projekcie - wielość perspektyw, różnorodność doświadczeń.

- Przejdźmy do głównej sali - zaproponowała. - Za chwilę rozpocznie się oficjalne otwarcie wystawy. Dyrektor Centrum Kultury ma powiedzieć kilka słów, a potem ja przedstawię założenia projektu.

Gdy weszli do głównej sali, Amelia zauważyła, że François rozmawia z jednym z krakowskich krytyków sztuki, a Stefan i Klaus stoją razem przy instalacji poświęconej zjednoczeniu Niemiec, najwyraźniej wciąż zaangażowani w dyskusję, choć już mniej napiętą. Poczuła nagły przypływ dumy i zadowolenia - wszyscy uczestnicy projektu pojawili się na otwarciu, co dobrze wróżyło ich przyszłej współpracy.

- Pani Korczyńska - usłyszała za plecami głos dyrektora Centrum Kultury. - Jesteśmy gotowi do oficjalnego otwarcia.

Amelia skinęła głową i podążyła za nim w stronę małego podium ustawionego w centralnej części sali. Gdy stanęła przed zgromadzonymi gośćmi, poczuła znajome podekscytowanie - uwielbiała te momenty, gdy wszystkie oczy zwrócone były na nią, gdy miała okazję dzielić się swoją pasją, swoją wizją.

- Szanowni Państwo - zaczęła, gdy dyrektor oddał jej głos. - Witam na otwarciu wystawy "Europa 2025: Mity i rzeczywistość". Ta wystawa jest pierwszym publicznym wydarzeniem związanym z projektem "Europa po transformacji: osobiste historie", realizowanym przez Międzynarodowe Centrum Kultury we współpracy z moją galerią i wydawnictwem pana Stefana Wilka. - Wskazała na Stefana, który uniósł dłoń w geście powitania. - Naszym celem jest udokumentowanie i przedstawienie osobistych doświadczeń związanych z transformacją po 1989 roku w różnych krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Nie chcemy tworzyć jednej, spójnej narracji - bo taka nie istnieje. Zamiast tego pragniemy pokazać wielość perspektyw, różnorodność doświadczeń, złożoność procesu, który zmienił oblicze naszego kontynentu.

Z satysfakcją zauważyła, że goście słuchają z zainteresowaniem. Przy filarze po prawej stronie stał François, uśmiechając się do niej z uznaniem. Obok Stefana i Klausa dostrzegła Martę, która z uwagą śledziła jej przemówienie. Viktor, Ivana i Olga stali nieco z tyłu, ale również słuchali uważnie.

- Ta wystawa to próba zmierzenia się z mitami, które narosły wokół transformacji - kontynuowała. - Zarówno tymi optymistycznymi, jak i pesymistycznymi. Nie chcemy gloryfikować przeszłości ani jej demonizować. Chcemy pokazać, jak złożony był to proces i jak różnie był doświadczany przez ludzi w zależności od ich statusu społecznego, kraju pochodzenia, wieku. Bo transformacja to nie tylko zmiana systemu politycznego czy gospodarczego - to przede wszystkim zmiana w życiu konkretnych ludzi.

Amelia czuła, że jej słowa trafiają do słuchaczy. Zawsze miała talent do przemówień - potrafiła znaleźć równowagę między intelektualną treścią a emocjonalnym przekazem.

- Na koniec chciałabym przedstawić zespół, który pracuje nad projektem - powiedziała, gestem zapraszając pozostałych uczestników do dołączenia do niej na podium. - Profesor François Lefevre z Sorbony, koordynator naukowy projektu. Doktor Marta Stawska, psycholog, specjalistka od traumy transformacyjnej. Pan Stefan Wilk, wydawca. Pan Viktor Kovalenko, architekt z Kijowa. Pan Klaus Wagner, analityk finansowy z Berlina. Doktor Ivana Dimitrova, lekarka z Bułgarii. I pani Olga Sorokina, tłumaczka z Rosji.

Każda z wymienionych osób dołączała do niej, tworząc na podium międzynarodową grupę. Amelia poczuła, że to moment, który warto zapamiętać – początek czegoś ważnego.

– Zapraszam do obejrzenia wystawy – zakończyła. – I do rozmowy z nami o waszych własnych doświadczeniach transformacji.

Gdy zeszli z podium, François podszedł do niej i delikatnie dotknął jej ramienia.

– Świetne przemówienie – powiedział. – Idealnie uchwyciłaś istotę projektu.

Amelia uśmiechnęła się, czując przyjemne ciepło rozlewające się po jej ciele. François miał w sobie coś, co przyciągało ją od pierwszego spotkania – może była to jego europejska ogłada, może intelektualna pewność siebie, a może po prostu ten francuski akcent, od którego słabła.

– Dziękuję – odpowiedziała. – Zależy mi, żeby projekt naprawdę coś zmienił w sposobie myślenia o transformacji.

– Myślę, że mamy na to szansę – odparł François. – Szczególnie z takimi ludźmi w zespole. – Rozejrzał się po sali, gdzie pozostali uczestnicy projektu już rozproszyli się wśród gości. – Każdy wnosi unikalną perspektywę.

Amelia podążyła za jego spojrzeniem. Marta rozmawiała z jednym z artystów, którego prace prezentowane były na wystawie. Stefan i Klaus wciąż dyskutowali, choć teraz dołączył do nich jeden z krytyków sztuki, najwyraźniej mediując w ich sporze. Viktor stał przy instalacji pokazującej zmieniający się krajobraz miejski Europy Środkowej po 1989 roku, studiując zdjęcia z uwagą profesjonalisty. Ivana i Olga rozmawiały cicho w kącie sali, obie wyglądające nieco nieswojo wśród eleganckiego towarzystwa.

– Przyznam, że niektóre wybory dyrektora mnie zaskoczyły – powiedział François, nieco ścisząc głos. – Na przykład pani Sorokina. W obecnej sytuacji...

– Olga jest przeciwniczką reżimu Putina – przerwała mu Amelia. – Wyjechała z Rosji z powodów politycznych. Nie powinniśmy jej oceniać przez pryzmat jej narodowości.

François uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony jej obroną.

– Oczywiście, masz rację – przyznał. – Po prostu zastanawiałem się, jak będzie współpracować z panem Kovalenko, biorąc pod uwagę napięcia między ich krajami.

– To właśnie jest częścią projektu, prawda? – odpowiedziała Amelia. – Pokazanie, że ludzie mogą znaleźć wspólny język mimo historycznych i politycznych podziałów.

François uśmiechnął się, patrząc na nią z podziwem.

- Jesteś idealistką - stwierdził. - To rzadka cecha w dzisiejszych czasach.

Amelia poczuła ukłucie niepewności. Czy naprawdę była idealistką? Czy może po prostu dobrze grała swoją rolę progresywnej właścicielki galerii sztuki? Czasem sama nie wiedziała, gdzie kończy się jej autentyczne ja, a zaczyna starannie skonstruowana publiczna persona.

- Nie wiem, czy to idealizm - odpowiedziała w końcu. - Raczej nadzieja, że sztuka może być mostem ponad podziałami.

- W takim razie dzielam tę nadzieję - odparł François, unosząc kieliszek w toaście.

Na drugim końcu sali Marta Stawska obserwowała dyskretnie interakcję między Amelią a François. Było w ich wzajemnej fascynacji coś, co jednocześnie intrygowało ją i niepokoiło. Jako psycholog wyczuwała, że oboje widzą w sobie coś, co niekoniecznie tam było - swoją projekcję, swoje wyobrażenie o drugim.

- Pani doktor? - Usłyszała obok siebie głos Viktora Kovalenki.

- Marta, proszę - poprawiła go automatycznie, odwracając się w jego stronę.

Viktor stał obok niej, trzymając w ręku nietkniętą lampkę szampana. Wyglądał na nieco zagubionego w artystycznym tłumie.

- Ta wystawa jest... interesująca - powiedział, szukając odpowiedniego słowa. - Ale chyba zbyt skupiona na estetyce, a za mało na rzeczywistych konsekwencjach transformacji. Szczególnie tych trudnych.

Marta skinęła głową, dostrzegając w jego słowach echo własnych myśli.

- To prawda - przyznała. - Ale to dopiero początek projektu. Mamy czas, by zagłębić się w trudniejsze tematy.

Viktor spojrzał na nią z uwagą, jakby oceniając, czy może mówić otwarcie.

- W mojej pracy jako architekt często mierzę się z dziedzictwem przeszłości - powiedział w końcu. - W Kijowie mamy budynki sowieckie, które symbolizują opresję, ale również są domem dla tysięcy ludzi. Mamy nowe konstrukcje, które reprezentują nadzieję, ale często są dostępne tylko dla elit. Transformacja to nie jest jednoznaczny proces - zawiera w sobie zarówno wyzwolenie, jak i nowe formy nierówności.

- To bardzo przenikliwa obserwacja - odpowiedziała Marta. - I myślę, że dokładnie to powinniśmy eksplorować w naszym projekcie.

Viktor wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale w tym momencie podeszła do nich Olga Sorokina.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała cicho, z lekkim rosyjskim akcentem. - Chciałam tylko zapytać, czy jutrzejsze spotkanie projektowe odbędzie się zgodnie z planem?

Marta zauważyła, jak Viktor nieznacznie się spina na dźwięk rosyjskiego akcentu. Olga musiała to również wyczuć, bo jej postawa stała się jeszcze bardziej wycofana.

- Tak, spotkanie jest potwierdzone - odpowiedziała Marta, próbując rozładować napięcie. - O dziesiątej w Centrum Kultury.

Olga skinęła głową i już miała odejść, gdy Viktor niespodziewanie się odezwał.

- Pani Sorokina - zatrzymał ją. - Widziałem pani tłumaczenie poezji Stusa. Bardzo dobre. Nie spodziewałem się, że rosyjska tłumaczka będzie tak dobrze rozumieć ukraińskiego poetę.

Olga wyglądała na zaskoczoną, ale w jej oczach pojawił się cień ulgi.

- Poezja Stusa jest uniwersalna - odpowiedziała. - Mówi o ludzkiej godności w obliczu opresji. To doświadczenie, które przekracza granice narodowe.

Viktor przytaknął, nie uśmiechając się, ale jego postawa stała się nieco mniej napięta.

- Do jutra - powiedział, po czym odwrócił się do Marty. - Muszę już iść. Mam rano wideokonferencję z Kijowem.

Marta skinęła głową, obserwując, jak Viktor kieruje się w stronę wyjścia. Zauważyła, że zatrzymał się na chwilę, by pożegnać się z Amelią, która wyglądała na rozczarowaną jego wczesnym wyjściem. Następnie wymienił krótkie, lecz uprzejme pożegnanie z Klausem i Stefanem, po czym zniknął za drzwiami galerii.

Olga stała obok Marty, również obserwując tę scenę.

- On mnie nienawidzi - powiedziała cicho.

- Nie sędzę, żeby to była nienawiść - odpowiedziała Marta. - Raczej nieufność, może uprzedzenie. Ale fakt, że docenił twoje tłumaczenie, to dobry znak.

Olga uśmiechnęła się smutno.

- Zawsze będę dla niego "Rosjanką" - powiedziała. - Nawet jeśli nie zgadzam się z polityką mojego kraju, nawet jeśli wyjechałam w proteście.

Marta nie odpowiedziała od razu. Jako psycholog wiedziała, jak głęboko zakorzenione mogą być uprzedzenia, jak trudno je przezwyciężyć. Ale jako uczestniczka projektu miała nadzieję, że wspólna praca pomoże zbudować mosty między ludźmi o tak różnych doświadczeniach i perspektywach.

- Daj mu czas - powiedziała w końcu. - I sobie też. Zmiany nie zachodzą natychmiast.

Olga skinęła głową, choć nie wyglądała na przekonaną. W jej szarych oczach Marta dostrzegła smutek, który wydawał się sięgać głębiej niż obecna sytuacja - jakby życie Olgi było serią rozczarowań, od których nie mogła uciec nawet po opuszczeniu Rosji.

Wieczór w galerii "Transformacja" dobiegał końca. Goście powoli się rozchodzili, zostawiając za sobą puste kieliszki i ożywione dyskusje. Amelia prowadziła ostatnich krytyków sztuki do wyjścia, uśmiechając się promiennie, choć w jej oczach widać było zmęczenie. François pomagał jednemu z pracowników galerii układać katalogi wystawy, co jakiś czas zerkając w stronę Amelii. Stefan i Klaus, ku zaskoczeniu wszystkich, wciąż rozmawiali, teraz już przy barze, gdzie Stefan otworzył nową butelkę wina.

Marta podeszła do Ivany, która stała samotnie przy jednej z instalacji, studiując ją z uwagą.

- Co o tym myślisz? - zapytała, wskazując na dzieło przedstawiające fragmenty muru berlińskiego zestawione ze współczesnymi zdjęciami muru granicznego między Węgrami a Serbią.

Ivana spojrzała na nią z zamyśleniem.

- Myślę, że to pokazuje, jak historia zatacza koło - odpowiedziała. - Zburzyliśmy jedne mury, by zbudować nowe.

Marta przytaknęła, zaskoczona przenikliwością Ivany, która dotąd wydawała się raczej nieśmiała i wycofana.

- Jesteś lekarką, prawda? - zapytała. - Jaka jest twoja specjalizacja?

- Psychiatria - odpowiedziała Ivana z lekkim uśmiechem. - Podobnie jak ty zajmuję się psychologicznymi konsekwencjami zmian społecznych, tylko z medycznej perspektywy.

Marta poczuła nagły przypływ sympatii do bułgarskiej lekarki. Może miały więcej wspólnego, niż początkowo sądziła.

- W takim razie musisz dołączyć do podgrupy badającej psychologiczne aspekty transformacji - powiedziała. - Twoja perspektywa będzie bezcenna.

Ivana zarumieniała się lekko, wyraźnie zadowolona z propozycji.

- Z przyjemnością - odpowiedziała. - W Bułgarii prowadziłam badania nad depresją i zaburzeniami lękowymi u osób, które straciły pracę podczas prywatyzacji przedsiębiorstw państwowych. Nigdy ich nie opublikowałam, bo musiałam wyjechać, ale dane wciąż mam.

- To brzmi fascynująco - powiedziała szczerze Marta. - Może mogłybyśmy je wykorzystać w naszym projekcie?

Ivana przytaknęła z entuzjazmem, a jej twarz rozjaśniła się. Marta pomyślała, że prawdopodobnie rzadko spotykała się z takim zainteresowaniem swoją pracą.

Wernisaż dobiegał końca, ale pierwsze kontakty zostały nawiązane, pierwsze nici porozumienia zaczęły się tworzyć między uczestnikami projektu. Amelia, żegnając ostatnich gości, czuła satysfakcję - mimo różnic, mimo potencjalnych napięć, wydawało się, że grupa może znaleźć wspólny język, zjednoczona celem zrozumienia i dokumentowania złożoności transformacji.

Nie wiedziała jeszcze, jak bardzo mylna była ta ocena - i jak głębokie podziały czekały na odkrycie.

Rozdział 3: Przeszłość w teraźniejszości

Sala seminaryjna w starym budynku Uniwersytetu Jagiellońskiego wypełniła się powoli. François Lefevre stał przy oknie, obserwując studentów i uczestników projektu zajmujących miejsca. Lubił tę szczególną energię akademickich przestrzeni - mieszanek tradycji i intelektualnego fermentu, którą odnajdywał na uniwersytetach całej Europy, od Sorbony po Uniwersytet Karola w Pradze.

Dziś miał poprowadzić seminarium o pamięci historycznej jako części projektu "Europa po transformacji". Był to jego żywioł - teoretyczne rozważania, intelektualne debaty, metodologiczne niuanse. W przeciwieństwie do artystycznej atmosfery wernisażu w galerii Amelii, tutaj czuł się w pełni kompetentny, w pełni sobą.

- Witam państwa na seminarium "Pamięć historyczna jako konstrukcja społeczna" - zaczął, gdy sala wypełniła się do ostatniego miejsca. - Cieszę się, że oprócz studentów dołączyli do nas uczestnicy naszego projektu dokumentalnego.

Rozejrzał się po sali. W pierwszym rzędzie siedziała Amelia Korczyńska, elegancka jak zawsze, z włosami upiętymi w staranny kok. Uśmiechnęła się do niego, a on

odwzajemnił uśmiech, czując satysfakcję z jej obecności. Kilka miejsc dalej dostrzegł Martę Stawską, która notowała coś w małym, czarnym notatniku. Viktor Kovalenko siedział z tyłu sali, oparty o ścianę, ze skrzyżowanymi ramionami. Klaus Wagner zajął miejsce blisko drzwi, jak ktoś, kto chce mieć możliwość szybkiego wyjścia. Stefan Wilk siedział obok młodej studentki, z którą najwyraźniej już zdążył nawiązać nić porozumienia, sądząc po ich przyciszonych głosach i stłumionych uśmiechach. Ivana Dimitrova i Olga Sorokina zajęły miejsca obok siebie w środkowym rzędzie, obie wyglądające nieco niepewnie w akademickim otoczeniu.

- Chciałbym rozpocząć od fundamentalnego pytania - kontynuował François. - Czym właściwie jest pamięć historyczna? Czy jest sumą indywidualnych wspomnień? Czy konstruktem społecznym? A może narzędziem polityki?

Przeszedł kilka kroków w bok, czując na sobie skupione spojrzenia słuchaczy.

- Weźmy rok 1989 - powiedział. - Dla wielu z was to odległa historia, coś, co znacie tylko z opowieści rodziców czy podręczników. Dla innych to żywe wspomnienie, część osobistego doświadczenia. Ale nawet wśród tych, którzy przeżyli te wydarzenia, znajdziemy różne, czasem sprzeczne narracje.

Przerwał, by wziąć łyk wody ze szklanki stojącej na biurku.

- W Polsce rok 1989 kojarzony jest przede wszystkim z okrągłym stołem i czerwcowymi wyborami. We Francji z dwusetną rocznicą rewolucji. W Niemczech z upadkiem Muru Berlińskiego. W Bułgarii czy Rumunii z upadkiem dyktatur. W Czechosłowacji z Aksamitną Rewolucją. Te same miesiące, ten sam historyczny przełom, ale jakże różne narracje narodowe.

François dostrzegł, jak Viktor nieco się prostuje na swoim miejscu. Ukraiński architekt podniósł rękę.

- A co z krajami, dla których rok 1989 nie był punktem przełomowym? - zapytał. - W Ukrainie, jak i w innych republikach sowieckich, prawdziwa transformacja zaczęła się po rozpadzie ZSRR w 1991 roku.

- Doskonała uwaga - przyznał François. - I właśnie to pokazuje, jak konstruujemy narracje historyczne. Dla Europy Zachodniej "upadek komunizmu" jest przypisany do roku 1989, mimo że Związek Radziecki istniał jeszcze przez dwa lata. To uproszczenie, które pasuje do zachodniej narracji o triumfie demokracji.

Marta Stawska podniosła rękę.

- Ale czy te różne narracje nie są po prostu odzwierciedleniem różnych rzeczywistości? - zapytała. - Polski rok 1989 naprawdę różnił się od ukraińskiego czy rosyjskiego 1991. To nie tylko kwestia interpretacji, ale faktycznych doświadczeń.

François skinął głową z aprobatą.

– Oczywiście, ma pani rację. Nie chcę wpaść w pułapkę skrajnego relatywizmu, sugerując, że wszystkie narracje są równie prawdziwe albo równie fałszywe. Fakty historyczne istnieją. Ale sposób, w jaki je łączymy w narracje, nadajemy im znaczenie, hierarchizujemy je – to już jest konstrukcja społeczna.

Stefan Wilk, który dotąd siedział cicho, teraz włączył się do dyskusji.

– Problem pojawia się, gdy oficjalna narracja zaprzecza osobistym doświadczeniom ludzi – powiedział. – W Polsce po 1989 roku stworzono mit "gospodarczego cudu", który pomijał koszty transformacji – masowe bezrobocie, upadek całych gałęzi przemysłu, rosnące nierówności. Dla wielu ludzi ta dysharmonia między oficjalną opowieścią a ich codziennym życiem była bolesnym doświadczeniem.

François zauważył, jak Klaus Wagner nieznacznie się spina. Niemiecki inwestor podniósł rękę.

– Przy całym szacunku, panie Wilk – powiedział z chłodną precyzją – te "koszty" były nieuniknione w procesie transformacji od gospodarki centralnie planowanej do rynkowej. Cud gospodarczy jest faktem, jeśli spojrzysz pan na statystyki wzrostu PKB, poziom życia, integrację z Unią Europejską.

– Statystyki nie mówią wszystkiego – odparł Stefan z ledwo skrywaną irytacją. – Mój ojciec otworzył mały sklep w 1990 roku. W ciągu pięciu lat rozwinął go w sieć. Byłem świadkiem tego "cudu". Ale widziałem też moich kolegów ze szkoły, których rodzice stracili pracę w państwowych zakładach i nigdy nie odnaleźli się w nowej rzeczywistości.

François wyczuł, że dyskusja zaczyna przybierać zbyt osobisty ton. Jako prowadzący seminarium musiał utrzymać akademicki charakter debaty.

– Obaj panowie poruszają kluczowy aspekt pamięci historycznej – interweniował. – Mamy oficjalne narracje, statystyki, naukowe opracowania z jednej strony, i osobiste doświadczenia, indywidualne historie z drugiej. W naszym projekcie interesuje nas właśnie ta interakcja – jak osobiste historie wpisują się w szersze narracje lub im zaprzeczają.

Amelia podniosła rękę.

– Czy to nie jest także kwestia perspektywy czasowej? – zapytała. – Pamiętam, jak w latach 90. mój ojciec mówił: "Trzeba zacisnąć pasa, żeby później było lepiej." Dla niektórych to "później" nigdy nie nadeszło. Dla innych – tak.

François uśmiechnął się do niej z uznaniem.

- Doskonała obserwacja. Pamięć historyczna nie jest statyczna - zmienia się wraz z upływem czasu i nowymi doświadczeniami. To, jak oceniamy transformację w 2025 roku, różni się od oceny z lat 90. czy nawet z pierwszej dekady XXI wieku.

Ivana Dimitrova, która dotąd milczała, teraz nieśmiało podniosła rękę.

- W Bułgarii - zaczęła cicho, ale pewnie - transformacja jest oceniana znacznie bardziej negatywnie niż w Polsce czy Czechach. Nasz kraj nie dołączył do Unii Europejskiej aż do 2007 roku, a i wtedy pozostał jednym z najbiedniejszych jej członków. Nasza narracja o transformacji jest narracją rozczarowania.

- I ta narracja też ewoluowała - wtrąciła Olga, zaskakując wszystkich, gdyż rzadko zabierała głos podczas grupowych spotkań. - W Rosji początkowo była euforia, potem rozczarowanie latami Jelcyna, a teraz, pod Putinem, dominuje nostalgia za sowiecką potęgą. Oficjalna narracja przedstawia lata 90. jako czas upokorzenia Rosji przez Zachód.

Viktor skrzywił się ledwo zauważalnie, ale nie skomentował. François zauważył tę reakcję i postanowił skierować dyskusję na bardziej neutralny teren.

- Te różnice w narodowych narracjach są fascynujące - powiedział. - I pokazują, dlaczego nasz projekt jest tak ważny. Nie chodzi o ustalenie "jedynej prawdziwej" wersji historii, ale o zrozumienie, jak różne doświadczenia kształtują różne interpretacje tych samych wydarzeń.

W tym momencie jeden ze studentów, młody mężczyzna z pierwszego rzędu, podniósł rękę.

- Profesorze Lefevre, czy nie jest tak, że zachodnia narracja o "końcu historii" i triumfie liberalnej demokracji po 1989 roku okazała się równie mityczna jak komunistyczne obietnice równości i sprawiedliwości?

François zamyślił się. To było trudne pytanie, które zmuszało go do konfrontacji z własnym światopoglądem.

- To prowokacyjne, ale uzasadnione pytanie - odpowiedział w końcu. - Fukuyama's "Koniec historii" rzeczywiście okazał się przedwczesną diagnozą. Liberalna demokracja i wolny rynek nie rozwiązały wszystkich problemów, jak niektórzy naiwnie wierzyli. Ale czy to oznacza, że są równie iluzoryczne jak komunistyczne utopie? - Pokręcił głową. - Nie sądzę. Różnica polega na tym, że demokracja ma wbudowane mechanizmy samokorekcji. Może ewoluować, dostosowywać się, reformować w odpowiedzi na nowe wyzwania.

Viktor ponownie się odezwał, tym razem bez podnoszenia ręki.

- Z całym szacunkiem, profesorze, ale to brzmi jak typowo zachodnia narracja - powiedział z nutą goryczy w głosie. - W Ukrainie widzieliśmy, że demokracja nie

jest dana raz na zawsze. Trzeba o nią walczyć, czasem dosłownie.

- I ta walka wciąż trwa w wielu krajach - dodała Olga, spoglądając na Viktora z mieszaniną współczucia i poczucia winy, jakby czuła się osobiście odpowiedzialna za działania swojego kraju pochodzenia.

François poczuł, że dyskusja wkracza na niebezpieczne, zbyt upolitycznione tory.

- Doceniam te perspektywy - powiedział. - I to właśnie jest wartością naszego projektu - możliwość usłyszenia głosów, które często giną w dominujących narracjach. - Spojrzał na zegarek. - Myślę, że to dobry moment, by przejść do bardziej strukturalnej części naszego seminarium. Chciałbym omówić metodologię, jaką przyjmujemy w badaniu pamięci historycznej.

Przełączył slajd na prezentacji, pokazując schemat metodologiczny projektu.

- Będziemy pracować na trzech poziomach - wyjaśnił. - Pierwszy to analiza oficjalnych narracji - podręczników szkolnych, przemówień politycznych, muzeów historycznych. Drugi to media - jak prasa, telewizja, a później internet kształtowały opowieść o transformacji. Trzeci, najważniejszy dla nas, to osobiste historie - wywiady, pamiętniki, listy.

Marta podniosła rękę.

- Chciałbym dodać, że w badaniu osobistych historii niezmiernie ważna jest świadomość psychologicznych mechanizmów pamięci - powiedziała. - Nasze wspomnienia nie są zapisem tego, co się wydarzyło, ale raczej rekonstrukcją, na którą wpływają późniejsze doświadczenia, informacje, a nawet obecny stan emocjonalny.

- Absolutnie - zgodził się François. - I to właśnie dlatego pani perspektywa jako psychologa jest tak cenna dla projektu.

Przez następną godzinę François prowadził seminarium, omawiając szczegóły metodologii badawczej, którą zamierzali zastosować w projekcie. Studenci zadawali pytania, uczestnicy projektu wnosili swoje uwagi. Amelia zaproponowała włączenie analizy sztuki wizualnej jako czwartego poziomu badania pamięci historycznej. Stefan sugerował, by uwzględnić literaturę, szczególnie tę popularną, jako odzwierciedlenie zbiorowych wyobrażeń. Klaus podkreślał znaczenie analizy danych ekonomicznych jako kontekstu dla subiektywnych narracji.

- Na zakończenie - powiedział François, gdy seminarium dobiegało końca - chciałbym podkreślić, że nasz projekt nie ma na celu ustalenia "prawdziwej" wersji historii transformacji. Chcemy raczej pokazać, jak różnorodne i złożone są doświadczenia tego procesu, jak wiele perspektyw składa się na pełny obraz.

Gdy studenci i niektórzy uczestnicy projektu zaczęli wychodzić, François podszedł do Amelii, która właśnie pakowała swoje notatki do eleganckiej teczki.

- Co sądzisz? - zapytał. - Nie za bardzo akademickie?

Amelia uśmiechnęła się do niego.

- Było fascynujące - odpowiedziała szczerze. - Lubię, gdy ktoś porządkuje chaos moich myśli w spójne struktury teoretyczne.

- To chyba najpiękniejszy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałem - zaśmiał się François.

Zanim Amelia zdążyła odpowiedzieć, podszedł do nich Stefan Wilk.

- Profesorze Lefevre - zaczął Stefan, używając akademickiego tytułu, choć w jego głosie François wyczuł lekką nutę ironii. - Doskonałe seminarium, ale zastanawiam się, czy nie pomijamy czegoś istotnego w naszej metodologii.

- Tak? - François uniósł brwi, zaintrygowany.

- Ekonomii - odpowiedział Stefan. - Nie tylko danych i wykresów, jak sugerował pan Wagner, ale realnych ekonomicznych mechanizmów transformacji. Kto zyskał, kto stracił, kto podjął decyzje, kto zapłacił cenę.

François zastanawiał się przez chwilę. Stefan miał rację - ekonomiczny wymiar transformacji był kluczowy, a jednocześnie często pomijany w analizach kulturowych czy psychologicznych.

- Myślę, że to świetny pomysł - przyznał. - Może mógłby pan przygotować propozycję, jak włączyć tę perspektywę do naszego projektu?

Stefan wyglądał na zaskoconego, jakby nie spodziewał się, że jego sugestia zostanie potraktowana poważnie.

- Z przyjemnością - powiedział w końcu. - Przygotuję coś na kolejne spotkanie.

Gdy Stefan odszedł, François zauważył, że na sali zostały jeszcze Ivana i Olga, rozmawiające cicho w kącie. Podeszła do nich Marta Stawska, najwyraźniej zainteresowana ich dyskusją.

- Powinniśmy do nich dołączyć - zasugerowała Amelia, podążając za spojrzeniem François. - Integracja zespołu i tak dalej.

François skinął głową i razem podeszli do trzech kobiet.

- ...i właśnie dlatego te terapeutyczne narracje są tak ważne - mówiła właśnie Marta do Ivany. - Pozwalają ludziom przepracować traumę, nadać sens chaotycznym doświadczeniom.

- W mojej praktyce psychiatrycznej widzę to codziennie - odpowiedziała Ivana. - Szczególnie u starszych pacjentów, którzy wciąż próbują zrozumieć, jak ich świat mógł zmienić się tak gwałtownie.

- W Rosji wielu ludzi nigdy nie przepracowało traumy rozpadu Związku Radzieckiego - wtrąciła Olga. - Stąd ta podatność na propagandę Putina, który obiecuje powrót do minionej wielkości.

François i Amelia dołączyli do rozmowy, która szybko przerodziła się w fascynującą wymianę myśli o psychologicznych aspektach transformacji. François zauważył, że Olga stopniowo otwierała się, mówiąc coraz swobodniej, jakby czuła się bezpieczniej w tej małej, kobiecej grupie niż podczas oficjalnego seminarium.

Po pewnym czasie François zauważył, że Viktor Kovalenko wciąż siedzi w ostatnim rzędzie, przeglądając coś na swoim tablecie.

- Przepraszam na chwilę - powiedział do kobiet i podeszedł do Viktora.

- Panie Kovalenko - zaczął. - Chciałem podziękować za pańskie uwagi podczas seminarium. To ważne, by pamiętać o różnych ścieżkach transformacji w różnych krajach postsowieckich.

Viktor spojrzał na niego z mieszaniną podejrzliwości i zainteresowania.

- Dziękuję - odpowiedział oszczędnie. - Chociaż nie jestem pewien, czy Zachód jest gotowy na prawdziwe zrozumienie naszych doświadczeń.

François usiadł obok niego, czując, że ta rozmowa może być ważną szansą na zbudowanie porozumienia.

- Co ma pan na myśli? - zapytał szczerze zainteresowany.

Viktor odłożył tablet i spojrzał François prosto w oczy.

- Dla Zachodu upadek komunizmu to happy end - powiedział. - Koniec zimnej wojny, triumf demokracji, otwarcie rynków. Dla wielu z nas to dopiero początek walki - najpierw o prawdziwą niezależność, potem o demokrację, o integralność terytorialną, o godne miejsce w Europie.

François przytaknął, zdając sobie sprawę, jak bardzo zachodnia narracja o 1989 roku pomijała złożoność doświadczeń krajów postsowieckich.

- Myślę, że właśnie dlatego ten projekt jest tak ważny - powiedział. - By usłyszeć te historie, które nie pasują do dominujących narracji.

Viktor przyglądał mu się uważnie, jakby oceniał jego szczerość.

- Pan naprawdę w to wierzy? - zapytał w końcu. - Że akademicki projekt może coś zmienić?

François zawahał się. Jako historyk wiedział, jak ograniczony wpływ mają badania akademickie na rzeczywiste procesy polityczne czy społeczne. Jednocześnie wierzył w wartość wiedzy, zrozumienia, dialogu.

- Nie zmieni świata - przyznał uczciwie. - Ale może zmienić sposób, w jaki myślimy o transformacji. A to pierwszy krok do głębszego zrozumienia.

Viktor patrzył na niego przez chwilę, po czym nieoczekiwanie skinął głową z czymś w rodzaju szacunku.

- Doceniam pańską uczciwość - powiedział. - Większość zachodnich akademików obiecywałaby złote góry.

François poczuł, że to może być początek porozumienia z ukraińskim architektem.

- Może mógłby pan przygotować prezentację o specyfice ukraińskiej transformacji na nasze kolejne seminarium? - zaproponował. - To pomogłoby nam wszystkim lepiej zrozumieć te różne ścieżki, o których pan mówił.

Viktor zastanawiał się przez moment.

- Dobrze - zgodził się w końcu. - Ale uprzedzam, że nie będzie to opowieść pasująca do zachodnich wyobrażeń o triumfie demokracji.

- Właśnie na tym nam zależy - zapewnił go François. - Na autentycznych historiach, nie na potwierdzeniu naszych założeń.

Gdy François wrócił do grupy kobiet, rozmowa przeniosła się już na bardziej praktyczne aspekty projektu. Amelia opowiadała o planach kolejnej wystawy, która miała towarzyszyć publikacji pierwszych wyników ich badań. Marta dyskutowała z Ivaną o metodologii wywiadów z osobami, które doświadczyły transformacji. Olga oferowała pomoc w tłumaczeniu materiałów z języków krajów byłego bloku wschodniego.

François obserwował ich interakcje z satysfakcją. Pomimo różnic - narodowych, kulturowych, politycznych - zaczynali formować zespół. Może naiwnie wierzył w siłę akademickiego dialogu, ale widział, jak w tej małej sali seminaryjnej w Krakowie ludzie z różnych części Europy zaczynali rozmawiać, słuchać, rozumieć.

A może to było właśnie to, o co chodziło w europejskim projekcie – nie o wymazanie różnic, ale o dialog ponad nimi.

Gdy seminarium dobiegło końca, a ostatni uczestnicy opuszczali salę, François zatrzymał się na chwilę przy oknie. Za nim rozciągał się widok na Kraków – miasto na skrzyżowaniu Wschodu i Zachodu, tradycji i nowoczesności, różnych narracji historycznych. Symboliczne miejsce dla ich projektu.

Nie wiedział jeszcze, jak głęboko te różne narracje wpłyną na ich osobiste relacje. Jak przeszłość, którą próbowali badać, wciąż była żywa w ich teraźniejszości, kształtując ich postrzeganie siebie nawzajem, ich oczekiwania, ich lęki.

Ale tego popołudnia, w starej sali seminaryjnej Uniwersytetu Jagiellońskiego, François Lefevre wierzył, że ich projekt może być czymś więcej niż tylko akademickim przedsięwzięciem – że może być mostem między różnymi doświadczeniami, różnymi pamięciami, różnymi Europami.

Reflexio, CZĘŚĆ II: KORZENIE (Retrospekcje)

Rozdział 4: Dzieciństwo w cieniu historii

Kraków, Wigilia 1981

Marta Stawska siedziała przy kuchennym stole, rysując świąteczny obrazek dla taty. Miała osiem lat i kochała kolory – kredki rozłożone były przed nią w idealnym porządku, od czerwonych po fioletowe. Matka krzątała się po kuchni, przygotowując wigilijną kolację, choć w jej ruchach nie było zwykłej energii. Co chwilę zerknęła na zegar, potem na telefon, jakby oczekiwała ważnego połączenia.

– Mamusiu, kiedy tata wróci? – zapytała Marta, nie odrywając wzroku od rysunku. Starła się narysować choinkę dokładnie taką, jaką mieli w pokoju – z czerwonymi bombkami i srebrnym łańcuchem, który tata przywiózł z Berlina podczas jednej ze swoich tajemniczych podróży.

– Niedługo, kochanie – odpowiedziała mama, choć jej głos brzmiał inaczej niż zwykle. – Na pewno zdąży na kolację.

Marta nie była pewna, czy mama mówi prawdę. Ostatnio rodzice często szeptali między sobą, przerywając rozmowę, gdy wchodziła do pokoju. Tata rzadko był w domu, a gdy wracał, był zmęczony i milczący. Marta słyszała słowa, których nie rozumiała: "stan wojenny", "internowanie", "Solidarność". Wiedziała tylko, że tata był ważny – ludzie przychodzili do niego po radę, czasem zostawali do późna, rozmawiając przyciszonymi głosami przy kuchennym stole.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi – gwałtowne, stanowcze, niepodobne do sposobu, w jaki pukali znajomi rodziców. Mama zamarła przy kuchence, jej twarz stała się biała jak mąka, którą przed chwilą przesiewała.

– Marta, idź do swojego pokoju – powiedziała cicho, ale stanowczo.

– Ale mój rysunek... – zaprotestowała Marta.

– Teraz! – syknęła mama, co było tak niezwykle, że Marta natychmiast zeskoczyła z krzesła i pobiegła do swojego pokoju.

Nie zamknęła jednak drzwi do końca. Przez szparę widziała, jak mama idzie do przedpokoju, jak otwiera drzwi. Usłyszała męskie głosy, stanowcze, oficjalne. Potem krzyk mamy, płacz. Wyjrzała ostrożnie i zobaczyła trzech mężczyzn w ciemnych płaszczach. Między nimi stał tata, blady, ale spokojny.

- Wszystko będzie dobrze, Aniu - mówił do mamy. - To nieporozumienie. Wyjaśni się.

Jeden z mężczyzn trzymał kartkę papieru, czytał coś urzędowym tonem. Marta nie rozumiała słów, ale rozumiała, że dzieje się coś strasznego. Że ci ludzie przyszli zabrać tatę.

- Mogę się pożegnać z córką? - usłyszała głos taty.

Mężczyzna w płaszczu skinął niechętnie głową. Tata ruszył w stronę jej pokoju, a Marta odskoczyła od drzwi, udając, że siedzi na łóżku. Kiedy tata wszedł, miała wrażenie, że jest wyższy niż zwykle, jakby coś w nim stwardniało, wyprostowało się.

- Martusiu - powiedział, kucając przy niej. - Muszę wyjechać na jakiś czas.

- W Wigilię? - zapytała, czując, jak łzy napływają jej do oczu.

- Tak, kochanie. Tak czasem bywa. - Przytulił ją mocno. Pachniał znajomo - mydłem, tytoniem, papierem. - Musisz być dzielna. Opiekuj się mamą. I pamiętaj, cokolwiek usłyszysz o mnie, jestem dobrym człowiekiem. Robię to, co uważam za słuszne.

- Panie Stawski! - dobiegł ich ostry głos z przedpokoju.

Tata pocałował Martę w czoło, potem wstał i spokojnym krokiem wyszedł z pokoju. Marta pobiegła do okna. Po chwili zobaczyła, jak wyprowadzają go do czarnego samochodu zaparkowanego przed blokiem. Śnieg padał gęsto, osiadając na ramionach taty i ciemnych płaszcach obcych mężczyzn. W świetle latarni wyglądali jak postaci z koszmaru.

Marta nigdy nie zapomniła tego obrazu - taty wsiadającego do czarnego samochodu w wigilijny wieczór, śniegu padającego na warszawskie osiedle, płaczu mamy dobiegającego z kuchni. To było jej pierwsze spotkanie z Historią - nie tą z podręczników, ale tą, która wdziera się do domów, zabiera ojców, zmienia życie.

Kijów, lato 1991

Viktor Kovalenko biegł przez podwórko, ściskając w dłoni małą, plastikową figurkę kosmonauty. Miał pięć lat i był przekonany, że kiedyś polecą w kosmos, jak Jurij Gagarin, którego zdjęcie wisiało w jego pokoju. Dziadek, który mieszkał z nimi w małym mieszkaniu na piątym piętrze kijowskiego bloku, często opowiadał mu o radzieckich bohaterach - kosmonautach, żołnierzach, naukowcach.

- Viktor! - zawołała matka z balkonu. - Obiad!

Viktor niechętnie przerwał zabawę i pobiegł do klatki schodowej. Na czwartym piętrze spotkał sąsiadkę, starszą panią Sokolov, która jak zwykle nosiła chustkę zawiązaną pod brodą.

- Dzień dobry, ciociu Sokolov - przywitał się grzecznie, jak uczyła go mama.

- Dzień dobry, Viktorku - odpowiedziała, uśmiechając się do niego bez zębów. - Powiedz mamie, że mam dla niej trochę kapusty z mojego ogródka działkowego.

- Powiem! - obiecał Viktor i pobiegł dalej.

W mieszkaniu czuć było zapach barszczu. Matka mieszała zupę w garnku, jej jasne włosy związane były w niedbały kucyk. Z pokoju ojca dobiegały podniesione głosy - ojciec słuchał radia, a dziadek co chwilę przerywał audycję swoimi komentarzami.

- To zdrada! - krzyczał dziadek. - Gorbaczow zniszczył wszystko, co budowaliśmy!

- Ojcie, uspokój się - odpowiadał ojciec Viktora znacznie ciszej. - Czasy się zmieniają. Związek Radziecki się rozpada. Musimy patrzeć w przyszłość.

- Jaką przyszłość? - prychnął dziadek. - Myślisz, że na Zachodzie czekają na was z otwartymi ramionami? Będziecie obywatelami drugiej kategorii!

Viktor stanął w drzwiach pokoju, nie rozumiejąc, o czym mówią. Widział tylko, że twarz dziadka jest czerwona z gniewu, a ojciec wygląda na zmęczonego, jakby nie spał od wielu dni.

- Viktor, umyj ręce i siadaj do stołu - zawołała matka z kuchni.

Podczas obiadu dziadek i ojciec milczeli, jedząc barszcz bez apetytu. Tylko matka próbowała podtrzymać rozmowę, pytając Viktora o zabawy na podwórku i planując, co będą robić w weekend.

- Może pojedziemy nad rzekę? - zaproponowała. - Jest tak gorąco w mieście.

Ojciec skinął nieobecnie głową. Dziadek prychnął.

- Nad rzekę? W takich czasach? Kraj się rozpada, a wy myślicie o kąpieli w Dnieprze?

- Właśnie w takich czasach trzeba myśleć o dzieciach - odpowiedziała matka Viktora spokojnie, ale stanowczo. - Viktor nie musi słuchać całymi dniami o polityce.

Wieczorem, gdy Viktor już leżał w łóżku, usłyszał ciche kroki matki. Udawał, że śpi, kiedy weszła do pokoju i usiadła na brzegu jego łóżka.

- Wiem, że nie śpisz, Vitya - powiedziała cicho, głaszcząc go po głowie.

- Mamo, co to znaczy, że kraj się rozpada? - zapytał, otwierając oczy.

Matka westchnęła.

- To skomplikowane, kochanie. Pamiętasz, jak w przedszkolu uczyliście się o krajach Związku Radzieckiego? O Rosji, Ukrainie, Białorusi...

Viktor przytaknął. Pamiętał wielką mapę na ścianie sali, czerwoną, z żółtą gwiazdą.

- Te wszystkie kraje chcą teraz być osobno - wyjaśniła matka. - Ukraina też.

- I to dobrze czy źle? - zapytał Viktor.

Matka zawahała się.

- Dla dziadka to trudne - odpowiedziała ostrożnie. - On całe życie wierzył w Związek Radziecki. Walczył za niego na wojnie. Dla niego to, co się dzieje, to jakby ktoś burzył jego dom.

- A dla taty?

- Dla taty... - Matka spojrzała w stronę drzwi, jakby sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. - Dla taty to nadzieja. Na lepsze życie, na wolność.

- A dla ciebie? - Viktor patrzył na nią uważnie.

Matka uśmiechnęła się lekko.

- Dla mnie najważniejsze jest, żebyś ty miał dobre życie, Vitya. W bezpiecznym, wolnym kraju. - Pocałowała go w czoło. - A teraz śpij. Jutro pojedziemy nad rzekę, obiecuję.

Viktor zasnął, ale śniły mu się dziwne rzeczy - mapa, która rozsypuje się na kawałki, dziadek płaczący cicho w kącie pokoju, ojciec stojący na moście nad Dnieprem z ukraińską flagą w dłoni. Kiedy się obudził, nie pamiętał snów, ale czuł dziwny niepokój, jakby coś ważnego się zmieniło.

Kilka miesięcy później Związek Radziecki oficjalnie się rozpadł. Dziadek płakał, oglądając telewizję. Ojciec otworzył butelkę szampana, którą trzymał w głębi szafy. A Viktor po raz pierwszy usłyszał, jak rodzice mówią o Ukrainie jako o ich kraju, nie części czegoś większego.

Nie rozumiał jeszcze, jak głęboko te wydarzenia wpłyną na jego życie. Nie wiedział, że w nowym, niepodległym kraju jego ojciec straci pracę w fabryce, która

zbankrutuje. Że matka będzie pracować na dwóch etatach, by utrzymać rodzinę. Że dziadek zapadnie w depresję, z której nigdy w pełni nie wyjdzie. Że ich sąsiedzi podzielą się na tych, którzy tęsknią za radziecką przeszłością, i tych, którzy patrzą w przyszłość.

To wszystko zrozumiał później. Jako dziecko wiedział tylko, że coś się kończy, a coś zaczyna. I że dorośli wokół niego są zagubieni w tym nowym świecie, nawet jeśli starają się to przed nim ukryć.

Berlin, jesień 1990

Klaus Wagner bawił się klockami Lego na dywanie w salonie. Miał cztery lata i właśnie układał najwyższą wieżę, jaką kiedykolwiek zbudował – prawie tak wysoką jak on sam. Jego matka siedziała na kanapie, rozmawiając ściszym głosem przez telefon. Przez okno ich mieszkania w zachodniej części Berlina widać było ruch uliczny – samochody, ludzi spieszących się w różnych kierunkach, normalny dzień w wielkim mieście.

Wieża Klausa właśnie osiągnęła imponującą wysokość, gdy drzwi mieszkania otworzyły się i wszedł ojciec. Wcześniej niż zwykle, z butelką szampana w jednej ręce i bukietem kwiatów w drugiej.

– Zjednoczenie! – zawołał od progu, a jego twarz promieniała radością, jakiej Klaus rzadko u niego widział. – Dzisiaj oficjalnie! Niemcy znów są jednym krajem!

Matka natychmiast odłożyła telefon i podbiegła do ojca. Objęli się mocno, a ojciec okręcił ją wokół własnej osi, śmiejąc się głośno.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała matka, gdy w końcu stanęła pewnie na nogach. – Po tylu latach...

Klaus obserwował tę scenę ze zdumieniem. Rodzice rzadko okazywali sobie czułość w jego obecności. Ojciec, zawsze poważny i zorganizowany bankier, teraz wyglądał, jakby odmłodził o dziesięć lat.

– Klaus, chodź tu! – zawołał ojciec, wyciągając rękę.

Klaus podszedł niepewnie, a ojciec podniósł go wysoko, okręcając się z nim po pokoju.

– Dzisiaj jest historyczny dzień, synu! – powiedział. – Zapamiętaj go! Trzeciego października 1990 roku Niemcy znów stały się jednym krajem!

Klaus nie rozumiał, o czym mówi ojciec. Wiedział tylko, że chodzi o coś ważnego i dobrego, skoro rodzice są tacy szczęśliwi.

- Wyjedziemy jutro do babci? - zapytał, myśląc o swojej babci, która mieszkała gdzieś daleko, w miejscu zwanym Wschodnimi Niemcami. Widział ją tylko kilka razy, gdy przyjeżdżała do nich w odwiedziny.

Ojciec postawił go na ziemi i ukucnął przed nim, kładąc dłonie na jego ramionach.

- Tak, Klaus. Teraz będziemy mogli odwiedzać babcię, kiedy tylko zechcemy. Nie ma już muru, nie ma granicy. Rozumiesz?

Klaus przytaknął, choć nie do końca rozumiał. Wiedział, że istniał jakiś mur, który dzielił Berlin. Widział jego fragmenty, gdy rodzice zabierali go na przejażdżki po mieście. Ale nie pojmował, dlaczego mur stał pośrodku miasta ani dlaczego teraz wszyscy cieszyli się, że go nie ma.

- Urządzimy małe przyjęcie - zdecydowała matka, odbierając od ojca kwiaty. - Zadzwoń do Schmidtów i Müllerów. I do twojego brata.

- A jutro pojedziemy do wschodniej części miasta - dodał ojciec. - Klaus powinien zobaczyć, jak wygląda zjednoczenie.

Następnego dnia, po nieprzespanej nocy (rodzice i ich goście świętowali do późna, śpiewając i wznosząc toasty), Klaus siedział na tylnym siedzeniu ich mercedesa, kiedy ojciec prowadził przez dzielnice Berlina, których nigdy wcześniej nie widział. Wszystko wyglądało inaczej niż w zachodniej części miasta - budynki były szare, mniej kolorowych reklam, mniej samochodów, więcej pustych sklepów.

- Dlaczego tutaj jest tak brzydko? - zapytał.

- To nie jest brzydkie, Klaus - odpowiedziała matka, siedząca obok niego. - To jest inne. Ludzie we wschodniej części miasta żyli inaczej niż my. Ale teraz wszystko się zmienia.

- Tam mieszka babcia? - dopytywał Klaus.

- Nie, babcia mieszka dalej, w Dreźnie - wyjaśnił ojciec. - Ale teraz będziemy mogli odwiedzać ją bez problemów.

Klaus patrzył przez okno na ludzi na ulicach. Wyglądali jakoś inaczej niż ludzie w ich części miasta - ich ubrania były prostsze, mniej kolorowe. Niektórzy przyglądali się ich samochodowi z czymś, co nie było ani podziwem, ani zazdrością, ale jakimś trudnym do określenia uczuciem.

- Oni nie cieszą się ze zjednoczenia? - zapytał Klaus, widząc poważne twarze przechodniów.

Rodzice wymienili spojrzenia.

- Cieszą się, oczywiście - odpowiedział ojciec, ale jego głos brzmiał mniej pewnie niż zwykle. - Ale to też dla nich trudny czas. Wiele się zmieni. Niektórzy stracą pracę, będą musieli nauczyć się nowego systemu.

- Ale my im pomożemy, prawda? - pytał dalej Klaus. - Przecież jesteśmy jednym krajem.

- Tak, kochanie - powiedziała matka, głaszcząc go po głowie. - Pomożemy im.

Gdy wrócili do domu, Klaus usłyszał, jak rodzice rozmawiają w kuchni, myśląc, że ich nie słyszy.

- Widziałeś te spojrzenia? - mówiła matka. - Jakbyśmy byli najeźdźcami, a nie rodakami.

- Daj im czas - odpowiedział ojciec. - Przez czterdzieści lat żyli w innym świecie. To nie zniknie z dnia na dzień.

- A co z twoją firmą? Nadal planujesz otworzyć oddział w Dreźnie?

- Oczywiście. To wielka szansa biznesowa. Tyle do zbudowania, do zmodernizowania. Kapitał ze Wschodu popłynie szerokim strumieniem.

- A ludzie? Ci, którzy stracą pracę, gdy zaczniecie restrukturyzować przedsiębiorstwa?

Zapadła cisza.

- To jest cena postępu, Ingrid - odpowiedział w końcu ojciec. - Nie możemy utrzymywać nierentownych fabryk tylko po to, by ludzie mieli pracę. To nie jest to, o co walczyli, obalając mur.

Klaus, słuchając tej rozmowy, nie rozumiał wszystkich słów, ale wyczuwał napięcie, niepewność. Wczorajsza euforia jego rodziców ustąpiła miejsca bardziej skomplikowanym emocjom.

Kilka dni później matka zabrała go na plac zabaw niedaleko ich domu. Klaus zawsze lubił tam chodzić - były tam najlepsze huśtawki i zjeżdżalnie w okolicy. Tym razem na placu było więcej dzieci niż zwykle, a niektóre mówiły z dziwnym akcentem.

- To dzieci ze Wschodu - wyjaśniła matka, gdy zapytał. - Teraz mogą przychodzić na nasz plac zabaw.

Klaus podszedł do chłopca mniej więcej w jego wieku, który samotnie siedział na huśtawce.

- Cześć, jestem Klaus - przedstawił się, jak uczyli go rodzice. - Chcesz się pobawić?

Chłopiec spojrzał na niego nieufnie.

- Jestem Felix - odpowiedział w końcu. - Jesteś z Zachodu, prawda?

Klaus przytaknął, nie rozumiejąc, dlaczego to ważne.

- Masz fajne buty - powiedział Felix, wskazując na kolorowe adidasy Klausa. - U nas takich nie było.

- Możesz je przymierzyć, jeśli chcesz - zaproponował Klaus.

Felix potrząsnął głową.

- Mama by się gniewała. Mówi, że nie powinniśmy prosić o rzeczy od ludzi z Zachodu.

Klaus nie rozumiał, dlaczego mama Felixa miałaby się gniewać o buty, ale nie drażył tematu. Zamiast tego zaproponował:

- Chcesz zobaczyć, jak wysoko mogę się huśtać?

Felix zgodził się, a wkrótce obaj chłopcy huśtali się, próbując dosięgnąć nieba. W tamtej chwili nie było między nimi żadnego muru, żadnej granicy - tylko dwóch chłopców, śmiejących się i biorących udział w zawodach, kto zahuśta się wyżej.

Klaus nie wiedział wtedy, że te pierwsze dni zjednoczenia ukształtują jego przyszłość. Że firma jego ojca rzeczywiście otworzy oddział w Dreźnie, a potem w innych wschodnich miastach. Że jako nastolatek będzie świadkiem, jak niektórzy ze wschodu oskarżają takich jak jego ojciec o ekonomiczną kolonizację. Że sam, jako dorosły, będzie musiał zmierzyć się z dziedzictwem tamtych dni - z poczuciem winy i odpowiedzialności za "cudosprawczą" transformację, która dla jednych była zbawieniem, a dla innych przekleństwem.

Ale w tej chwili, huśtając się obok Felixa, był po prostu szczęśliwym chłopcem, dla którego zjednoczenie oznaczało nic więcej jak nowego kolegę na placu zabaw.

Moskwa, 1 maja 1985

Olga Sorokina stała w tłumie na Placu Czerwonym, trzymając w dłoni małą czerwoną flagę. Miała trzy lata i wszystko wokół wydawało jej się ogromne - plac, budynki, pomniki, nawet nogi dorosłych, między którymi próbowała się przecisnąć, by lepiej widzieć.

- Trzymaj się blisko, Oleczka – powiedziała jej matka, chwytając ją mocno za rękę.
- Nie chcemy, żebyś się zgubiła w tym tłumie.

Olga przytuliła się do nogi matki, wciąż próbując zobaczyć, co dzieje się na placu. Wszędzie powiewały czerwone flagi, orkiestra grała marsze, ludzie skandowali hasła, których nie rozumiała.

- Dlaczego tu jesteśmy, mamó? – zapytała, podnosząc głowę.

- To święto pracy, kochanie – wyjaśniła matka. – Świątujemy ludzi, którzy pracują, budują nasz kraj.

- Jak tata? – dopytywała Olga. – On też buduje kraj?

Matka uśmiechnęła się lekko.

- Tak, tata też. Każdy, kto pracuje, pomaga budować nasz kraj.

Ojciec Olgi stał obok nich, wysoki i poważny w swoim najlepszym garniturze. Był inżynierem w fabryce maszyn, o czym często opowiadał z dumą podczas rodzinnych obiadów.

- Patrz, Olgo – powiedział, podnosząc ją, by lepiej widziała. – To najważniejszy plac w całym kraju. Tu odbywają się najważniejsze uroczystości.

Olga patrzyła na trybuny, gdzie stali ważni ludzie – rozpoznała Michaiła Gorbaczowa, nowego przywódcę, którego twarz często widziała w telewizji i na plakatach.

- On rządzi całym światem? – zapytała.

Ojciec zaśmiał się cicho.

- Nie całym światem, Oleczko. Naszym krajem. Związkiem Radzieckim.

- A co to jest Związek Radziecki? – dociekała Olga.

- To nasz dom – odpowiedział ojciec, wskazując ręką wokół. – Największy kraj na świecie. Od Bałtyku po Ocean Spokojny.

Olga nie bardzo rozumiała, co to znaczy, ale czuła dumę w głosie ojca, więc uznała, że to musi być coś dobrego.

Po paradzie rodzina Sorokinów wróciła do swojego mieszkania na przedmieściach Moskwy. Mieszkali w typowym bloku z wielkiej płyty – dziesięciopiętrowym, szarym, identycznym jak dziesiątki innych w okolicy. Ale ich mieszkanie było przytulne – matka Olgi dbała o to, by zawsze było czyste i schludne, z firankami w

oknach i kwiatami na parapetach.

Na obiad przyszli dziadkowie i wujek Siergiej, brat ojca. Jedli tradycyjne rosyjskie potrawy – barszcz, pirożki, sałatkę olivier. Dorośli wznosili toasty, a dziadek, weteran Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, jak zawsze przy takich okazjach opowiadał o swoich wojennych przeżyciach.

– Wtedy, pod Stalingradem, myślałem, że już po nas – mówił, a jego oczy błyszczały. – Ale przetrwaliśmy. Pokonaliśmy faszystów. Obroniliśmy nasz kraj.

– Za zwycięstwo! – wzniosł toast ojciec Olgi.

– Za pokój – dodała matka, zawsze bardziej powściągliwa w patriotycznych uniesieniach.

Wieczorem, gdy goście już poszli, a Olga szykowała się do snu, usłyszała fragment rozmowy rodziców dobiegający z kuchni.

– Gorbaczow zapowiada zmiany – mówił ojciec. – Głasnost, pierestrojka... Myślisz, że to coś zmieni?

– Oby na lepsze – odpowiedziała matka. – Ludzie są zmęczeni ciągłymi brakami. Kolejkami. Martwię się o przyszłość Olgi.

– Nie powinnaś – zapewnił ją ojciec. – Damy jej dobre wykształcenie. W naszym kraju każdy, kto ciężko pracuje, może odnieść sukces.

– Chciałabym w to wierzyć, Dmitrij – westchnęła matka. – Naprawdę chciałabym.

Olga nie rozumiała tej rozmowy, ale wyczuwała niepokój w głosie matki. To było dziwne – przecież dzień był taki uroczysty, wszyscy się cieszyli, świętowali. Dlaczego teraz rodzice brzmiali tak poważnie?

Kilka lat później, gdy Olga miała już osiem lat, coś się zmieniło. Rodzice częściej dyskutowali o polityce, częściej słuchali zagranicznych stacji radiowych. Ojciec przynosił do domu gazety, które wcześniej nie były dostępne. W telewizji pokazywano rzeczy, o których wcześniej się nie mówiło – problemy, protesty, krytykę władz.

– Co się dzieje, tato? – zapytała Olga pewnego wieczoru, gdy ojciec siedział przy kuchennym stole, czytając gazetę z nagłówkiem "GŁASNOST".

– Zmiany, Oleczko – odpowiedział, odkładając gazetę. – Nasz kraj się zmienia.

– Na lepsze czy na gorsze?

Ojciec zamyślił się.

- Trudno powiedzieć. Na pewno na inne. Ludzie mogą teraz mówić to, co myślą. To dobrze. Ale jest wiele problemów, których wcześniej nie dostrzegaliśmy. Albo udawaliśmy, że ich nie ma.

W 1991 roku, gdy Olga miała dziewięć lat, świat, który znała, rozpadł się na kawałki. Związek Radziecki przestał istnieć. Czerwona flaga, którą kiedyś dumnie machała na Placu Czerwonym, została zastąpiona przez trójkolorową flagę Rosji. Niektórzy ludzie płakali, inni świętowali. Jej rodzice byli gdzieś pośrodku - ani nie rozpaczali za starym systemem, ani nie wiwatowali na cześć nowego.

- Najważniejsze, byśmy przetrwali te zmiany jako rodzina - powiedział ojciec podczas kolacji wigilijnej w 1991 roku. - Nadchodzą trudne czasy.

Miał rację. Nadeszły lata chaosu - hiperinflacja, prywatyzacja, która wzbogaciła nielicznych, a zubożyła wielu, rosnąca przestępczość, bezrobocie. Fabryka, w której pracował ojciec Olgi, została sprzedana prywatnym właścicielom, którzy zwolnili połowę załogi. Ojciec miał szczęście - zachował pracę, ale jego pensja często nie starczała na podstawowe potrzeby.

Matka Olgi, z wykształcenia nauczycielka literatury, zaczęła udzielać prywatnych lekcji, by dorobić do domowego budżetu. Babcia, która mieszkała z nimi, oddawała całą swoją emeryturę, by pomóc w utrzymaniu rodziny.

Olga dorastała w tych trudnych czasach, obserwując, jak jej rodzice starają się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Nie było to łatwe - wartości, w które wierzyli, zasady, według których żyli, nagle straciły na znaczeniu. Ale nigdy nie stracili godności, nigdy nie przestali dbać o jej wykształcenie.

- Najważniejsze, żebyś się uczyła, Olgo - powtarzała matka. - Wykształcenia nikt ci nie odbierze, niezależnie od tego, jaki system będzie rządził.

I Olga się uczyła - była pilną uczennicą, szczególnie uzdolnioną językowo. Gdy inne dzieci marzyły o karierze biznesmenów czy gangsterów (nowi bohaterowie lat 90.), ona marzyła o zostaniu tłumaczką, o poznawaniu innych kultur, innych krajów.

Nie wiedziała jeszcze, że te marzenia kiedyś się spełnią, choć w okolicznościach, których nigdy by nie przewidziała. Że przyjdzie jej tłumaczyć słowa dysydentów, opozycjonistów, krytyków systemu, który dopiero się rodził podczas jej dzieciństwa na Placu Czerwonym. Że będzie musiała opuścić kraj, który jej ojciec kiedyś nazywał "naszym domem", szukając schronienia przed represjami.

Ale to wszystko było jeszcze daleko przed nią. Na razie była dziewczynką, która pamiętała smak lodów na Placu Czerwonym podczas pierwszomajowej parady, dumę w oczach ojca, gdy mówił o swoim kraju, i niepokój w głosie matki, gdy zastanawiała się nad przyszłością.

Rozdział 5: Rok 1989

Małe miasteczko pod Krakowem, lato 1989

Stefan Wilk stał przed wystawą sklepu spożywczego, wpatrując się w puste półki. Miał dwanaście lat i właśnie wrócił z zakupów, które zrobił dla matki – dwa bochenki chleba, kilogram ziemniaków i słoik dżemu truskawkowego. Siatka ciążyła mu w dłoni, ale nie śpieszył się do domu. Lubił obserwować ludzi stojących w kolejkach, podsłuchiwać ich rozmowy.

- Słyszałaś? W Warszawie będą otwierać prywatne sklepy – mówiła jedna z kobiet do drugiej. – Bez kartek, wszystko można będzie kupić, tylko że drogo.
- Za komuny przynajmniej każdy miał co do garnka włożyć – odpowiedziała druga.
- A teraz co? Ci z Solidarności obiecują złote góry, a potem co? Prywaciarze nas zeżrą.

Stefan słuchał tych rozmów z fascynacją. W jego domu mówiło się inaczej. Ojciec, który kiedyś prowadził niewielki warsztat rzemieślniczy, zanim został znacjonalizowany w latach 50., często powtarzał:

- Nareszcie będzie można uczciwie pracować i uczciwie zarabiać. Żadnych układów, żadnych łapówek, żadnego kombinowania.

Matka była bardziej sceptyczna:

- Zawsze będą układy, Stasiu. Tylko inne osoby będą je tworzyć.

Gdy Stefan wrócił do domu, zastał ojca siedzącego przy kuchennym stole nad stosem papierów.

- Co to, tato? – zapytał, stawiając siatkę z zakupami na blacie.

Ojciec podniósł głowę znad dokumentów, na jego twarzy malował się uśmiech – rzadki widok w ostatnich, trudnych latach.

- To, Stefanek, to nasza przyszłość – odpowiedział, wskazując na papiery. – Dokumenty do otwarcia własnego sklepu.

Stefan spojrzał na ojca zaskoczony.

- Własnego sklepu? Jak to?

- Po wyborach wszystko się zmienia – wyjaśnił ojciec, jego głos brzmiał inaczej niż zwykle, jakby odmłodził o dziesięć lat. – Teraz można będzie robić interesy,

prawdziwe interesy. Wzięliśmy kredyt, wynajęliśmy lokal po dawnym sklepie obuwniczym na rynku. Za miesiąc otwieramy.

- Co będziecie sprzedawać? - dopytywał Stefan, coraz bardziej zaintrygowany.

- Wszystko - zaśmiał się ojciec. - Wszystko, co ludzie chcą kupić. Na początek artykuły spożywcze, potem zobaczymy. Może sprzęt AGD z importu, może ubrania. Rynek zdecyduje.

Stefan patrzył na ojca, nie rozumiejąc do końca, skąd ten nagły entuzjazm. Wiedział, że w czerwcu odbyły się wybory, że Solidarność wygrała, że w telewizji mówiono o wielkich zmianach. Ale jak to wszystko miało się przełożyć na ich codzienne życie?

- A co z twoją pracą w fabryce? - zapytał. Ojciec od lat pracował jako księgowy w państwowej fabryce mebli.

Twarz ojca spoważniała.

- Odchodzę, Stefanek. Daję wypowiedzenie w przyszłym tygodniu. - Westchnął ciężko. - Nie będzie łatwo. Twoja matka martwi się, czy damy radę. Ale ja wierzę, że to nasza szansa. Nasza jedyna szansa.

W tym momencie do kuchni weszła matka, niosąc balię z wypraną pościelą.

- Znowu napełniasz chłopakowi głowę tymi swoimi mrzonkami? - zapytała, ale jej ton nie był ostry, raczej zmęczony.

- To nie mrzonki, Jadziu - odpowiedział ojciec. - Jestem pewien, że się uda. Za rok o tej porze będziemy mieli nie jeden, ale dwa, może trzy sklepy.

Matka pokręciła głową, ale uśmiechnęła się lekko.

- Zawsze byłeś marzycielem, Stasiu - powiedziała. - Ale kto wie? Może tym razem twoje marzenia się spełnią.

Miesiąc później Stefan pomagał ojcu układać towar na półkach nowo otwartego sklepu. Lokal był niewielki, ale ojciec zadbał o wszystko - nowe regały, kasę fiskalną, nawet mały magazyn na zapleczu. Nazwał sklep "Przyszłość" - nazwa, która wydawała się Stefanowi nieco patetyczna, ale ojciec upierał się, że jest idealna.

- To nie jest zwykły sklep, Stefanek - wyjaśniał, gdy wieszali szyld nad wejściem. - To symbol. Naszej przyszłości, przyszłości Polski.

W dniu otwarcia przed sklepem ustawiała się kolej

- Odchodzę, Stefanek. Daję wypowiedzenie w przyszłym tygodniu. - Westchnął ciężko. - Nie będzie łatwo. Twoja matka martwi się, czy damy radę. Ale ja wierzę, że to nasza szansa. Nasza jedyna szansa.

W tym momencie do kuchni weszła matka, niosąc balie z wypraną pościelą.

- Znowu napełniasz chłopakowi głowę tymi swoimi mrzonkami? - zapytała, ale jej ton nie był ostry, raczej zmęczony.

- To nie mrzonki, Jadziu - odpowiedział ojciec. - Jestem pewien, że się uda. Za rok o tej porze będziemy mieli nie jeden, ale dwa, może trzy sklepy.

Matka pokręciła głową, ale uśmiechnęła się lekko.

- Zawsze byłeś marzycielem, Stasiu - powiedziała. - Ale kto wie? Może tym razem twoje marzenia się spełnią.

Miesiąc później Stefan pomagał ojcu układać towar na półkach nowo otwartego sklepu. Lokal był niewielki, ale ojciec zadbał o wszystko - nowe regały, kasę fiskalną, nawet mały magazyn na zapleczu. Nazwał sklep "Przyszłość" - nazwa, która wydawała się Stefanowi nieco patetyczna, ale ojciec upierał się, że jest idealna.

- To nie jest zwykły sklep, Stefanek - wyjaśniał, gdy wieszali szyld nad wejściem. - To symbol. Naszej przyszłości, przyszłości Polski.

W dniu otwarcia przed sklepem ustawiała się kolejka ludzi ciekawych nowego miejsca w miasteczku. Stefan stał za ladą obok ojca, pomagając pakować zakupy do toreb. Widział zdumienie na twarzach klientów, gdy ci widzieli półki pełne towarów - nie tylko podstawowych produktów spożywczych, ale też importowanych słodczy, alkoholi, kosmetyków. Ojciec sprowadził towar z Warszawy, gdzie już działały hurtownie oferujące zagraniczne produkty.

- Skąd pan to wszystko ma, panie Stanisławie? - pytała pani Kowalska, emerytowana nauczycielka, oglądając z niedowierzaniem puszkę coca-coli.

- Kontakty, pani Heleno, kontakty - odpowiedział ojciec Stefana z uśmiechem. - Teraz wszystko będzie można kupić. Bez kartek, bez kolejek.

- Ale te ceny... - westchnęła kobieta, odkładając puszkę.

Ojciec spoważniał.

- Na początku będzie drogo, to prawda. Ale z czasem, gdy pojawi się konkurencja, ceny spadną. Proszę mi wierzyć.

Stefan obserwował, jak ludzie z mieszaniną fascynacji i niepewności oglądają towary, jak liczą pieniądze, zastanawiając się, na co mogą sobie pozwolić. Niektórzy kupowali tylko podstawowe produkty, inni pozwalali sobie na małe luksusy – tabliczkę zagranicznej czekolady, butelkę włoskiego wina, paczkę markowych papierosów.

Wieczorem, gdy sklep został zamknięty, ojciec otworzył butelkę szampana.

– Za sukces! – wzniosł toast, nalewając małą ilość również Stefanowi. – Pierwszy dzień za nami. I to jaki dzień! Utarg przekroczył moje najśmielsze oczekiwania.

Matka uśmiechnęła się, ale w jej oczach wciąż czaił się niepokój.

– Nie zapędzaj się, Stasiu – powiedziała. – To pierwszy dzień, ludzie byli ciekawi. Zobaczmy, co będzie za tydzień, za miesiąc.

– Będzie tylko lepiej – zapewnił ją ojciec. – Wiesz, ilu ludzi pytało, czy nie planujemy sprzedawać też innych rzeczy? Sprzętu RTV, ubrań, nawet mebli. Jest popyt, Jadziu. Ogromny, niezaspokojony popyt.

Stefan słuchał tych rozmów, siedząc cicho przy stole. Widział entuzjazm ojca, niepokój matki, ale przede wszystkim czuł, że uczestniczy w czymś ważnym, w czymś, co będzie miało wpływ na całe ich życie.

I miał rację. W ciągu następnych miesięcy sklep "Przyszłość" rozkwitł. Ojciec zatrudnił dwie sprzedawczynie, rozszerzył asortyment, zaczął sprowadzać towar bezpośrednio od importerów, omijając pośredników. Gdy inflacja zaczęła galopować, ojciec dostosowywał ceny niemal codziennie, ale zawsze dbał o to, by były niższe niż u konkurencji, która zaczęła się pojawiać w miasteczku.

– Musisz zrozumieć podstawową zasadę biznesu, Stefanek – tłumaczył synowi podczas jednego z wieczorów, gdy razem liczyli utarg. – Niska marża, duży obrót. Lepiej sprzedać sto rzeczy z małym zyskiem na każdej, niż dziesięć z dużym.

Stefan chłonał te lekcje, fascynowało go to nowe słownictwo – marża, obrót, kapitał, inwestycja. Słowa, które jeszcze rok temu prawie nie istniały w języku, którym mówiono w jego domu.

Rok 1990 przyniósł nowe wyzwania – terapię szokową Balcerowicza, uwolnienie cen, wzrost bezrobocia. Wielu mieszkańców miasteczka straciło pracę, gdy miejscowa fabryka ograniczyła zatrudnienie. Ale sklep "Przyszłość" wciąż prosperował. Ojciec otworzył drugi punkt – tym razem z artykułami gospodarstwa domowego.

– Ludzie zawsze będą musieli jeść i zawsze będą potrzebować garnków do gotowania – mówił praktycznie.

Stefan coraz więcej czasu spędzał, pomagając w interesie. Po szkole przychodził do sklepu, w weekendy jeździł z ojcem do hurtowni w Krakowie. Nauczył się rozpoznawać trendy, przewidywać, co będzie się dobrze sprzedawać.

- Masz do tego smykałkę, synu - powiedział mu kiedyś ojciec z dumą, gdy Stefan zasugerował sprowadzenie nowego rodzaju włoskich makaronów, które potem okazały się hitem. - Będiesz kiedyś lepszym biznesmenem niż ja.

W 1992 roku ojciec otworzył trzeci sklep, tym razem z odzieżą. Zatrudniał już kilkanaście osób, a ich rodzina przeprowadziła się z małego mieszkania w bloku do nowo wybudowanego domu na obrzeżach miasteczka.

Stefan, teraz piętnastolatek, obserwował zmiany zachodzące wokół niego z mieszaniną fascynacji i niepokoju. Z jednej strony, widział dynamiczny rozwój biznesu ojca, podziwiał jego przedsiębiorczość, cieszył się z rosnącej zamożności rodziny. Z drugiej, widział też ciemniejszą stronę transformacji - kolegów, których rodzice stracili pracę, rosnące nierówności, rozpad dawnych więzi społecznych.

- Tato, dlaczego pan Kowalski zawsze wychodzi ze sklepu bez zakupów? - zapytał kiedyś, zauważając starszego mężczyznę, który regularnie zaglądał do ich sklepu, ale nigdy nic nie kupował.

Ojciec westchnął.

- Pan Kowalski pracował ze mną w fabryce. Był kierownikiem działu. Stracił pracę przy pierwszej redukcji zatrudnienia. Teraz żyje z zasiłku, ledwo wiąże koniec z końcem.

- To dlaczego mu nie pomożesz? - dopytywał Stefan. - Mógłbyś go zatrudnić.

Ojciec pokręcił głową.

- To nie takie proste, Stefanek. Pan Kowalski to człowiek starej daty. Przez całe życie pracował w państwowej fabryce, miał władzę, pozycję. Nie potrafiłby pracować w prywatnym sklepie, słuchać poleceń kogoś, kto kiedyś był jego podwładnym. To kwestia godności.

Stefan nie do końca rozumiał, jak godność może być ważniejsza od możliwości zarabiania na życie, ale nie drążył tematu. Wiedział, że ojciec potajemnie pomagał niektórym byłym kolegom z fabryki - to zatrudniając kogoś w jednym ze swoich sklepów, to wspierając finansowo w trudnej sytuacji.

Transformacja miała wiele twarzy i Stefan, dorastając w jej centrum, widział je wszystkie - ekscytację nowych możliwości i gorycz nagłej degradacji społecznej, przedsiębiorczą energię i paraliżujący lęk przed zmianą.

W 1995 roku, gdy Stefan miał osiemnaście lat i przygotowywał się do studiów ekonomicznych w Krakowie, sieć sklepów jego ojca rozrosła się do siedmiu punktów w trzech okolicznych miasteczkach. Stanisław Wilk stał się lokalnym symbolem sukcesu transformacji – człowiekiem, który zaczynał od małego sklepu, a stworzył prosperujące przedsiębiorstwo.

– Widzisz, Stefanek – powiedział mu ojciec podczas kolacji przed jego wyjazdem na studia. – O to właśnie chodziło w tej całej zmianie w 1989 roku. Żeby ludzie z pomysłem, gotowi ciężko pracować, mogli coś osiągnąć. Żeby nie było barier, układów, absurdów centralnego planowania.

Stefan przytaknął, ale w głębi duszy wiedział, że to nie jest pełny obraz. Że transformacja, która jego rodzinie przyniosła dobrobyt, dla innych była czasem utraty i niepewności. Że wolny rynek, który jego ojciec wychwalał jako najsprawiedliwszy system dystrybucji dóbr, miał też swoje ciemne strony.

Te przemyślenia ukształtowały jego własne podejście do biznesu, który przejął po ojcu w 2010 roku – bardziej społecznie odpowiedzialne, bardziej świadome kosztów transformacji. Ale nigdy nie zapomniwał tamtego lata 1989 roku, gdy jako dwunastolatek pomagał ojcu ustawiać towar na półkach pierwszego prywatnego sklepu w miasteczku – sklepu o symbolicznej nazwie "Przyszłość".

Warszawa, jesień 1989

Amelia Korczyńska siedziała na podłodze w gabinecie ojca, bawiąc się swoją kolekcją zagranicznych lalek. Miała dziesięć lat i była jedynaczką, córką wysokiego funkcjonariusza partyjnego, Andrzeja Korczyńskiego. Ich mieszkanie na Saskiej Kępie było wyjątkowo przestronne jak na warszawskie standardy – cztery pokoje, duża kuchnia, dwie łazienki. Meble sprowadzane z zagranicy, biblioteka pełna książek, w tym wiele niedostępnych w zwykłych księgarniach.

Amelia przyzwyczaiła się do przywilejów, jakie dawała pozycja ojca – do wakacji nad Bałtykiem w resortowych ośrodkach, do braku kolejek w sklepach, do prezentów przywożonych z zagranicznych delegacji. Ale ostatnio coś się zmieniło. Rodzice byli spięci, często szeptali między sobą, przerywając rozmowę, gdy wchodziła do pokoju.

Tego wieczoru ojciec wrócił do domu wcześniej niż zwykle. Nie przywitał się z nią jak zawsze, nie zapytał o szkołę. Poszedł prosto do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Ale Amelia, zaciekawiona, po cichu wślizgnęła się za nim, kryjąc się za ciężkimi zasłonami.

Obserwowała, jak ojciec wyjmuje dokumenty z teczek, niektóre drze na małe kawałki, inne wkłada do skórzanej aktówki. Jego ruchy były pospieszne, nerwowe. W pewnym momencie zadzwonił telefon. Ojciec podniósł słuchawkę.

- Tak, wiem - powiedział. - Tak, jestem w trakcie... Nie, nie zostało nic istotnego... Tak, wszystko zgodnie z planem.

Gdy odłożył słuchawkę, Amelia zauważyła, że jego dłonie drżą. Nigdy wcześniej nie widziała ojca takiego - on, zawsze pewny siebie, teraz wydawał się przestraszony.

- Tato? - wyszła zza zasłony, nie mogąc dłużej wytrzymać w ukryciu.

Ojciec podskoczył, wyraźnie zaskoczony jej obecnością.

- Amelka! Przestraszyłaś mnie. Co ty tu robisz?

- Bawię się - odpowiedziała niewinnie. - Co robisz z tymi papierami?

Ojciec zawahał się, patrząc na nią uważnie, jakby zastanawiał się, ile może jej powiedzieć.

- Porządki, kochanie - odparł w końcu. - Czasami trzeba zrobić porządki. Wyrzucić stare rzeczy, by zrobić miejsce na nowe.

Amelia patrzyła na podartą dokumentację.

- Ale dlaczego to niszczysz? Nie można tego po prostu wyrzucić?

Ojciec uśmiechnął się słabo.

- Niektóre rzeczy lepiej zniszczyć, niż wyrzucić, Amelko. Kiedyś zrozumiesz.

W tym momencie do gabinetu weszła matka Amelii, elegancka kobieta o platynowych włosach, starannie upiętych w kok.

- Andrzej, samochód czeka... - zaczęła, ale urwała, widząc Amelię. - Amelka, dlaczego nie jesteś w swoim pokoju? Miałaś odrabiać lekcje.

- Skończyłam już - odpowiedziała Amelia. - Przyszłam pobawić się lalkami w gabinecie taty.

Rodzice wymienili spojrzenia.

- Idź do kuchni, Basia przygotowała podwieczorek - powiedziała matka. - A my z tatą musimy porozmawiać.

Amelia niechętnie wyszła z gabinetu, ale zatrzymała się za drzwiami, nasłuchując. Usłyszała tylko fragmenty rozmowy.

- ... nie wszystko zniszczone... - mówiła matka.

- ... najważniejsze dokumenty... bezpieczne miejsce... - odpowiadał ojciec.
- ... co z willą w Konstancinie...
- ... przepisana na twojego brata... wszystko legalnie...

Amelia nie rozumiała, o czym mówią rodzice, ale czuła, że dzieje się coś ważnego, coś, co może zmienić ich życie.

Kilka dni później ojciec nie poszedł do pracy. Po raz pierwszy, odkąd Amelia pamiętała, został w domu w dzień powszedni. Siedział w salonie, pijąc kawę i czytając gazety. Na pierwszych stronach wszędzie były zdjęcia Tadeusza Mazowieckiego, nowego premiera.

- Tato, dlaczego nie jesteś w pracy? - zapytała Amelia, siadając obok niego na kanapie.

Ojciec odłożył gazetę i spojrzał na nią poważnie.

- Zrezygnowałem z mojego stanowiska, Amelko - powiedział. - Nadchodzą zmiany. Nowi ludzie, nowe porządki.

- Nie będziesz już pracował? - Amelia była zaskoczona. Ojciec zawsze był zapracowany, często wracał późno, wyjeżdżał w delegacje.

- Och, będę pracował - uśmiechnął się. - Ale inaczej. Pamiętasz wujka Jurka, który ma firmę w Niemczech? Będziemy razem prowadzić interesy. Import-eksport, tak to się nazywa.

- To dobrze czy źle? - dopytywała Amelia.

Ojciec westchnął, a potem uśmiechnął się, choć jego oczy pozostały poważne.

- To zmiana, Amelko. A zmiany są częścią życia. Najważniejsze, to umieć się do nich dostosować.

W kolejnych miesiącach życie Amelii rzeczywiście się zmieniło. Przeprowadzili się z mieszkania na Saskiej Kępie do nowo wybudowanej willi w Konstancinie. Ojciec często wyjeżdżał za granicę - do Niemiec, Austrii, czasem dalej. Wrócili z wakacji w Bułgarii - tańszych niż zwykle, jak zauważyła Amelia - ale za to dostała własny pokój, urządzone dokładnie tak, jak chciała, z dużym biurkiem i półkami pełnymi książek.

W szkole też zaszły zmiany. Niektóre przedmioty nagle uczono inaczej - szczególnie historię. Nauczyciele mówili otwarcie o rzeczach, o których wcześniej tylko szeptano. Zniknął obowiązkowy rosyjski, zamiast niego Amelia zaczęła uczyć się angielskiego i niemieckiego.

Najdziwniejsze było zachowanie niektórych kolegów i koleżanek. Ci, którzy kiedyś zabiegali o jej przyjaźń, wiedząc, kim jest jej ojciec, teraz trzymali się na dystans. Usłyszała raz, jak matka jednej z dziewczynek mówi do innej matki:

- Nie chcę, żeby moja Kasia kolegowala się z córką komunisty.

Amelia nie rozumiała tego słowa - "komunista". W jej domu nigdy nie mówiło się o polityce w takich kategoriach. Ojciec był "działaczem partyjnym", "funkcjonariuszem państwowym", nigdy "komunistą".

- Tato, co to znaczy "komunista"? - zapytała pewnego wieczoru, gdy ojciec wrócił z kolejnej podróży biznesowej.

Ojciec spojrzał na nią zaskoczony.

- Skąd takie pytanie?

- Usłyszałam w szkole. Mama Kasi powiedziała, że jesteś komunistą i że Kasia nie powinna się ze mną bawić.

Ojciec westchnął ciężko, siadając obok niej na kanapie.

- Ludzie lubią przyklejać etykiety, Amelko - powiedział po chwili. - "Komunista", "solidarnościowiec", "partyjny", "bezpartyjny". Ale rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Pracowałem w systemie, który teraz się zmienia. Niektórzy uważają, że to był zły system. Inni, że miał swoje dobre strony. Prawda, jak zwykle, leży gdzieś pośrodku.

- Ale byłeś złym człowiekiem? - dopytywała Amelia, zmartwiona.

- Nie, kochanie - ojciec objął ją ramieniem. - Starłem się być dobrym człowiekiem w trudnych czasach. Robiłem, co mogłem, by pomóc ludziom, by nasze życie było lepsze. Niektórzy tego nie rozumieją lub nie chcą zrozumieć. Ale ty nie przejmuj się tym, co mówią inni. Liczy się to, co sama wiesz o swojej rodzinie.

Amelia przytaknęła, choć nie była pewna, czy do końca rozumie. Czuła jednak, że coś ważnego zostało jej przekazane - lekcja o tym, jak skomplikowane może być życie, jak trudne mogą być wybory, jak różnie można interpretować te same wydarzenia.

W 1991 roku, gdy miała dwanaście lat, firma ojca zaczęła przynosić znaczne zyski. Importowali z Zachodu dobra, na które w Polsce był ogromny popyt - elektronikę, ubrania, kosmetyki. Ojciec coraz rzadziej był w domu, coraz częściej spotykał się z biznesmenami, politykami, dziennikarzami.

- Twój ojciec zawsze wiedział, jak się odnaleźć w nowej sytuacji - powiedziała jej kiedyś matka, gdy razem przeglądały francuskie magazyny modowe, które ojciec przywiózł z Paryża. - To rzadka i cenna umiejętność.

Amelia dorastała, obserwując transformację kraju z perspektywy uprzywilejowanej. Ich rodzina nie doświadczyła biedy, bezrobocia, niepewności jutra, które stały się udziałem wielu Polaków w tamtym okresie. Przeciwnie - biznes ojca rozkwitał, ich status materialny rósł, podróżowali po Europie, stać ich było na najlepsze szkoły, kursy językowe, wakacje.

Ale Amelia nigdy nie zapomniała tamtego wieczora, gdy ojciec niszczył dokumenty w swoim gabinecie. Tego momentu, gdy zobaczyła strach w jego oczach. To dziecięce wspomnienie ukształtowało w niej świadomość, że każda zmiana ma swoją cenę, że każdy sukces jest oparty na czymś, co trzeba zostawić za sobą, czasem zniszczyć.

Może dlatego, jako dorosła kobieta, zawsze starała się pokazywać tylko część siebie - tę, którą inni chcieli widzieć. Możliwe, że dlatego jej galeria sztuki prezentowała obrazy drapieżnie krytykujące system, z którego jej rodzina czerpała korzyści przez lata. I może dlatego jej publiczna persona - progresywnej, liberalnej właścicielki galerii - tak bardzo różniła się od jej prywatnych przekonań, od tradycji i wartości, których potajemnie się trzymała.

Rok 1989 nauczył ją, że czasem trzeba ukryć część siebie, by przetrwać. Że niektóre dokumenty lepiej zniszczyć, niż zostawić ślad.

Paryż, listopad 1989

François Lefevre siedział przed telewizorem w salonie swojego rodzinnego domu na przedmieściach Paryża. Miał trzynaście lat i zazwyczaj nie interesował się wiadomościami, woląc gry wideo i komiksy. Ale tego wieczoru coś przykuło jego uwagę - obrazy z Berlina, tłumy ludzi stojących na murze, młodzi mężczyźni rozbijający betonową konstrukcję młotami, rodziny rzucające się sobie w ramiona.

- Co się dzieje, tato? - zapytał ojca, który stał za kanapą, wpatrując się w ekran z mieszaniną niedowierzania i wzruszenia.

- Historia, François - odpowiedział ojciec. - Jesteśmy świadkami historii. Upadek Muru Berlińskiego to koniec podziału Europy.

François nie do końca rozumiał znaczenie tych słów. Wiedział, oczywiście, że istnieje podział na Wschód i Zachód, na kraje demokratyczne i komunistyczne. Uczyli o tym w szkole, widział mapy Europy z czerwonym blokiem sowieckim. Ale wszystko to wydawało mu się odległe, abstrakcyjne - jak konflikt w powieści science fiction.

- Dlaczego ludzie są tacy szczęśliwi? - dopytywał, obserwując radosne twarze Niemców na ekranie.

Ojciec usiadł obok niego na kanapie.

- Bo mogą się wreszcie spotkać - wyjaśnił. - Wyobraź sobie, że Paryż zostałby podzielony murem. Że nie mógłbyś odwiedzić drugiej połowy miasta, zobaczyć się z rodziną czy przyjaciółmi, którzy tam mieszkają. I nagle, po prawie trzydziestu latach, mur znika.

François próbował to sobie wyobrazić, ale było to trudne. Jego świat był bezpieczny, przewidywalny, bez murów i granic. Dorastał w zamożnej rodzinie - ojciec był profesorem historii na Sorbonie, matka pracowała jako kuratorka w muzeum. Ich dom był pełen książek, muzyki, dyskusji o sztuce i kulturze.

- Czy to znaczy, że nie będzie już komunizmu? - zapytał, przypominając sobie lekcje historii.

Ojciec uśmiechnął się lekko.

- To nie stanie się od razu, ale tak, to początek końca komunizmu w Europie. Już widzieliśmy zmiany w Polsce, na Węgrzech. Teraz Niemcy Wschodnie. Wkrótce cała Europa Wschodnia przejdzie transformację.

- To dobrze? - dociekał François.

- To... skomplikowane - odpowiedział ojciec po chwili namysłu. - Z pewnością dobrze, że ludzie zyskają więcej wolności, że systemy totalitarne upadają. Ale transformacja nie będzie łatwa. Zmiana nigdy nie jest łatwa.

François patrzył na obrazy z Berlina, starając się zrozumieć znaczenie tego wydarzenia. Widział radość, euforię, ale też coś w rodzaju niepewności na niektórych twarzach. Jakby ci ludzie, ciesząc się z upadku muru, jednocześnie zastanawiali się, co przyniesie przyszłość.

Tego wieczoru podczas kolacji rodzina Lefevre'ów rozmawiała głównie o wydarzeniach w Berlinie. Matka François, która w młodości studiowała w Niemczech Zachodnich, wspominała swoje wizyty w Berlinie, jak widziała mur z obu stron.

- To było surrealistyczne doświadczenie - mówiła. - Stojąc po zachodniej stronie, widziałam kolorowe neony, słyszałam muzykę, czułam życie. Po wschodniej stronie była szarość, cień, cisza.

- Przesadzasz, Marie - zaśmiał się ojciec. - Wschodni Berlin nie był aż tak ponury. Miał swoją kulturę, swoje rytmy.

- Mówisz tak, bo zawsze miałeś sympatię dla lewicy - odparła matka, ale bez złośliwości. - Przypomnij mi, ile razy głosowałeś na Partię Komunistyczną?

- To było dawno - bronił się ojciec. - I zawsze byłem krytyczny wobec Związku Radzieckiego. Ale wiesz, że nie wszystko w socjalizmie było złe. Idea równości, sprawiedliwości społecznej...

- Teoria kontra praktyka, Pierre - przerwała mu matka. - W teorii socjalizm brzmi pięknie. W praktyce prowadzi do gulagu.

François słuchał tej wymiany zdań, przyzwyczajony do politycznych debat przy rodzinnym stole. Jego rodzice, choć oboje byli intelektualistami, często różnili się w poglądach - ojciec bardziej lewicowy, matka bardziej liberalna. Ale zawsze dyskutowali z szacunkiem, argumentując swoje stanowiska, nigdy nie przechodząc do osobistych ataków.

- A ty, François? - zwrócił się do niego ojciec. - Co myślisz o tym, co dzieje się w Berlinie?

François zastanowił się przez chwilę.

- Myślę, że to musi być ekscytujące być częścią czegoś takiego - odpowiedział szczerze. - Być tam, na murze, czuć, że uczestniczy się w czymś ważnym.

Ojciec uśmiechnął się z aprobatą.

- To naturalne pragnienie - powiedział. - Być świadkiem historii, uczestniczyć w niej. Może dlatego zostałem historykiem.

W ciągu następnych dni i tygodni François z zaskakującym dla siebie samego zainteresowaniem śledził wiadomości z Europy Wschodniej. Zmiany zachodziły szybko - w Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii. Każdy kraj miał swoją drogę do demokracji, niektóre pokojowe, inne - jak Rumunia - naznaczone przemocą.

W szkole zaczął bardziej skupiać się na lekcjach historii i geografii. Kupił atlas, by lepiej zrozumieć, gdzie leżą kraje, o których mówiło się w wiadomościach. Zaczął czytać gazety, które przynosił ojciec - Le Monde, Libération.

- Co takiego ciekawego jest w Europie Wschodniej? - zapytał go kiedyś jego najlepszy przyjaciel, Antoine, gdy François odmówił grania w piłkę, bo chciał dokończyć artykuł o reformach w Polsce.

François nie potrafił dokładnie wyjaśnić swojej fascynacji. Było w tych odległych krajach coś, co go intrygowało - może ich tajemniczość, może dramatyzm przemian, które tam zachodziły. Czuł, jakby oglądał film, w którym wszystko jest możliwe, w którym historia dzieje się na jego oczach.

Wiosną 1990 roku ojciec François został zaproszony na konferencję do Warszawy. Ku zaskoczeniu chłopca, ojciec zaproponował, by mu towarzyszył.

- To będzie edukacyjne doświadczenie - przekonywał matkę, która miała wątpliwości. - Zobaczysz kraj w trakcie transformacji. To lepsze niż każda lekcja historii.

I tak, w kwietniu 1990 roku, François po raz pierwszy przekroczył granicę, która kiedyś dzieliła Europę na dwa światy. Warszawa, którą zobaczył, nie przypominała ani szarego, komunistycznego miasta, ani tętniącej życiem zachodniej metropolii. Była gdzieś pomiędzy - pełna kontrastów, energii, sprzeczności.

Zobaczył kolejki przed pierwszymi sklepami z zachodnimi towarami i puste półki w państwowych sklepach. Widział młodych ludzi w dżinsach i t-shirtach z zachodnimi napisami, obok starszych, ubranych w szare płaszcze. Słyszał rozmowy po angielsku w hotelowej restauracji i niezrozumiałe dla niego, melodyjne dźwięki polszczyzny na ulicach.

- Co o tym myślisz? - zapytał go ojciec trzeciego dnia ich pobytu, gdy spacerowali po Starym Mieście.

François zastanawiał się przez chwilę.

- To jest... inne - odpowiedział w końcu. - Nie tak, jak sobie wyobrażałem. Spodziewałem się, że będzie bardziej szaro, ponuro. Ale ludzie wyglądają zwyczajnie. Niektóre budynki są nawet ładniejsze niż u nas.

Ojciec zaśmiał się.

- Propaganda działa w obie strony, François - powiedział. - My na Zachodzie mieliśmy swoją wizję "ponurego Wschodu", oni mieli wizję "zgniłego Zachodu". Rzeczywistość, jak zwykle, jest bardziej złożona.

- Ale dlaczego oni chcą być jak my? - dociekał François. - Wszędzie widzę reklamy zachodnich marek, ludzie starają się mówić po angielsku, ubierać się jak na Zachodzie.

Ojciec spoważniał.

- To naturalne - odparł. - Po dekadach izolacji ludzie pragną tego, co było niedostępne. Zachód reprezentuje dla nich dobrobyt, wolność, możliwości. Ale to nie znaczy, że bezkrytycznie przyjmą wszystko, co zachodnie. Z czasem wypracują własną drogę, własny model.

François nie był tego taki pewien. Widział zachłanność, z jaką młodzi Polacy pochłaniali wszystko, co zachodnie - coca-colę, dżinsy, muzykę pop. Widział też zagubienie starszych ludzi, którzy wyglądali, jakby nagle znaleźli się w obcym

kraju.

Podczas konferencji, na którą został zaproszony przez ojca, François słuchał dyskusji o przyszłości Europy, o integracji Wschodu i Zachodu, o wyzwaniach transformacji. Większość wystąpień była w języku angielskim, więc mógł je zrozumieć. Zapamiętał szczególnie jedno – starszego polskiego profesora, który mówił o "traumie gwałtownej zmiany".

– Proszę zrozumieć – mówił profesor łamaną angielszczyzną – dla was na Zachodzie upadek komunizmu to triumf demokracji. Dla nas to także rozpad pewnego porządku, który, choć niedoskonały, był przewidywalny. Ludzie budowali w nim swoje życia, kariery, relacje. Teraz wszystko się zmienia, wszystko jest niepewne. To jest zbiorowa trauma.

François zauważył, że niektórzy zachodni uczestnicy konferencji wydawali się zniecierpliwieni tym wystąpieniem. Jego ojciec jednak słuchał uważnie, notując.

W drodze powrotnej do Paryża François zapytał:

– Tato, czy ten polski profesor miał rację? Czy zmiany w Europie Wschodniej to trauma?

Ojciec, wpatrując się w chmury za oknem samolotu, odpowiedział po długiej chwili:

– Każda wielka zmiana niesie ze sobą traumę, François. Nawet zmiany na lepsze wymagają porzucenia tego, co znane, co oswojone. A to zawsze boli. Myślę, że my na Zachodzie zbyt łatwo zakładamy, że wprowadzenie demokracji i wolnego rynku automatycznie przyniesie szczęście i dobrobyt. Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana.

Ta podróż do Polski w 1990 roku ukształtowała zainteresowania François bardziej, niż mógłby się spodziewać. Gdy przyszedł czas wyboru studiów, zdecydował się na historię z dodatkową specjalizacją w studiach wschodnioeuropejskich. Jego praca magisterska dotyczyła pamięci historycznej w krajach postkomunistycznych. Doktorat napisał o różnych modelach transformacji ustrojowej.

Jako dorosły mężczyzna często wracał do Europy Wschodniej – do Polski, Czech, Węgier. Obserwował, jak kraje te zmieniały się, jak dołączały do Unii Europejskiej, jak stopniowo różnice między Wschodem a Zachodem zacierały się, choć nigdy całkowicie nie zniknęły.

Ale nigdy nie zapominał tego pierwszego wrażenia – Warszawy w 1990 roku, miasta na rozdrożu, społeczeństwa w trakcie transformacji. I często zastanawiał się, czy gdyby nie świadoma decyzja ojca, by pokazać mu Europę Wschodnią w tamtym kluczowym momencie, jego życie potoczyłoby się inaczej.

Sofia, zima 1989

Ivana Dimitrova siedziała na zimnej podłodze w przedpokoju, układając puzzle. Miała pięć lat i przez okno ich małego mieszkania na czwartym piętrze bloku w Sofii obserwowała, jak pada śnieg. Lubiła śnieg – jego czystość, ciszę, jaką przynosił, sposób, w jaki zmieniał znajomy krajobraz w coś magicznego.

Z kuchni dochodziły ją głosy rodziców. Ojciec wrócił właśnie z pracy w szpitalu – był lekarzem, neurochirurgiem. Matka przygotowywała obiad, rozmawiając z nim przyciszonym głosem. Ivana nie rozumiała wszystkiego, ale wiedziała, że rozmawiają o czymś ważnym.

– ...w Rumunii strzelają do ludzi... – dobiegły ją fragmenty. – ...Ceaușescu uciekł...

– ...tutaj też będą protesty... – odpowiadał ojciec. – ...zmiana jest nieunikniona...

Ivana знаła te słowa – "zmiana", "protesty", "reżim". W ostatnich tygodniach słyszała je często, w domu, w telewizji, nawet w przedszkolu, gdzie nauczycielki szeptały między sobą podczas popołudniowej drzemki dzieci.

Nagle usłyszała, jak matka podnosi głos, co zdarzało się rzadko.

– Nie możesz się w to angażować, Georgi! Pomyśl o Ivanie, o mnie!

– Ktoś musi się zaangażować, Evelina – odpowiedział ojciec spokojnie, ale stanowczo. – Nie możemy już dłużej milczeć. Zresztą, teraz jest inaczej. Gorbaczow dał sygnał. Armia radziecka nie wkroczy jak w Czechosłowacji w '68. Jesteśmy bezpieczni.

– Bezpieczni? – głos matki drżał. – A Rumunia? Tam też są bezpieczni?

Zapadła cisza. Ivana przestała układać puzzle i na palcach podeszła bliżej kuchni, ciekawa, o czym rozmawiają rodzice.

– To inne okoliczności – powiedział w końcu ojciec. – Ceaușescu był tyranem, brutalnym nawet wobec własnego narodu. Živkov jest słaby, jego czas się kończy. Zmiana w Bułgarii będzie pokojowa, zobaczysz.

– Oby miał rację – westchnęła matka.

W tym momencie ojciec wyszedł z kuchni i zauważył Ivanę, stojącą w korytarzu.

– Moja mała księżniczka podsłuchuje? – zapytał z uśmiechem, podnosząc ją i okręcając w powietrzu.

Ivana zaśmiała się, zapominając na chwilę o poważnej rozmowie rodziców.

- Nie podsłuchuję, tatusiu - zaprzeczyła. - Tylko robię sobie przerwę od puzzli.

- Ach tak? - ojciec udał, że jej nie wierzy. - A co układasz?

- Zamek - odpowiedziała z dumą. - Prawie skończyłam wieżę.

- Pokażesz mi? - ojciec postawił ją na ziemi, a ona pociągnęła go za rękę do przedpokoju, gdzie leżały rozłożone puzzle.

Ojciec Ivany był wysokim mężczyzną o szerokich ramionach i łagodnych oczach. Miał trzydzieści dziewięć lat i był szanowanym neurochirurgiem w głównym szpitalu w Sofii. Ivana uwielbiała, gdy wracał z pracy i spędzał z nią czas - czytając jej książki, pomagając w układaniu puzzli, opowiadając historie.

- Mam dla ciebie niespodziankę - powiedział, wyjmując z kieszeni marynarki małe, kolorowe zawiniątko.

Ivana rozpakowała je niecierpliwie. W środku był srebrny łańcuszek z malutkim krzyżykiem.

- Jest piękny - powiedziała, dotykając delikatnego srebra.

- To prezent na Boże Narodzenie - wyjaśnił ojciec. - Wiem, że jeszcze trochę zostało, ale chciałem ci go dać wcześniej.

- Ale my nie obchodzimy Bożego Narodzenia - zauważyła Ivana, zdziwiona. W ich domu nie było tradycji religijnych. Jak w większości rodzin w komunistycznej Bułgarii, święta miały raczej świecki charakter.

Ojciec spojrzał na nią poważnie.

- To się zmienia, Ivanko - powiedział. - Od teraz będziemy obchodzić Boże Narodzenie. I Wielkanoc. I wszystkie inne święta, które ludzie obchodzili przed... przed zmianami.

- Przed jakimi zmianami? - dopytywała Ivana.

Ojciec zawahał się, szukając prostych słów, by wytłumaczyć coś skomplikowanego.

- W naszym kraju, Ivanko, przez długi czas nie można było mówić o niektórych rzeczach. O Bogu, o wierze, o historii sprzed komunizmu. Ale teraz to się zmienia. Ludzie mogą znów mówić otwarcie, wyznawać swoją wiarę, nie bać się.

Ivana nie do końca rozumiała, ale poczuła, że to coś ważnego. Pozwoliła, by ojciec zawiesił jej łańcuszek na szyi.

- Noś go zawsze - powiedział, całując ją w czoło. - To symbol nadziei.

W kolejnych dniach Ivana zauważyła, że rodzice częściej wychodzą wieczorami, zostawiając ją pod opieką babci. Tłumaczyli, że idą na "spotkania", ale nie wyjaśniali, jakiego rodzaju.

Pewnego wieczoru, gdy wracali z takiego spotkania, ojciec był niezwykle podekscytowany.

- To się dzieje, Evelina - mówił do matki, gdy Ivana udawała, że śpi w swoim łóżku.
- Reżim upada. Živkov ustąpił. Będą zmiany, prawdziwe zmiany.

- Boję się, Georgi - odpowiedziała matka. - Co to będzie oznaczać dla nas, dla naszej przyszłości?

- Wolność, Evelina - zapewnił ją ojciec. - To będzie oznaczać wolność.

W następnych tygodniach i miesiącach życie w Sofii zaczęło się zmieniać. Na ulicach pojawiło się więcej ludzi, manifestacje, spotkania. Ojciec Ivany coraz częściej wychodził wieczorami, wracał późno, czasem rozgorączkowany, czasem przygnębiony.

- W szpitalu nie ma podstawowych leków - usłyszała kiedyś, jak mówi do matki. - Ludzie umierają z powodu braku antybiotyków, a rząd wydaje miliony na pomniki i parady.

- Wcześniej też nie było leków - odpowiedziała matka. - Co się teraz zmieniło?

- Teraz możemy o tym mówić głośno - odparł ojciec. - Teraz możemy domagać się zmian.

Wiosną 1990 roku ojciec Ivany został wybrany do komitetu lekarzy, którzy mieli negocjować z nowym rządem reformę służby zdrowia. Był pełen entuzjazmu, wizji, planów. Mówił o nowym szpitalu, o sprzeczności z Zachodem, o wymianach międzynarodowych.

Jednak rzeczywistość okazała się bardziej brutalna. Reformy, które miały przynieść poprawę, przynosiły chaos. Państwowe przedsiębiorstwa upadały, ludzie tracili pracę. Inflacja zjadała oszczędności. Na bazarach, gdzie kiedyś można było kupić świeże warzywa i owoce, teraz handlowano używanymi ubraniami z Zachodu i tanimi podróbkami znanych marek.

- Nie tak miało być - powiedział kiedyś ojciec podczas kolacji, jego głos był zmęczony, pozbawiony dawnego entuzjazmu. - Mieliśmy budować nową Bułgarię, demokratyczną, dostatnią. A zamiast tego...

- Zamiast tego jest jeszcze gorzej niż było - dokończyła matka cicho.

Ojciec spojrzał na nią z wyrzutem.

– Nie mów tak. Zmiany wymagają czasu. Nie możemy się poddać.

Ale coś w nim się zmieniło. Ivana, choć miała tylko sześć lat, zauważyła, że ojciec często siedzi wieczorami w swoim gabinecie, pije więcej niż dawniej, mniej się uśmiecha.

Jesienią 1991 roku, gdy Ivana miała pójść do pierwszej klasy, ojciec nie wstał rano z łóżka. Matka znalazła go nieprzytomnego i wezwała pogotowie. Zawał serca – powiedzieli lekarze. Intensywna terapia, operacja, walka o życie. Ivana niewiele z tego rozumiała, wiedziała tylko, że ojciec jest w szpitalu, że mama płacze, że babcia się modli.

Tydzień później ojciec zmarł. Miał czterdzieści jeden lat.

Na pogrzebie było wielu ludzi – koledzy ze szpitala, pacjenci, których uratował, przyjaciele z ruchu demokratycznego. Mówili o nim jako o wizjonerze, o człowieku oddanym ideałom, o lekarzu, który marzył o lepszej Bułgarii.

Ivana stała przy grobie, trzymając matkę za rękę, nie rozumiejąc do końca, co się stało. Wiedziała tylko, że jej ojciec odszedł, że już nigdy nie wróci, nie pomoże jej układać puzzli, nie opowie bajki na dobranoc.

– Dlaczego tatuś umarł? – zapytała babcię kilka dni po pogrzebie.

Babcia, stara, pomarszczona kobieta, która przeżyła wojnę, komunizm, a teraz transformację, pogłaskała ją po głowie.

– Serce mu pękło, Ivanko – odpowiedziała cicho. – Zbyt mocno kochał, zbyt mocno wierzył, zbyt mocno walczył.

Dla Ivany rok 1989 i następujące po nim lata zawsze kojarzyły się z utratą – utratą ojca, utratą stabilności, utratą dzieciństwa. Bo po śmierci ojca wszystko się zmieniło. Matka musiała pracować na dwa etaty, by utrzymać ich małą rodzinę. Babcia przeprowadziła się do nich, by opiekować się Ivaną. Nie było już wieczorów z puzzlami, nie było bajek na dobranoc, nie było srebrnego łańcuszka, który matka musiała sprzedać, by kupić leki dla babci.

Ivana dorastała w Bułgarii lat 90. – kraju pogrążonym w chaosie gospodarczym, korupcji, nierównościach społecznych. Kraju, gdzie obietnice demokracji i wolnego rynku dla wielu okazały się mirażem, gdzie dawne elity przekształciły się w nowe, gdzie zwykli ludzie walczyli o przetrwanie.

Ale w jej sercu wciąż żyło wspomnienie ojca, jego entuzjazmu, jego wiary w lepszą przyszłość. I może właśnie dlatego, gdy miała osiemnaście lat, zdecydowała się

pójść w jego ślady i studiować medycynę. By kontynuować jego dzieło, by nie pozwolić, by jego marzenia o lepszej Bułgarii umarły wraz z nim.

I może dlatego, gdy miała trzydzieści jeden lat, zdecydowała się wyjechać z Bułgarii do Polski – kraju, który zdawał się lepiej poradzić sobie z transformacją, kraju, który mógł dać jej to, czego nie mogła znaleźć w ojczyźnie: stabilność, godne życie, szansę na realizację zawodowych ambicji.

Ale nawet w Polsce, nawet po latach, wciąż nosiła w sobie ten rok – 1989 – rok, który dla Europy był początkiem nowej ery, a dla niej początkiem osobistej tragedii.

Rozdział 6: Dojrzwanie w nowym świecie

Kraków, 1998

Marta Stawska siedziała w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, otoczona stosami książek i notatek. Miała dwadzieścia pięć lat i była na ostatnim roku studiów psychologicznych. Przed nią leżał otwarty podręcznik do psychologii społecznej, ale jej myśli błądziły daleko od teorii konformizmu i wpływu społecznego.

Za oknem padał deszcz, bębniąc o szybę monotonnym rytmem. Kraków jesienią zawsze wydawał jej się melancholijny, jakby miasto samo pogrążało się w zadumie nad przemijającym czasem. Marta lubiła tę atmosferę – pasowała do jej usposobienia, do jej skłonności do refleksji i analizy.

Powinna skupić się na pracy magisterskiej, ale nie mogła przestać myśleć o wczorajszej rozmowie z ojcem. Odwiedziła go w Warszawie na weekend – od śmierci matki trzy lata temu mieszkał sam w tym samym mieszkaniu na Saskiej Kępie, w którym Marta dorastała.

– Postanowiłem sprzedać mieszkanie – powiedział jej podczas kolacji. – Jest za duże dla jednej osoby.

Marta spojrzała na niego zaskoczona.

– Ale mieszkasz tu całe życie, tato. Mama zawsze...

– Twoja mama nie żyje, Marto – przerwał jej łagodnie, ale stanowczo. – A ja muszę żyć dalej.

Było w jego głosie coś, co ją zaskoczyło – determinacja, może nawet ulga, jakby podjęcie tej decyzji uwolniło go od jakiegoś ciężaru.

- Rozumiem - odpowiedziała, choć nie była pewna, czy rzeczywiście rozumie. - Gdzie zamierzasz się przeprowadzić?

- Kupię coś mniejszego, może bliżej centrum. - Uśmiechnął się lekko. - W końcu jestem wdowcem przed sześćdziesiątką, powinienem korzystać z życia, prawda?

Marta przytaknęła, próbując odwzajemnić uśmiech. Ale czuła się dziwnie - jakby ojciec odcinał się od ich wspólnej przeszłości, od wspomnień, które były dla niej tak cenne.

- Co z rzeczami mamy? - zapytała, myśląc o szafie pełnej jej ubrań, którą ojciec zachował nietkniętą po jej śmierci.

- Część oddam - odpowiedział spokojnie. - Część zachowam. Ty też możesz wziąć, co chcesz. Ale Marto... - zawahał się. - Musimy iść naprzód. Oboje.

Teraz, siedząc w bibliotece, Marta zastanawiała się, czy ojciec miał rację. Czy ona sama nie tkwiła zbyt mocno w przeszłości? W końcu wybrała psychologię częściowo dlatego, że chciała zrozumieć traumę swojego dzieciństwa - aresztowanie ojca, jego powrót, zimną ciszę, która zapadła między rodzicami po 1989 roku.

Jej rodzice nigdy nie rozwiedli się, ale coś między nimi pękło. Ojciec, dawny opozycjonista, po zmianie systemu zaangażował się w politykę - został posłem, potem wiceministrem. Matka, która całe życie stała u jego boku, nagle znalazła się na uboczu. Zaczęła chorować - najpierw depresja, potem rak. Zmarła, gdy Marta miała dwadzieścia dwa lata, w pierwszym roku studiów magisterskich.

- Hej, Stawska, ziemia do Stawskiej! - Znajomy głos wyrwał ją z zamyślenia.

Podniosła głowę i zobaczyła Michała, kolegę z roku, stojącego nad nią z kubkiem kawy w dłoni.

- Wybacz, zamyśliłam się - powiedziała, przeczesując palcami krótkie, ciemne włosy.

- Zauważyłem - zaśmiał się Michał, siadając naprzeciwko niej. - Nad czym tak dumasz? Praca magisterska?

- Między innymi - odpowiedziała wymijająco.

Michał był jej przyjacielem, jednym z niewielu, których dopuszczała blisko siebie. Był bystrym, empatycznym człowiekiem, który również wybrał psychologię z osobistych powodów - jego brat zmagał się z chorobą dwubiegunową.

- Słyszałaś o nowym projekcie profesora Kowalskiego? - zapytał, pochylając się nad stołem. - Szuka asystentów do badań nad traumą pokoleniową.

Marta natychmiast się ożywiła. Profesor Kowalski był jednym z najbardziej cenionych psychologów w Polsce, specjalizującym się w psychologii traumy.

- Naprawdę? Skąd wiesz?

- Wspomniał o tym na konsultacjach. Pomyślałem, że mogłoby cię to zainteresować, biorąc pod uwagę temat twojej pracy.

Marta pisała pracę magisterską o wpływie traumatycznych doświadczeń rodziców na kształtowanie się tożsamości ich dzieci. Wybór tematu nie był przypadkowy - przez lata próbowała zrozumieć, jak doświadczenia jej ojca z okresu opozycji i stanu wojennego wpłynęły na jej własny rozwój.

- Dziękuję, Michał - powiedziała szczerze. - To rzeczywiście mogłoby być coś dla mnie.

- Tylko... - Michał zawahał się. - Wiesz, że to będzie wymagało otwarcia się na własne doświadczenia? Kowalski stosuje metodę autoetnografii. Trzeba być gotowym na konfrontację z własną historią.

Marta skinęła głową. Wiedziała, o czym mówi Michał. Przez lata terapii nauczyła się, że największym wyzwaniem dla psychologa jest konfrontacja z własnymi demonami.

- Myślę, że jestem gotowa - powiedziała, choć nie była pewna, czy to prawda.

W tym samym czasie, kilka stołów dalej, siedziała Olga Sorokina, dwudziestotrzyletnia studentka filologii polskiej i rosyjskiej. Pochodziła z Moskwy, ale od trzech lat mieszkała w Krakowie, uciekając przed coraz bardziej autorytarnym reżimem Putina.

Olga była drobną kobietą o jasnych włosach i szarych oczach, w których czał się cień smutku. Siedziała pochylona nad książką, ale co chwilę zerkła na zegarek. Czekala na kogoś - Martę Stawską.

Poznały się miesiąc wcześniej, podczas interdyscyplinarnej konferencji na temat pamięci kulturowej. Marta wygłaszała referat o psychologicznych aspektach pamięci zbiorowej, Olga o literackich reprezentacjach traumy postsowieckiej. Po konferencji zaczęły rozmawiać i odkryły, że mimo różnic kulturowych i doświadczeń, łączy je coś głębokiego - poszukiwanie tożsamości w świecie po transformacji.

Marta zauważyła Olgę i pomachała do niej. Szybko zebrała swoje rzeczy i podeszła do jej stolika.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała, siadając naprzeciwko Rosjanki. - Zgubiłam się we własnych myślach.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała Olga z lekkim akcentem. - Też często się gubię. Dosłownie i w przenośni. Kraków to labirynt.

Marta uśmiechnęła się. Lubiła sposób, w jaki Olga mówiła po polsku - z precyzją osoby, która nauczyła się języka z książek, ale z melodią właściwą dla jej ojczystego rosyjskiego.

- Jak idzie praca nad tłumaczeniem? - zapytała.

Olga pracowała nad tłumaczeniem powieści Olgi Tokarczuk na język rosyjski, co było jej projektem magisterskim.

- Powoli - westchnęła Olga. - Tokarczuk jest trudna do przetłumaczenia. Jej język jest tak... specyficzny. Ale to nie dlatego chciałam się spotkać.

Marta spojrzała na nią pytająco.

- Pamiętasz, jak mówiłaś, że szukasz materiałów do swojej pracy o pamięci traumatycznej? - Olga wyjęła z torby plik papierów. - Znalazłam coś, co może cię zainteresować. To pamiętniki mojej babci z lat 80. i 90. Opisuje tam, jak zmieniało się życie zwykłych ludzi w Związku Radzieckim podczas pierestrojki i po upadku systemu.

Marta wzięła do ręki plik kartek zapisanych cyrylicą.

- To niesamowite, Olga, ale nie czytam po rosyjsku.

- Przetłumaczyłam fragmenty - Olga podała jej drugą, cieńszą teczkę. - Te, które wydały mi się najbardziej istotne z perspektywy twojej pracy.

Marta przyjęła teczkę z wdzięcznością.

- Nie wiem, jak ci dziękować.

- Nie musisz - odpowiedziała Olga, a jej głos nabrał intensywności. - Wiesz, dlaczego to robię? Bo mam wrażenie, że na Zachodzie nikt nie rozumie, co naprawdę wydarzyło się w Rosji po 1991 roku. Macie swoje stereotypy, swoje narracje. Ale prawdziwe historie ludzi takich jak moja babcia, moi rodzice... one nigdy nie są słyszane.

Marta przytaknęła. Rozumiała to pragnienie, by własna historia została usłyszana, uznana. Sama czuła to samo w kontekście doświadczeń swojej rodziny.

- Przeczytam je uważnie – obiecała – I może mogłybyśmy porozmawiać o nich, gdy skończę? Twoja perspektywa byłaby nieoceniona.

Olga uśmiechnęła się, a jej twarz rozjaśniła się.

- Z przyjemnością. Ale ostrzegam, mam dużo do powiedzenia na ten temat.

Przez następne godziny dwie młode kobiety – Polka i Rosjanka – rozmawiały o swoich doświadczeniach dorastania w cieniu transformacji. Mimo różnic w ich historiach było też wiele podobieństw – poczucie zagubienia starszego pokolenia, zderzenie ideałów z rzeczywistością, próba zbudowania własnej tożsamości na gruzach starego porządku.

To popołudnie w bibliotece było początkiem przyjaźni, która miała przetrwać lata. Ale żadna z nich nie mogła wtedy wiedzieć, jak bardzo ich drogi jeszcze się splecą – w projekcie, który połączy ich osobiste historie z szerszą narracją o transformacji Europy.

Lwów-Kijów, 2004

Viktor Kovalenko stał pośród tłumu na Placu Niepodległości w Kijowie, otoczony morzem pomarańczowych flag i szalików. Miał osiemnaście lat i był studentem pierwszego roku architektury. Przerwał naukę i przyjechał autobusem ze Lwowa, gdzie studiował, by dołączyć do protestu, który media zaczęły nazywać "Pomarańczową Rewolucją".

Była późna jesień, temperatura spadała poniżej zera, ale Viktor nie czuł zimna. Czuł ekscytację, nadzieję, poczucie uczestnictwa w czymś ważnym. Wokół niego ludzie śpiewali, skandowali hasła, trzymali się za ręce. Starsi, młodszy, studenci, robotnicy, inteligencja – wszyscy zjednoczeni w proteście przeciwko sfałszowanym wyborom.

- To jest nasza chwila, Viktor – powiedział Andrij, jego przyjaciel ze studiów, który przyjechał razem z nim z lwowskiej uczelni. - Nasi rodzice mieli 1991 rok, my mamy 2004. To nasza rewolucja.

Viktor przytaknął, choć nie był pewien, czy podziela entuzjazm przyjaciela. Pamiętał rozmowy rodziców po rozpadzie Związku Radzieckiego, ich początkową nadzieję, która szybko przerodziła się w rozczarowanie. Pamiętał lata 90. – biedę, korupcję, upadek przemysłu, emigrację zarobkową.

- Myślisz, że tym razem będzie inaczej? – zapytał.

Andrij spojrzał na niego z wyrzutem.

- Musi być inaczej. Jesteśmy innym pokoleniem. Nie mamy radzieckiej mentalności. Jesteśmy Europejczykami.

Viktor rozejrzał się po placu. Rzeczywiście, wszędzie widać było europejskie flagi, obok ukraińskich. Hasła o integracji z Zachodem, o demokracji, o wartościach europejskich. Ale czy to wystarczy? Czy samo pragnienie bycia częścią Europy może przewyciężyć dekady postsowieckiej rzeczywistości?

- Hej, nie bądź taki sceptyczny - Andrij szturchnął go w bok. - Spójrz na tych ludzi. Oni naprawdę wierzą, że możemy coś zmienić.

Viktor chciał w to wierzyć. Naprawdę chciał. Ale gdzieś w głębi duszy czuł niepokój.

Wieczorem temperatura spadła jeszcze bardziej. Viktor i Andrij, wraz z innymi studentami ze Lwowa, zorganizowali prowizoryczny obóz - kilka namiotów, koce, termosy z gorącą herbatą. Siedzieli teraz wokół małego, przenośnego grzejnika, dyskutując o przyszłości Ukrainy.

- Jeśli Juszczenko wygra, wszystko się zmieni - mówił Taras, student prawa. - Dołączymy do Unii Europejskiej, do NATO. Będziemy jak Polska.

- Polska miała wsparcie Zachodu od samego początku - zauważył Viktor. - My jesteśmy sami.

- Nieprawda - zaprotestowała Natalia, studentka dziennikarstwa. - Spójrz, ilu zagranicznych dziennikarzy jest na placu. Cały świat nas ogląda, kibicuje nam.

- Kibicowanie to nie to samo, co realna pomoc - upierał się Viktor.

Andrij przewrócił oczami.

- Viktor zawsze musi być tym praktycznym. Architektem nie tylko z wyboru, ale i z charakteru - buduje, planuje, kalkuluje.

Wszyscy się zaśmiali, nawet Viktor. Ale jego wątpliwości nie zniknęły.

W namiocie zasnął dopiero nad ranem, zwinięty w kłębek w ciasnej przestrzeni, którą dzielił z trzema innymi studentami. Śniły mu się dziwne rzeczy - Kijów z lotu ptaka, miasto podzielone na dwie części: wschodnią, szarą, pogrążoną w mroku, i zachodnią, jasną, tętniącą życiem. A pomiędzy nimi mur - nie fizyczny, ale wyraźnie widoczny, jak granica między dwoma światami.

Obudził się z tym snem wciąż żywym w pamięci. Wyszedł z namiotu na chłodne, jesienne powietrze. Plac wciąż był pełen ludzi, nawet o tak wczesnej porze. Niektórzy spali, inni czuwalili, jeszcze inni przygotowywali posiłki. Viktor obserwował to wszystko z mieszaniną podziwu i niepokoju.

Poczuł wibrację telefonu w kieszeni kurtki. To matka, znowu. Martwi się. Od trzech dni wysyła mu wiadomości, prosi, by wrócił do Lwowa, do studiów. Ojciec jest bardziej wyrozumiały – sam był w Kijowie w 1991 roku, gdy Ukraina ogłaszała niepodległość. Rozumie potrzebę uczestnictwa w historycznych wydarzeniach.

Viktor oddzwonił do matki, uspokajając ją, że wszystko w porządku, że jest bezpieczny. Nie powiedział jej o swoich wątpliwościach, o niepokojącym śnie. Po co ją martwić?

– Niedługo wrócę – obiecał. – Jak tylko będzie jasne, co dalej.

– Bądź ostrożny, Vitya – poprosiła. – Pamiętaj, że żadna polityka nie jest warta twojego zdrowia, twojej przyszłości.

Ale czy to była tylko polityka? Dla Viktora i jego przyjaciół Pomarańczowa Rewolucja była czymś więcej – była walką o tożsamość Ukrainy, o jej miejsce w Europie, o odcięcie się od postsowieckiej przeszłości.

Kolejne dni na placu zlewały się w jedno. Viktor słuchał przemówień liderów opozycji, śpiewał hymn narodowy, skandował hasła razem z tłumem. Ale z każdym dniem jego początkowy entuzjazm nieco bladł, zastępowany przez bardziej złożone emocje – determinację, refleksję, czasem zwątpienie.

W końcu nadeszły wieści – Sąd Najwyższy unieważnił sfałszowane wybory, zarządzono powtórkę. Tłum na placu eksplodował radością. Viktor i jego przyjaciele świętowali wraz z innymi, ale w jego sercu radość mieszała się z niepewnością. Co będzie dalej? Czy jedna wygrana bitwa zmieni cały kraj?

Wrócił do Lwowa po trzech tygodniach spędzonych w Kijowie. Wrócił do studiów, do projektów, do codziennego życia. Ale coś w nim się zmieniło. Doświadczenie Pomarańczowej Rewolucji pokazało mu zarówno siłę zbiorowego działania, jak i jego ograniczenia.

W ciągu kolejnych lat Viktor obserwował, jak początkowe nadzieje związane z "pomarańczową" władzą stopniowo gasły, jak korupcja i stare problemy powracały, jak społeczeństwo ponownie pogrążało się w apatii i rozczarowaniu. Ale coś pozostało – poczucie, że obywatele mogą się zjednoczyć, że mogą wyjść na ulice, domagać się zmian.

To doświadczenie ukształtowało jego podejście do architektury. Gdy w 2010 roku, już jako młody architekt, zaczął pracować nad projektami odbudowy historycznych części Lwowa, myślał nie tylko o estetyce czy funkcjonalności, ale także o znaczeniu przestrzeni publicznej dla tożsamości społeczności. O tym, jak architektura może łączyć lub dzielić ludzi, jak może odzwierciedlać wartości, aspiracje, historię.

I kiedy w 2014 roku wybuchł Euromajdan, Viktor znów pojechał do Kijowa. Tym razem nie jako student, ale jako dorosły mężczyzna, świadomy zarówno możliwości, jak i ograniczeń społecznego protestu. I tym razem jego wątpliwości okazały się uzasadnione – rewolucja, która miała przynieść Ukrainie europejską przyszłość, doprowadziła do wojny, która trwa do dziś.

Ta złożona historia, te doświadczenia kształtowały Viktora – jego poglądy, jego prace, jego relacje z innymi. Gdy w 2025 roku przyjechał do Krakowa, by uczestniczyć w projekcie o transformacji Europy, niósł ze sobą bagaż tych doświadczeń – nadziei, rozczarowań, determinacji. Bagaż, który był niewidoczny dla innych uczestników, ale który wpływał na każdą jego decyzję, każdą interakcję.

Berlin, 2000

Klaus Wagner siedział w auli Wolnego Uniwersytetu Berlińskiego, słuchając wykładu z ekonomii politycznej. Miał czternaście lat i właśnie skończył pierwszy miesiąc studiów. Był jednym z najmłodszych studentów – przeskoczył dwie klasy w liceum, a maturę zdał z wyróżnieniem. Teraz, otoczony ludźmi o kilka lat starszymi, starał się robić wrażenie dojrzałego, niż był w rzeczywistości.

– Transformacja Europy Wschodniej to największy eksperyment ekonomiczny w historii nowożytnej – mówił profesor, starszy mężczyzna o siwych włosach i przenikliwym spojrzeniu. – Przejście od gospodarki centralnie planowanej do wolnorynkowej w tak krótkim czasie, na tak dużą skalę, nie ma precedensu.

Klaus notował skrupulatnie każde słowo. Fascynowała go ekonomia, zwłaszcza w kontekście transformacji postkomunistycznej. Częściowo dlatego, że jego ojciec był jednym z architektów zjednoczenia gospodarczego Niemiec – jako dyrektor dużego banku, był jednym z tych, którzy inwestowali w upadające wschodnioniemieckie przedsiębiorstwa, restrukturyzowali je, wprowadzali zachodnie standardy.

– Jakie są główne modele transformacji, które można zaobserwować w Europie Wschodniej? – zapytał profesor, rozglądając się po sali. – Panno Schmidt?

Młoda kobieta siedząca kilka rzędów przed Klausem odpowiedziała pewnie:

– Możemy wyróżnić model radykalny, tzw. terapię szokową, zastosowaną w Polsce, oraz model gradualistyczny, preferowany na przykład na Węgrzech czy w Słowenii.

– Bardzo dobrze – przytaknął profesor. – A jakie są konsekwencje społeczne tych różnych modeli? Panie Wagner?

Klaus poczuł, jak wszystkie spojrzenia zwracają się w jego stronę. Wziął głęboki oddech.

- Model radykalny prowadzi do szybszych zmian strukturalnych, ale też do wyższych kosztów społecznych - bezrobocia, nierówności. Model gradualistyczny minimalizuje koszty społeczne, ale może prowadzić do utrzymywania się nieefektywnych struktur gospodarczych i opóźnień w reformach.

Profesor skinął głową z aprobatą.

- Doskonale. A który model, pana zdaniem, jest lepszy?

Klaus zawahał się. Wiedział, że jego ojciec był zdecydowanym zwolennikiem radykalnych reform, ale sam miał pewne wątpliwości.

- To zależy od kontekstu - odpowiedział dyplomatycznie. - W krajach o słabszych instytucjach i mniejszym kapitale społecznym, model gradualistyczny może być korzystniejszy. Ale tam, gdzie istnieje silne poparcie społeczne dla reform i stabilne instytucje, model radykalny może przynieść szybsze korzyści.

- Interesująca odpowiedź - skomentował profesor. - Chociaż zastanawiam się, czy "poparcie społeczne" nie jest zbyt optymistycznym określeniem. Może raczej powinniśmy mówić o "tolerancji dla kosztów zmian"?

Po wykładzie Klaus zebrał swoje notatki i skierował się do wyjścia. Zatrzymał go głos:

- Wagner! Poczekaj!

Odwrócił się i zobaczył spieszącą w jego kierunku młodą kobietę - tę samą, która odpowiadała na pytanie profesora.

- Jestem Heike Schmidt - przedstawiła się, wyciągając rękę. - Byłam pod wrażeniem twojej odpowiedzi.

Klaus uścisnął jej dłoń, zaskoczony. Heike była co najmniej pięć lat starsza od niego, na trzecim roku studiów.

- Dziękuję - odpowiedział. - Chociaż to była dość standardowa analiza.

- Może dla ciebie - zaśmiała się Heike. - Ale większość pierwszorzeczniaków powtarza tylko to, co wyczytali w podręcznikach. Ty wydajesz się mieć własne przemyślenia.

Klaus poczuł się nagle bardziej pewny siebie. Heike była atrakcyjną, inteligentną kobietą, a jej zainteresowanie pochlebiało mu.

- Mój ojciec pracuje w finansach, zajmuje się inwestycjami w Europie Wschodniej - wyjaśnił. - Słyszałem wiele dyskusji na ten temat w domu.

- Rozumiem - przytaknęła Heike. - Moi rodzice są ze Wschodu, z Drezna. Przenieśli się do Berlina Zachodniego w 1988 roku, rok przed upadkiem muru.

- Jak im się udało? - zapytał Klaus, zaintrygowany. Ucieczki z NRD były rzadkie i niebezpieczne.

- Mój ojciec był lekarzem, dostał oficjalne pozwolenie na konferencję medyczną w Wiedniu. Pojechał z całą rodziną i po prostu nie wróciliśmy.

Klaus przytaknął. Słyszał o takich przypadkach - przedstawiciele elit, którzy mogli podróżować, czasem wykorzystywali tę możliwość do ucieczki.

- A jak im się układa teraz, po zjednoczeniu? - dopytywał.

Heike zawahała się.

- Różnie - odpowiedziała w końcu. - Ojciec radzi sobie dobrze, znalazł pracę w szpitalu. Ale matka... ona nigdy nie przystosowała się do życia na Zachodzie. Wciąż tęskni za Dreznem, za swoim dawnym życiem.

- Ale życie w NRD było przecież gorsze - zauważył Klaus, wspominając opowieści o permanentnych brakach, o inwigilacji, o braku swobód.

Heike spojrzała na niego z mieszaniną rozbawienia i irytacji.

- Tak myślą ludzie z Zachodu - powiedziała. - Ale dla wielu ze Wschodu to nie było takie proste. Tak, mieli mniej dóbr materialnych, mniej wolności. Ale mieli też pewność zatrudnienia, mieszkania, opieki społecznej. Mieli społeczność, solidarność. To wszystko zniknęło po zjednoczeniu.

Klaus poczuł się nieswojo. Nigdy nie myślał o zjednoczeniu Niemiec w ten sposób. W jego domu, w jego szkole, zawsze przedstawiano je jako bezwarunkowe zwycięstwo Zachodu, jako wyzwolenie Wschodu.

- Nie chcę powiedzieć, że NRD było lepsze - dodała Heike, widząc jego zmieszanie. - Tylko że transformacja ma swoje ciemne strony, których ludzie z Zachodu często nie dostrzegają.

- Chciałbym o tym więcej usłyszeć - powiedział Klaus szczerze. - Może moglibyśmy kiedyś porozmawiać przy kawie?

Heike uśmiechnęła się.

- Jasne. Ale ostrzegam, moje poglądy są dość lewicowe. Nie wiem, czy syn bankiera będzie w stanie je zrozumieć.

- Spróbuję - obiecał Klaus, również się uśmiechając.

Ta rozmowa była początkiem fascynującej przyjaźni, która miała głęboko wpłynąć na Klause. Przez następne miesiące on i Heike spotykali się regularnie - w kawiarniach, w bibliotece, czasem w jej małym mieszkaniu w dzielnicy Kreuzberg. Rozmawiali o ekonomii, polityce, historii, ale przede wszystkim o transformacji Europy Wschodniej i jej kosztach.

Heike zabierała go czasem na spotkania z jej przyjaciółmi ze Wschodu - byłymi dysydentami, artystami, intelektualistami, którzy mieli krytyczne spojrzenie na proces zjednoczenia. Klaus słuchał ich historii - o utracie pracy, o dewaluacji ich wykształcenia i doświadczenia, o poczuciu bycia obywatelami drugiej kategorii we własnym, teoretycznie zjednoczonym kraju.

Równocześnie Klaus prowadził zupełnie inne życie w domu rodzinnym w zamożnej dzielnicy Dahlem. Tam słuchał opowieści ojca o sukcesach transformacji, o modernizacji wschodnich landów, o miliardach marek zainwestowanych w infrastrukturę, edukację, środowisko.

Te dwa światy, te dwie narracje zderzały się w umyśle młodego Klause, tworząc dysonans poznawczy, który starał się rozwiązać. Zaczął więcej czytać, więcej pytać, więcej analizować. Jego oceny na studiach były doskonałe, ale profesorowie zauważali też zmianę w jego podejściu - stał się bardziej krytyczny, bardziej refleksyjny, mniej dogmatyczny.

W 2002 roku, gdy miał szesnaście lat, Klaus zdecydował się na krok, który zszokował jego rodziców - wziął rok przerwy w studiach i wyjechał do Drezna jako wolontariusz w organizacji pomagającej bezrobotnym. Chciał na własne oczy zobaczyć, jak wygląda sytuacja we wschodnich landach, poznać doświadczenia zwykłych ludzi, nie tylko elit.

Rok w Dreźnie był dla Klause prawdziwą lekcją pokory. Pracował z ludźmi, którzy stracili pracę w wyniku prywatyzacji, z młodzieżą bez perspektyw, z emerytami, których oszczędności zostały zdewaluowane przez wymianę waluty. Słuchał ich historii, ich rozczarowań, ich gniewu. Ale widział też oznaki pozytywnych zmian - odrestaurowane budynki, nowe możliwości, młodych ludzi patrzących w przyszłość z nadzieją.

Gdy wrócił do Berlina i do studiów, był już innym człowiekiem - bardziej dojrzałym, bardziej świadomym złożoności transformacji, jej kosztów i korzyści. Jego praca licencjacka poświęcona była społecznym kosztom prywatyzacji w Europie Wschodniej. Magisterium napisał o modelach restrukturyzacji przedsiębiorstw państwowych, porównując doświadczenia niemieckie, polskie i węgierskie.

Po studiach Klaus mógł pójść w ślady ojca – duże banki, międzynarodowe korporacje chętnie zatrudniały absolwentów z jego wynikami. Ale on wybrał inną drogę – dołączył do instytutu badawczego zajmującego się ekonomią rozwoju, specjalizując się w transformacji postkomunistycznej.

Jego podwójna perspektywa – jako syna zachodnioniemieckiej elity i jako kogoś, kto bezpośrednio zetknął się z kosztami transformacji – dawała mu unikalne spojrzenie. Nie był ani bezkrytycznym zwolennikiem radykalnych reform, ani ich dogmatycznym przeciwnikiem. Widział złożoność procesu, jego kontekstualność, jego długofalowe konsekwencje.

Ta złożona perspektywa była czymś, co przywiózł ze sobą do Krakowa w 2025 roku – perspektywa ukształtowana przez jego osobiste doświadczenia, przez przyjaźń z Heike i jej kręgiem, przez rok w Dreźnie, przez akademickie badania. Ale była też w nim pewna sztywność, pewien perfekcjonizm, odziedziczony po ojcu – dążenie do kontroli, do przewidywalności, do porządku.

I może właśnie dlatego, mimo wszystkich swoich analiz i badań, Klaus nie był przygotowany na to, co miał odkryć w Krakowie – na złożoność ludzkich relacji, na nieprzewidywalność emocji, na to, jak przeszłość kształtuje teraźniejszość w sposób, którego żadna ekonomiczna teoria nie jest w stanie w pełni wyjaśnić.

Moskwa-Sankt Petersburg, 2011

Olga Sorokina siedziała w zatłoczonym wagonie metra, wracając z protestu na Placu Błotnym. Miała dwadzieścia dziewięć lat i pracowała jako tłumaczka w małym wydawnictwie, specjalizującym się w przekładach zachodniej literatury na rosyjski. Czuła mieszaninę emocji – podekscytowanie udziałem w największym proteście od lat, strach przed możliwymi konsekwencjami, ale przede wszystkim nadzieja, że coś się może zmienić.

Wokół niej siedzieli i stali inni uczestnicy protestu – inteligencja, studenci, przedstawiciele rodzącej się klasy średniej. Niektórzy cicho rozmawiali o wydarzeniach dnia, inni milczeli, pogrążeni we własnych myślach. W powietrzu wyczuwało się atmosferę nerwowego oczekiwania.

– Byłaś na placu? – zapytał cicho siedzący obok niej starszy mężczyzna, zauważając białą wstążkę, symbol protestów, którą Olga wciąż miała przypiętą do kurtki.

Przytaknęła, automatycznie rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje.

– Pierwszy raz? – dopytywał mężczyzna.

– Trzeci – odpowiedziała Olga. – Byłam też w grudniu i w lutym.

Mężczyzna skinął głową z aprobatą.

- Przypomina mi to 1991 rok – powiedział z nutą nostalgii w głosie. – Ta sama energia, ta sama nadzieja. Też tam byłem, przed Białym Domem.

Olga słyszała o tamtych wydarzeniach od rodziców – o puczu sierpniowym, o obronie rosyjskiego parlamentu, o ludziach, którzy wyszli na ulice Moskwy, by bronić demokracji.

- Myślisz, że teraz też się uda? – zapytała, ścisząc głos.

Mężczyzna westchnął.

- Kto wie? W 1991 roku też nikt nie spodziewał się, że Związek Radziecki upadnie. Historia jest nieprzewidywalna.

Gdy Olga dotarła do swojego małego mieszkania na obrzeżach Moskwy, pierwszą rzeczą, którą zrobiła, było sprawdzenie telefonu. Kilka nieodebranych połączeń od Siergieja, jej partnera, z którym była od trzech lat. Oddzwoniła od razu.

- Gdzie byłaś? – zapytał Siergiej zamiast powitania. Jego głos brzmiał napiętą mieszkanką ulgi i irytacji.

- Wiesz gdzie – odpowiedziała spokojnie. – Na placu.

- Znów? Olga, to jest niebezpieczne. Zaczynają aresztować protestujących. Dziś zatrzymali Nawalnego i kilku innych liderów opozycji.

- Wiem – westchnęła Olga. – Byłam tam, widziałam.

- I wciąż tam zostałeś? – w głosie Siergieja brzmiało niedowierzanie. – Olga, to szaleństwo. Co by było, gdyby zatrzymali i ciebie?

Olga nie odpowiedziała od razu. Siergiej, choć współczuł opozycji, nigdy nie uczestniczył w protestach. Jako dziennikarz w jednej z ostatnich niezależnych gazet, uważał, że jego rolą jest dokumentowanie wydarzeń, nie uczestniczenie w nich. Olga rozumiała jego stanowisko, ale czasem czuła, że to wymówka, by nie ryzykować.

- Nie zatrzymali mnie – powiedziała w końcu. – I nie mogłam po prostu odejść, gdy aresztowali Nawalnego. To by było jak... jak ucieczka.

Siergiej westchnął.

- Rozumiem – powiedział, choć Olga nie była pewna, czy naprawdę rozumie. – Przyjdiesz dziś do mnie?

- Tak, tylko się przebiorę i coś zjem.

Godzinę później Olga jechała do mieszkania Siergieja w centrum miasta. Minął rok, odkąd Putin wrócił na stanowisko prezydenta, rozpoczynając swoją trzecią kadencję. Rok protestów, nadziei, a potem rosnących represji. Olga pamiętała początkowy entuzjazm – setki tysięcy ludzi na ulicach Moskwy, Sankt Petersburga, innych dużych miast. Wydawało się, że zmiana jest możliwa, że społeczeństwo obywatelskie budzi się do życia.

Ale z czasem protesty słabły. Represje nasilały się – aresztowania, procesy, nowe ustawy ograniczające wolność zgromadzeń, wolność słowa. Coraz więcej znajomych Olgi i Siergieja rozważało emigrację. Niektórzy już wyjechali – do Europy, do Stanów Zjednoczonych, niektórzy nawet do Azji czy Ameryki Południowej. Byle dalej od Rosji Putina.

Siergiej mieszkał w starej kamienicy niedaleko stacji metra Czystyje Prudy. Jego mieszkanie było małe, ale przytulne – pełne książek, płyt, pamiątek z podróży, które odbył jako korespondent. Olga miała tam swoją szufladę z ubraniami, szczoteczkę do zębów w łazience, swój ulubiony kubek w kuchni. Choć oficjalnie nie mieszkali razem, spędzała u niego większość czasu.

Gdy weszła, Siergiej przygotowywał kolację – prostą pastę z pomidorami. Pocałował ją na powitanie, ale Olga wyczuła napięcie w jego gestach.

- Coś się stało? – zapytała, zdejmując kurtkę.

Siergiej zawahał się, odkładając nóż, którym kroił czosnek.

- Dzwonił dziś do mnie Paweł – powiedział w końcu. – Zaoferował mi pracę w Londynie, w rosyjskiej sekcji BBC.

Olga zamarła. Paweł był przyjacielem Siergieja ze studiów, który wyemigrował do Wielkiej Brytanii kilka lat temu.

- I co odpowiedziałeś? – zapytała, starając się, by jej głos brzmiał neutralnie.

- Że muszę to przemyśleć – Siergiej wzruszył ramionami. – Że muszę z tobą porozmawiać.

Olga usiadła przy stole, czując, jak nogi się pod nią uginają.

Reflexio, CZĘŚĆ III: RELACJE (2025)

Rozdział 7: Perspektywy

Kraków, wiosna 2025 - Spotkanie męskie

Restauracja "Wierzynek", mieszcząca się w zabytkowej kamienicy przy Rynku Głównym, była jednym z najstarszych i najbardziej prestiżowych lokali w Krakowie. Jej historia sięgała XIV wieku, a legenda głosiła, że jadali tu królowie i książęta. Dla Stefana Wilka było to idealne miejsce na nieformalne spotkanie z męską częścią zespołu projektu. Lubił otaczać się historią, luksusem, poczuciem ciągłości. Może dlatego, że sam pochodził z rodziny, która dopiero niedawno osiągnęła sukces materialny.

- Panowie, zamawiajcie co chcecie - powiedział, siadając przy stole w narożnym alkierzu, z widokiem na Rynek. - Ja stawiam.

Viktor Kovalenko, François Lefevre i Klaus Wagner zajęli pozostałe miejsca. Viktor, jak zwykle, zdawał się nieco niezręczny w luksusowym otoczeniu - paradoksalnie, jako architekt cenił sobie raczej nowoczesny minimalizm niż historyczne bogactwo. François wyglądał, jakby bywał w takich miejscach regularnie - być może dlatego, że jako paryżanin był przyzwyczajony do podobnej atmosfery. Klaus, ze swoją niemiecką precyzją, studiował kartę dań z analityczną dokładnością, jakby to był biznesplan do oceny.

- Co polecasz, Stefan? - zapytał François, odkładając menu. - Jesteś tu miejscowy, znasz najlepiej tutejszą kuchnię.

Stefan uśmiechnął się z zadowoleniem. Lubił rolę gospodarza, przewodnika po kulinarnych i kulturalnych zakamarkach Krakowa.

- Polecam żurek w chlebie na początek. Potem może kaczka z modrą kapustą. I koniecznie pierogi - wyrecytował z pamięci, nie zaglądając do karty. - Do tego polskie piwo rzemieślnicze albo wino z lokalnej winnicy.

- Brzmi świetnie - przytaknął François. - Ufam twojemu gustowi.

Viktor również zgodził się na sugestie Stefana, tylko Klaus zdecydował się na własny wybór - stek z frytkami, danie bardziej międzynarodowe niż lokalne.

Gdy kelner przyjął zamówienie i odszedł, François odezwał się pierwszy:

- Dobrze, że udało nam się spotkać w tym męskim gronie. Projekt idzie naprzód, ale czuję, że moglibyśmy lepiej się poznać, wymienić bardziej osobiste

perspektywy.

- Zwłaszcza, że jako mężczyźni możemy mieć inne spojrzenie na te same wydarzenia historyczne – dodał Klaus z naukową precyzją. – Nasze doświadczenia transformacji mogą różnić się od doświadczeń kobiet.

Viktor prychnął cicho, co nie uszło uwadze pozostałych.

- Nie zgadzasz się? – zapytał François z zainteresowaniem.

Viktor zawahał się, jakby ważąc słowa.

- Nie chodzi o to, że się nie zgadzam – powiedział w końcu. – Po prostu zawsze mnie bawi to zachodnie podejście do różnic genderowych. Jakby to był najważniejszy podział, ważniejszy niż klasa społeczna, narodowość, historia.

François uniósł brwi.

- Interesująca perspektywa. Czy możesz rozwinąć tę myśl?

Viktor westchnął, jakby nie był pewien, czy warto wchodzić w tę dyskusję. Ale spojrzenia pozostałych mężczyzn zachęciły go do kontynuacji.

- Na Ukrainie, jak i w większości krajów postsowieckich, doświadczenie transformacji było przede wszystkim kwestią przetrwania. Nie miało znaczenia, czy byłeś mężczyzną, czy kobietą – wszyscy walczyli o to samo: jak przeżyć w chaosie, jak odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Gdy brakuje jedzenia, gdy nie ma prądu, gdy waluta traci wartość z dnia na dzień – te "zachodnie" podziały stają się... luksusem.

Stefan przytaknął z zaskakującym entuzjazmem.

- Dokładnie! W Polsce było podobnie, choć może mniej drastycznie. Ale pomyśl, François – zwrócił się do Francuza – gdy twoi rodzice martwili się o jakość kształcenia w publicznych szkołach, moi rodzice martwili się, czy będą w stanie kupić podstawowe produkty następnego dnia.

François nie wydawał się urażony tą uwagą. Przeciwnie, słuchał z autentycznym zainteresowaniem.

- To fascynujące – powiedział szczerze. – We Francji transformacja Europy Wschodniej była obserwowana z pewnego dystansu, jako historyczne wydarzenie, nie codzienne doświadczenie. Może dlatego mamy luksus teoretyzowania o różnych jej aspektach, w tym o różnicach genderowych.

Klaus, który dotąd słuchał w milczeniu, włączył się do rozmowy.

- W Niemczech było inaczej - powiedział, poprawiając okulary charakterystycznym gestem. - Zjednoczenie było wydarzeniem, które dotknęło nas bezpośrednio, ale w bardzo nierówny sposób. Dla zachodnich Niemców to był głównie koszt ekonomiczny. Dla wschodnich - całkowita zmiana rzeczywistości.

Viktor spojrzał na Klause z mieszaniną zainteresowania i nieufności.

- I którą perspektywę reprezentujesz ty, Klaus? - zapytał bezpośrednio.

Klaus odchrząknął, wyraźnie nie przyzwyczajony do tak osobistych pytań.

- Wychowałem się w zachodnim Berlinie - przyznał. - Ale przez rok pracowałem jako wolontariusz w Dreźnie, w programie pomocy bezrobotnym. Zobaczyłem tam rzeczy, które zmieniły moje postrzeganie zjednoczenia.

- Na przykład? - dopytywał Viktor, nagle bardziej zainteresowany.

Klaus zawahał się, jakby niechętnie wracał do tych wspomnień.

- Na przykład to, jak ludzie, którzy całe życie pracowali w jednej fabryce, nagle zostawali uznani za "niezdatnych do zatrudnienia". Jak ich umiejętności, doświadczenie, wiedza były nagle bezwartościowe w nowej, rynkowej rzeczywistości. To było... - szukał odpowiedniego słowa - upokarzające dla nich.

Kelner przyniósł pierwsze dania - żurek w chlebie dla trzech mężczyzn i zupę pomidorową dla Klause. Na chwilę rozmowa przerwała się, gdy każdy próbował swojej potrawy.

- Doskonałe - stwierdził François, kosztując żurek. - Stefan, twoja rekomendacja jest niezawodna.

Stefan skinął głową z zadowoleniem.

- A wie pan, panie Lefevre - zaczął, przechodząc na bardziej oficjalny ton, co było dla niego charakterystyczne, gdy poruszał poważniejsze tematy. - Ten żurek to dobra metafora dla transformacji w Polsce. Tradycyjna potrawa, ale podana w nowoczesny sposób, w modnej restauracji, za cenę, na którą większość Polaków nie może sobie pozwolić.

François roześmiał się.

- Świetna analogia! Czy mogę ją wykorzystać w naszej publikacji?

- Z przyjemnością - Stefan również się uśmiechnął, ale w jego oczach czaiła się powaga.

Viktor, który dotąd jadł w milczeniu, odezwał się nagle:

- Pamiętacie tę sprawę z zeszłego roku? Kolega mojego kuzyna z Kijowa przyjechał do Polski i próbował wyrobić sobie dowód osobisty. Urzędniczka zapytała go, czy chce fotografię czarno-białą czy kolorową. On spojrzał na nią, jakby spadła z księżycy, i powiedział: "A może od razu holograficzną?"

François uśmiechnął się uprzejmie, ale nie dostrzegł puenty.

- Dla ciebie to śmieszne? - zapytał Stefan, patrząc na Viktora z lekkim powątpiewaniem. - Twój kuzyn ewidentnie musiał się spotkać z jakimś starym formularzem sprzed cyfryzacji.

- Nie o to chodzi - Viktor potrząsnął głową. - Chodzi o to, że w Ukrainie wszystko przeszło na cyfrę jeszcze przed pandemią. Dziadek mojego kuzyna w kijowskiej wiosce ma identyfikator cyfrowy i odbiera receptę przez aplikację od dekady, a tutaj w 2025 roku urzędniczka wciąż pyta o fotografię jak w latach 90.

Klaus wyprostował się, jak zawsze, gdy czuł potrzebę wniesienia precyzji do dyskusji.

- W Niemczech cyfryzacja administracji też kuleje. To nie jest tylko polski problem.

François odłożył łyżkę i spojrzał na Viktora z zainteresowaniem.

- Wiecie, co mnie fascynuje? To, jak inaczej postrzegamy te ostatnie 40 lat. Dla mnie upadek Związku Radzieckiego to była atrakcyjna wiadomość w telewizji, a potem okazja do tanich wakacji w Pradze. Dla ciebie, Viktor, to musiało być zupełnie co innego.

Viktor zawahał się, szukając słów.

- Mój ojciec płakał, gdy rozpadał się Związek Radziecki. Mama cieszyła się. Mnie było wszystko jedno, miałem pięć lat. Ale pamiętam, jak piliśmy herbatę przy świecach, bo prąd włączali tylko na kilka godzin dziennie. Pamiętam kolejki. To nie było jak wy w Paryżu — popijanie wina i czytanie o przemianach w gazetach.

- W Niemczech też było inaczej - wtrącił Klaus. - Mur padł, gdy miałem dwa lata. Rodzice mi powtarzali: "Urodziłeś się w historycznym momencie". Jakby to była jakaś moja zasługa. Dorastałem w Berlinie, który cały czas się przebudowywał. Jedyne, co pamiętam, to że wszędzie były place budowy.

François pokiwał głową, ale w jego oczach widać było, że próbuje wyobrazić sobie doświadczenia, które były mu obce.

- Mój ojciec prowadził sklep na Nowej Hucie - odezwał się Stefan, obracając kieliszek w dłoniach. - Gdy przyszedł rok 1989, miałem dwanaście lat. Pamiętam, jak tata przyniósł do domu pierwszą kolorową gazetę z reklamami. Położył ją na

stole i powiedział: "Popatrz, synu, wreszcie będziemy żyć jak ludzie". Najbardziej wrył mi się w pamięć zapach tych stron – tak pachniał dla mnie kapitalizm.

Viktor westchnął, stukając palcami w blat stołu.

– Mój ojciec do dziś powtarza: "Za komuny było lepiej". Matka za każdym razem, gdy to słyszy, rzuca w niego czymś.

François spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– Naprawdę? Myślałem, że wszyscy ze Wschodu nienawidzą komunizmu.

Stefan zaśmiał się gorzko.

– To tak nie działa, François. Historia nigdy nie jest czarno-biała. Mój ojciec rozkręcił biznes po 1989, stał się zamożny, ale do końca życia powtarzał, że za komuny ludzie byli dla siebie lepsi. Może dlatego, że wtedy wszyscy byli w tym samym gównie.

– A teraz? – zapytał François.

– Teraz każdy w swoim – odpowiedział Viktor. – Osobno. Po pandemii jeszcze bardziej.

Klaus wyjął z kieszeni smartfon ze składanym ekranem.

– Spójrzcie na to. Technologia poszła naprzód, wszyscy jesteśmy połączeni, a jednocześnie bardziej samotni niż kiedykolwiek. To paradoks naszych czasów.

– Dla mnie najdziwniejsze jest to, jak różnie patrzymy na Polskę – odezwał się François po chwili ciszy. – Dla ciebie, Stefan, to kraj, który przeszedł długą drogę, ale wciąż ma kompleksy. Dla mnie to wschodnia granica cywilizowanej Europy. Dla Viktora to zachodni sąsiad, który miał szczęście, że nie graniczy z Rosją. Dla Klusa to rynek zbytu i źródło taniej siły roboczej. I wszyscy mamy rację, a jednocześnie żaden z nas jej nie ma.

Viktor poczuł, jak coś w nim drgnęło – jak często w takich momentach, gdy ktoś z zewnątrz trafnie nazywał rzeczy, o których on sam właściwie nie myślał.

– To samo jest z naszymi związkami – powiedział cicho. – Marta widzi we mnie kogoś, kim nie jestem. Widzi zachodniego mężczyznę, stabilnego, pewnego siebie. Nie widzi, że ja sam dopiero uczę się, kim jestem. Że moje korzenie tkwią w świecie, który ona zna tylko z opowieści.

François i Stefan wymienili zaskoczone spojrzenia. Viktor rzadko mówił o czymkolwiek osobistym, a tu nagle wspominał o Marcie. Ale coś w atmosferze tego wieczoru, może alkohol, może poczucie męskiej solidarności, sprawiło, że

otworzył się bardziej niż zwykle.

- Amelia patrzy na mnie jak na uosobienie liberalnej Europy - François pokręcił głową z lekkim uśmiechem. - Ale nie rozumie, że ja też mam swoje lęki, że moje poglądy się zmieniają. Że widzę, jak Europa, którą znam, jest w kryzysie.

- Ivana chce we mnie widzieć niemiecką solidność, której nie miała w Bułgarii - Klaus pochylił się nad stołem, a jego zwykle sztywna postawa nieco się rozluźniła.
- Ale ja sam czuję się czasem zagubiony w tym świecie, który zmienia się szybciej, niż jestem w stanie zaakceptować.

Stefan wpatrywał się w swój kieliszek, jakby szukał w nim odpowiedzi.

- A Olga? - zapytał François. - Jak ona cię widzi?

- Olga... - Stefan uśmiechnął się lekko. - Olga chyba jako jedyna widzi mnie naprawdę. Nie potrzebuje żadnych iluzji. Może dlatego, że w Rosji nie było złudzeń co do tego, jak wygląda świat.

Rozmowę przerwał dzwonek telefonu Viktora. Na ekranie pojawiło się nazwisko "Marta".

- Przepraszam was - powiedział, wstając od stołu.

- Idź, idź - Stefan machnął ręką. - Koło historii się toczy, ale kobiety zawsze mają pierwszeństwo.

Viktor wyszedł na Rynek, odbierając telefon. Pozostali mężczyźni obserwowali go przez okno - wysoką sylwetkę na tle wiecznego Rynku Głównego, rozmawiającą przez telefon z widocznym ożywieniem.

- Myślicie, że coś się dzieje między nim a Martą? - zapytał François z zainteresowaniem.

Klaus skinął głową.

- Statystycznie rzecz biorąc, w grupach projektowych, które spędzają ze sobą dużo czasu, prawdopodobieństwo formowania się par romantycznych jest wysokie - powiedział z typową dla siebie analityczną precyzją.

Stefan roześmiał się.

- Klaus, tylko ty potrafisz mówić o miłości jak o modelu ekonometrycznym.

- Nie mówiłem o miłości - sprostował Klaus, nieco zaskoczony. - Tylko o prawdopodobieństwie formowania się par.

- A co z tobą i Ivaną? - zapytał Stefan bezpośrednio. - Też jesteście "statystycznie prawdopodobni"?

Klaus zaczerwienił się lekko, co było u niego niezwykle widokiem.

- To... skomplikowane - odpowiedział wymijająco.

François obserwował tę wymianę z zainteresowaniem, ale nie włączył się do rozmowy. Sam zastanawiał się nad swoją relacją z Amelią - nad tym magnetyzmem, który czuł od ich pierwszego spotkania, nad tym, jak jego obraz "wschodniej" kobiety zderzał się z jej rzeczywistą, złożoną osobowością.

Viktor wrócił do stołu, chowając telefon do kieszeni.

- Wszystko w porządku? - zapytał François.

- Tak - odpowiedział Viktor, ale jego twarz wyglądała na zatroskaną. - Marta ma jakieś problemy z materiałami do jutrzejszej prezentacji. Obiecałem, że później do niej zajrzę.

- "Później" - powtórzył Stefan z łobuzerskim uśmiechem. - Czyli po naszym męskim wieczorze?

Viktor spojrzał na niego z mieszaniną irytacji i rozbawienia.

- Tak, po naszym męskim wieczorze. To problem?

- Absolutnie nie - Stefan uniósł ręce w geście poddania. - Przeciwnie, podziwiam twoje oddanie projektowi.

François postanowił interweniować, zanim sytuacja stanie się niezręczna.

- Panowie, może jeszcze po jednym drinku? - zaproponował, machając na kelnera.

- A potem wracamy do naszych... obowiązków projektowych.

Klaus, zawsze formalny, skonsultował zegarek.

- Jeszcze jeden, ale musimy zakończyć przed jedenastą. Jutro mamy prezentację o dziewiątej, potrzebuję odpowiedniego czasu na przygotowanie.

To wywołało kolejną falę śmiechu - ta niemiecka precyzja, to planowanie czasu co do minuty było jednocześnie irytujące i rozbawiające.

Kelner przyniósł kolejną rundę drinków - whisky dla Stefana i François, wódkę dla Viktora, gin z tonikiem dla Klause.

- Za nasz projekt - wzniósł toast Stefan. - I za te wszystkie sprzeczności, które odkrywamy, badając transformację.

- Za transformację - dodał Viktor. - Tę europejską i tę naszą, osobistą.

Stuknęli się szklankami, każdy zanurzony we własnych myślach o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości - swojej własnej i Europy, której byli częścią, choć każdy na swój własny, unikalny sposób.

Restauracja opustoszała, zostali niemal sami, otoczeni mrokiem i ciszą historycznych wnętrz. Za oknami Kraków już spał, tylko nieliczni turyści i nocne marki przemierzali Rynek Główny. A oni siedzieli, czterech mężczyzn z czterech różnych stron Europy, połączonych projektem badawczym, ale także czymś głębszym - wspólnym doświadczeniem życia w czasie wielkiej zmiany, w czasie, gdy stary porządek upadł, a nowy wciąż się kształtował.

Kiedy w końcu wyszli na chłodne nocne powietrze, każdy z nich czuł, że ten wieczór zmienił coś w ich wzajemnych relacjach. Nie byli już tylko współpracownikami, profesjonalistami wykonującymi zadanie. Byli ludźmi z krwi i kości, ze swoimi historiami, nadziejami, lękami. Ludźmi, którzy, mimo różnic, mogli się zrozumieć.

Viktor pożegnał się pierwszy, kierując się w stronę mieszkania Marty. François i Klaus ruszyli razem do hotelu, w którym mieszkali podczas pobytu w Krakowie. Stefan został sam na Rynku, zapalając papierosa i patrząc w górę na rozgwieżdżone niebo.

Zastanawiał się, czy kobiety z ich zespołu, które podobno spotkały się tego wieczoru w innym miejscu, też prowadziły tak szczere rozmowy. I czy ich perspektywy na te same wydarzenia, te same relacje, były równie różne jak perspektywy mężczyzn.

Równoległe spotkanie kobiece

W tym samym czasie, gdy mężczyźni dyskutowali w "Wierzynku", cztery kobiety z zespołu projektowego spotkały się w kawiarni "Bunkier" na Plantach. Miejsce było zupełnie inne niż luksusowa restauracja - nowoczesne, minimalistyczne, z dużymi oknami wychodzącymi na park. Popularne wśród studentów, artystów i intelektualistów, serwowało dobrą kawę, wino i proste, wegetariańskie dania.

Marta Stawska zaproponowała to miejsce, znając je dobrze z czasów swoich studiów. Amelia zgodziła się natychmiast, lubiąc jego artystyczną atmosferę. Ivana i Olga nie miały preferencji - jako cudzoziemki, wciąż poznawały Kraków i chętnie odkrywały nowe miejsca.

Teraz siedziały przy dużym stole w rogu sali, każda z kieliszkiem wina (oprócz Marty, która wybrała herbatę – jak zawsze, gdy czekała ją jeszcze praca), rozmawiając o swoich doświadczeniach w projekcie.

– Nie spodziewałam się, że będzie to tak emocjonujące – przyznała Ivana, obracając kieliszek w dłoniach. – Myślałam, że to będzie typowy projekt badawczy – dane, analizy, publikacje. A tymczasem to jak... terapia grupowa.

Amelia zaśmiała się, odrzucając do tyłu swoje jasne włosy.

– Dokładnie! Szczególnie te wywiady z ludźmi, którzy doświadczyli transformacji. Ich historie są tak osobiste, tak intensywne...

– I tak różne – dodała Olga cicho. – W zależności od kraju, klasy społecznej, płci, wykształcenia. Jeden proces historyczny, a tak wiele indywidualnych doświadczeń.

Marta, która jako psycholog była szczególnie wyczulona na dynamikę grupową, zauważyła, że mimo pozornej swobody, atmosfera między nimi była nieco napięta. Każda z kobiet wydawała się ostrożna, jakby bała się powiedzieć za dużo, odsłonić zbyt wiele.

– Może zacznijmy od czegoś bardziej osobistego – zaproponowała, chcąc przełamać lody. – Co was najbardziej zaskoczyło w tym projekcie? Nie naukowo, ale osobiście?

Amelia pierwsza podjęła wyzwanie.

– Mnie zaskoczyło, jak emocjonalnie reaguję na niektóre tematy – przyznała, nagle poważniejąc. – Szczególnie gdy rozmawiamy o początkach lat 90., o pierwszych latach transformacji. To był czas, gdy moja rodzina przechodziła własną transformację – z... – zawahała się, jakby szukając odpowiednich słów – z jednego środowiska do innego.

Marta zauważyła to zawahanie, ten brak precyzji, ale nie drążyła. Wiedziała z oficjalnego życiorysu Amelii, że jej ojciec był wysokim funkcjonariuszem partyjnym przed 1989 rokiem, a potem stał się odnoszącym sukcesy biznesmenem. Klasyczna historia "czerwonej burżuazji".

– Mnie zaskoczyło, jak wiele podobieństw znajduję w doświadczeniach ludzi z różnych krajów – włączyła się Ivana. – W Bułgarii, w Polsce, na Węgrzech – wszędzie te same mechanizmy adaptacji, te same strategie przetrwania.

– I te same traumy – dodała Olga z goryczą w głosie. – Utrata pracy, utrata statusu, utrata pewności. To wszystko łączy nasze kraje, niezależnie od różnic kulturowych czy politycznych.

Marta przytaknęła, sięgając po swoją herbatę.

- A jak te doświadczenia wpłynęły na wasze rodziny? - zapytała, przechodząc do bardziej osobistego tematu. - Mój ojciec był opozycjonistą, został aresztowany podczas stanu wojennego. To doświadczenie naznaczyło całe moje dzieciństwo.

Amelia wyglądała na nieco niekomfortową.

- Moja rodzina... adaptowała się - powiedziała ostrożnie. - Ojciec zawsze powtarzał, że najważniejsze to zrozumieć kierunek zmian i się do niego dostosować.

Ivana spojrzała na nią z zaciekawioną.

- To interesujące. Mój ojciec miał zupełnie inne podejście. Był lekarzem, wierzył w ideały, w sprawiedliwość społeczną. Zaangażował się w demokratyczny ruch w Bułgarii na początku lat 90. I to go zniszczyło - zmarł na zawał w 1991 roku, w wieku czterdziestu jeden lat. Lekarze mówili, że to stres.

W jej głosie brzmiał stary ból, tak głęboki, że Marta instynktownie wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Ivany w geście wsparcia.

- Przykro mi - powiedziała szczerze. - Strata rodzica w dzieciństwie to ogromna trauma.

Ivana uśmiechnęła się smutno.

- Dziękuję. Minęło ponad trzydzieści lat, ale niektóre rany nigdy się nie goją. Szczególnie, gdy widzisz, że ideały, za które twój ojciec oddał życie, zostały zdradzone.

Olga, która dotąd słuchała w milczeniu, nagle odezwała się:

- W Rosji było inaczej. Tam nie było żadnych złudzeń. Od początku było jasne, że transformacja to będzie grabież, że silniejsi wezmą wszystko, a słabsi zostaną z niczym. Moi rodzice nie mieli żadnych złudzeń, żadnych ideałów. Chodziło tylko o przetrwanie.

Amelia spojrzała na nią z mieszaniną fascynacji i niedowierzania.

- Naprawdę? Żadnej nadziei na demokrację, na wolność?

Olga zaśmiała się gorzko.

- Na początku tak, oczywiście. W 1991 roku ludzie wyszli na ulice, świętowali upadek komunizmu. Ale bardzo szybko przyszło rozczarowanie. Jelcyń, oligarchowie, kryzys 1998 roku... A potem Putin.

- I dlatego wyjechałaś? - zapytała Amelia, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Olga znieruchomiała, jej twarz stała się nieprzenikniona.

– Tak – odpowiedziała krótko. – Dlatego wyjechałam.

Marta wyczuła, że dotknęły bolesnego tematu. Postanowiła zmienić kierunek rozmowy.

– A co sądzicie o mężczyznach z naszego zespołu? – zapytała z uśmiechem. – Myślicie, że ich spotkanie wygląda podobnie do naszego?

Ta zmiana tematu przyniosła natychmiastowe rozluźnienie. Amelia roześmiała się.

– François pewnie analizuje historyczne znaczenie polskiej kuchni, podczas gdy Klaus kalkuluje koszty i korzyści każdego dania.

– A Stefan opowiada anegdotki z biznesu, nieprawdaż? – dodała Olga, a jej twarz rozjaśniła się nieco.

– A Viktor... – zaczęła Ivana, ale urwała, zerkając na Martę.

Marta poczuła, jak jej policzki lekko się czerwienią. Wiedziała, że jej koleżanki zauważyły napięcie między nią a Viktorem, te spojrzenia, te momenty, gdy ich dłonie przypadkowo się spotykały. Ale sama nie była pewna, co się między nimi dzieje – czy to tylko zawodowa fascynacja, czy coś głębszego.

– Viktor pewnie siedzi cicho i obserwuje – dokończyła za Ivanę. – Jak zawsze.

– Chyba że ktoś zagada go o architekturę – dodała Ivana. – Wtedy potrafi mówić godzinami.

– Zauważyliście, że każdy mężczyzna w naszym zespole jest inny, ale każdy na swój sposób uosabia stereotyp swojego kraju? – zamyśliła się Amelia. – François – intelektualny Francuz z filozoficznym podejściem do życia. Klaus – uporządkowany, dokładny Niemiec. Viktor – nieprzewidywalny, melancholijny Słowianin. A Stefan – polski przedsiębiorca, który przeszedł drogę od niczego do sukcesu.

– A my? – zapytała Olga. – Też jesteśmy stereotypami?

Amelia zawahała się.

– Nie wiem. Może. Ja chyba jestem stereotypem polskiej artystki z burżuazyjnym pochodzeniem.

– A ja bułgarskiej imigrantki, która ciężko pracuje, by udowodnić swoją wartość – dodała Ivana z lekkim uśmiechem.

- Rosyjskiej dysydentki - mruknęła Olga, ale bez gorzkiego tonu.

- A ja? - zapytała Marta, zaciekawiona, jak inne kobiety ją postrzegają.

Nastąpiła chwila ciszy, jakby jej koleżanki zastanawiały się, jak odpowiedzieć.

- Ty jesteś... trudniejsza do zaszufładowania - powiedziała w końcu Amelia. - Jak psycholog, obserwujesz innych, ale sama pozostajesz nieco tajemnicza.

- To prawda - przytaknęła Ivana. - Czasem mam wrażenie, że analizujesz nas wszystkich, nawet gdy po prostu rozmawiamy przy kawie.

Marta uśmiechnęła się lekko.

- Deformacja zawodowa - przyznała. - Ale zapewniam was, że nie prowadzę tajnego badania psychologicznego. Po prostu... lubię obserwować ludzi.

- A co obserwujesz, patrząc na nas? - zapytała Olga bezpośrednio.

Marta zastanowiła się, ważąc słowa.

- Widzę cztery kobiety, każda z własną historią, własnymi ranami i siłami. Każda niosąca багаż swojej narodowej historii, ale też swojej osobistej drogi. I każda starająca się zrozumieć, jak te wielkie historyczne procesy, które badamy, wpłynęły na nasze indywidualne życie.

- I co z tego wynika? - dociekała Amelia.

- Że jesteśmy bardziej podobne, niż nam się wydaje - odpowiedziała Marta. - Mimo różnic kulturowych, językowych, historycznych. Wszystkie jesteśmy produktem transformacji, wszystkie zostałyśmy przez nią ukształtowane. I wszystkie próbujemy zrozumieć, co to dla nas znaczy.

Zapadła cisza, każda z kobiet pogrążona we własnych myślach. W tle brzmiała cicha muzyka jazzowa, kawiarnia powoli pustoszała, zostawały w niej ostatnie grupki gości.

- Myślicie, że nasze dzieci będą miały łatwiej? - zapytała nagle Ivana, przerywając ciszę. - Że nie będą już obciążone tym dziedzictwem transformacji?

Amelia spojrzała na nią z zaskoczeniem.

- Masz dzieci, Ivano?

- Nie - pokręciła głową bułgarska lekarka. - Ale czasem się zastanawiam, jak by to było... wychowywać dziecko w tym nowym, posttransformacyjnym świecie.

- Mam wrażenie, że nasze dzieci będą miały własne problemy - odparła Olga. - Inne niż nasze, ale niekoniecznie łatwiejsze. Kryzys klimatyczny, nowe podziały geopolityczne, sztuczna inteligencja zmieniająca rynek pracy... To wszystko stworzy nowe wyzwania.

- Ale przynajmniej nie będą dorastać wśród ruin jednego systemu i chaosu rodzącego się nowego - zauważyła Marta. - Będą mieć większą stabilność, większe bezpieczeństwo.

- Chyba że... - zaczęła Olga, ale urwała, jakby bojąc się dokończyć myśl.

- Chyba że co? - dopytała Amelia.

- Chyba że znów wszystko się zawali - dokończyła Olga cicho. - Historia nie jest liniowa. Nie zawsze zmierza ku lepszemu. Czasem cofa się, wraca do punktu wyjścia, tylko w nowej formie.

Ta myśl zawisała nad nimi jak chmura, rzucając cień na ich wcześniejszy, względnie lekki nastrój.

- Mówisz o Rosji, prawda? - zapytała Marta delikatnie. - O tym, jak demokratyczne nadzieje początku lat 90. ustąpiły miejsca nowemu autorytaryzmowi.

Olga skinęła głową.

- Nie tylko o Rosji. Spójrzcie na Węgry, na tendencje w Polsce, nawet na wzrost skrajnej prawicy we Francji czy w Niemczech. Demokracja nie jest dana raz na zawsze. Może być erodowana, podważana, wymywana powoli, kawałek po kawałku.

- To dość pesymistyczna wizja - zauważyła Amelia.

- Realistyczna - odpowiedziała Olga. - Wierz mi, gdy dorastasz w kraju, który przeszedł drogę od stalinizmu przez odwilż, stagnację, pierestrojkę, chaos lat 90., do nowego autorytaryzmu - uczysz się, że historia nie jest prostą linią. To raczej spirala, powracająca do tych samych punktów, tylko na innych poziomach.

Marta obserwowała twarze swoich koleżanek - zamyślane, poważne, dotknięte tą mniej optymistyczną perspektywą. Postanowiła nieco odwrócić kierunek rozmowy.

- A wasze osobiste historie? - zapytała. - Jak transformacja wpłynęła na wasze kariery, na wasze wybory?

Amelia pierwsza podjęła temat.

- Ja miałam szczęście - przyznała. - Moja rodzina wyszła z transformacji... wzmocniona. Mogłam studiować za granicą, otworzyć własną galerię. Ale zawsze

czułam pewien... rozdziwięk między moim osobistym sukcesem a tym, co widziałam wokół siebie. Między moim uprzywilejowaniem a losem tych, którzy stracili na transformacji.

- Dlatego w twojej galerii jest tyle sztuki społecznie zaangażowanej? - zapytała Marta, która była na kilku wystawach w "Transformacji".

Amelia przytaknęła.

- Tak, to moja forma... nie wiem, zadośćuczynienia? Choć to nie ja jestem winna.

- Ciekawe podejście - skomentowała Olga. - W Rosji dzieci oligarchów rzadko mają takie refleksje.

- A twoja historia, Olgo? - zapytała Ivana, wyczuwając, że Amelia czuje się niekomfortowo, gdy rozmowa schodzi na jej rodzinę.

Olga zawahała się.

- To długa i skomplikowana historia - odpowiedziała wymijająco. - Powiedzmy, że w Rosji Putina nie było dla mnie miejsca. Zbyt dużo... konfliktów z systemem.

Marta zauważyła, jak Olga zaciska dłonie na kieliszku, jak jej twarz tężeje, gdy mówi o Rosji. Wyczuwała, że za tą pozornie prostą odpowiedzią kryje się głęboki ból, trauma, której rosyjska tłumaczka nie chciała dzielić z grupą, której jeszcze w pełni nie ufała.

- A ty, Ivano? - zapytała, by odwrócić uwagę od Olgi.

Ivana uśmiechnęła się smutno.

- Moja historia jest typowa dla Bułgarii - odpowiedziała. - Ciężka transformacja, bieda, brak perspektyw. Skończyłam medycynę, ale w kraju, gdzie lekarze zarabiają grosze, gdzie system opieki zdrowotnej jest w ruinie. Więc, jak wielu Bułgarów, wyemigrowałam. Najpierw do Niemiec, potem do Polski.

- I jak ci się tu podoba? - zapytała Amelia z autentycznym zainteresowaniem.

- Polska jest... interesująca - odpowiedziała Ivana dyplomatycznie. - Z jednej strony widzę tu wszystkie zalety transformacji - rozwój gospodarczy, nowoczesną infrastrukturę, członkostwo w Unii. Z drugiej - te same problemy, które znamy z Bułgarii: nierówności, polaryzację społeczeństwa, niezagojone rany historii.

- Ale przynajmniej u nas lekarze są lepiej opłacani - zauważyła Marta.

- To prawda - przytaknęła Ivana. - I pacjenci są bardziej... wymagający. W pozytywnym sensie.

- A twoja historia, Marto? - zapytała Amelia. - Wspominałaś o ojcu opozycjoniście. Jak to wpłynęło na twoją drogę?

Marta przez chwilę milczała, zbierając myśli.

- Dorastałam w rodzinie, gdzie polityka była codziennością - zaczęła. - Ojciec był aresztowany podczas stanu wojennego, matka sama musiała się wszystkim zajmować. Potem, po 1989 roku, ojciec zaangażował się w politykę, został posłem, później wiceministrem. Ale coś się w nim zmieniło. Stał się... odległy. Jakby ta transformacja, o którą walczył, rozczarowała go w jakiś fundamentalny sposób.

- A ty? - dopytywała Ivana. - Ciebie też rozczarowała?

- Nie wiem, czy to właściwe słowo - zastanowiła się Marta. - Raczej... uświadomiła mi złożoność rzeczywistości. To, że nie ma prostych rozwiązań, że każda zmiana ma swoją cenę. I że ta cena często spada na tych, którzy są najsłabsi.

- Dlatego zostałam psychologiem? - zapytała Olga. - Żeby pomagać tym, którzy tę cenę zapłacili?

Marta uśmiechnęła się lekko.

- Częściowo tak. Ale też, by zrozumieć siebie, moją rodzinę, nasze własne traumy. By nadać sens temu wszystkiemu, co przeżyliśmy.

Wszystkie cztery kobiety siedziały teraz w ciszy, każda zatopiona we własnych wspomnieniach, własnych refleksjach nad drogą, która przywiodła je do tego miejsca, do tego momentu, do tego projektu.

W pewnym momencie Marta spojrzała na zegarek i westchnęła.

- Jest już późno, a jutro mamy prezentację - powiedziała. - Powinnam jeszcze przejrzeć materiały.

- Ja też - przytaknęła Ivana. - Muszę dopracować moje dane z Bułgarii.

Olga i Amelia również przyznały, że czas wracać. Zapłaciły rachunek, zebrały swoje rzeczy i wyszły na Planty - szeroki pas zieleni otaczający krakowskie Stare Miasto w miejscu dawnych murów obronnych.

Noc była chłodna, ale przyjemna. Gwiazdy świeciły jasno nad miastem, które samo wydawało się być żywym świadectwem historii - od średniowiecznej świetności przez upadek, zabory, wojny, komunizm, transformację, aż po teraźniejszość.

- To było dobre spotkanie - powiedziała Amelia, zapinając swój elegancki płaszcz.
- Powinniśmy to powtórzyć.

Pozostałe kobiety zgodziły się, choć każda z innym stopniem entuzjazmu. Marta czuła, że te rozmowy, te wymiany doświadczeń i perspektyw są cenne nie tylko dla ich projektu, ale i dla nich osobiście. Że może, poprzez zrozumienie własnych i cudzych historii, zdołają lepiej pojąć tę wielką transformację, która wszystkie je ukształtowała.

- Idziemy w tę samą stronę? - zapytała Ivana, wskazując w kierunku centrum.

- Ja mieszkam w przeciwną - odpowiedziała Amelia. - W Kazimierzu, blisko mojej galerii.

- Ja z tobą - Olga zwróciła się do Bułgarki. - Mój hotel jest na Grodzkiej.

- A ty, Marto? - zapytała Ivana.

Marta zawahała się.

- Też idę w tamtą stronę - odpowiedziała. - Ale muszę jeszcze... sprawdzić coś w materiałach.

Amelia uśmiechnęła się tajemniczo.

- Oczywiście. "Sprawdzić materiały". O tej porze.

Marta poczuła, jak jej policzki się rumienia, ale nie zaprzeczyła. Podejrzewała, że jej koleżanki domyślają się, iż idzie spotkać się z Viktorem, zwłaszcza po tym, jak odebrała jego telefon podczas rozmowy.

Pożegnały się, rozchodząc w różne strony - Amelia samotnie w kierunku Kazimierza, Ivana i Olga razem w stronę Starego Miasta, a Marta... Marta stała przez chwilę na środku Plant, niepewna, czy rzeczywiście powinna zadzwonić do Viktora. Czy rzeczywiście kłopoty z prezentacją były wystarczającym powodem, by prosić go o pomoc o tak późnej porze.

Wreszcie wyjęła telefon z kieszeni płaszcza i wybrała jego numer.

Kiedy szła przez nocny Kraków, myślała o tym, jak różne były ich doświadczenia - jej, Amelii, Olgi, Ivany. Jak różne drogi przywiodły je do tego momentu, do tego projektu. I jak, mimo tych różnic, wszystkie nosiły w sobie ślady tej samej wielkiej zmiany, która przetoczyła się przez Europę.

Transformacja nie była tylko procesem historycznym, politycznym czy ekonomicznym. Była czymś, co odcisnęło piętno na każdym aspekcie ich życia - od karier, przez relacje, po najgłębsze przekonania i wartości. Była ludzką twarzą historii - z jej nadziejami, rozczarowaniami, triumfami i porażkami.

I może właśnie dlatego ich projekt był tak ważny – bo starał się uchwycić tę ludzką twarz transformacji, te indywidualne historie, które razem tworzyły wielką opowieść o zmianie Europy.

Z tymi myślami Marta dotarła pod adres, który przesłał jej Viktor. Zawahała się przed drzwiami, biorąc głęboki oddech. Potem zapukała, wiedząc, że to spotkanie może być początkiem czegoś nowego – nie tylko w projekcie, ale i w jej życiu osobistym.

Drzwi otworzyły się, ukazując zmęczoną, ale uśmiechniętą twarz Viktora.

– Cieszę się, że przyszedł – powiedział, wpuszczając ją do środka. – Musimy porozmawiać. Nie tylko o prezentacji.

Marta weszła do mieszkania, czując, jak serce bije jej szybciej. Coś w głosie Viktora, w jego spojrzeniu, mówiło jej, że ta noc może zmienić wszystko. Że ich własna, osobista transformacja właśnie się zaczyna.

Rozdział 8: Konfrontacje

Amelia i François: Sacrum i profanum

Sala konferencyjna w Międzynarodowym Centrum Kultury była wypełniona do ostatniego miejsca. Publiczność – naukowcy, studenci, dziennikarze – zebrała się, by wysłuchać prezentacji dotyczącej kolejnej fazy projektu "Europa po transformacji: osobiste historie". Tym razem tematem były kulturowe i religijne aspekty przemian po 1989 roku.

François Lefevre i Amelia Korczyńska stali obok siebie na małym podium, przygotowując się do wspólnej prezentacji. Pracowali nad nią przez ostatnie tygodnie, łącząc akademickie podejście François z artystyczną wrażliwością Amelii. Ich współpraca układała się zaskakująco dobrze – uzupełniali się, inspirowali nawzajem, a ich profesjonalne i osobiste relacje zacieśniały się z każdym dniem.

– Gotowa? – zapytał François, rzucając Amelii ciepły uśmiech.

– Jak zawsze – odpowiedziała, poprawiając elegancką, czarną marynarkę, którą miała na sobie. Wyglądała profesjonalnie i stylowo, jak zawsze, gdy występowała publicznie.

François skinął głową i zwrócił się do zgromadzonych:

– Dzień dobry państwu. Nazywam się François Lefevre, jestem historykiem z Sorbony i koordynatorem naukowym projektu "Europa po transformacji". Wraz z

Amelią Korczyńską, kuratorką galerii "Transformacja", przedstawimy dzisiaj wstępne wyniki naszych badań nad kulturowymi i religijnymi aspektami przemian w Europie Środkowo-Wschodniej po 1989 roku.

Amelia przejęła pałeczkę, klikając pierwszy slajd prezentacji:

– Jak państwo wiedzą, transformacja ustrojowa i gospodarcza w naszym regionie była również transformacją kulturową. Zmieniły się nie tylko systemy polityczne i ekonomiczne, ale także wartości, symbole, praktyki codzienne. Jednym z najbardziej fascynujących aspektów tej zmiany był powrót religii do sfery publicznej po dekadach jej marginalizacji przez reżimy komunistyczne.

François obserwował Amelię z podziwem. Jej polski był elegancki i precyzyjny, potrafiła w przystępny sposób prezentować skomplikowane koncepcje. Gdy mówiła o religii, jej twarz ożywiła się, jakby temat był jej szczególnie bliski.

Po wprowadzeniu François przejął prezentację, omawiając metodologię badań i wstępne dane statystyczne. Mówił o wzroście uczestnictwa w praktykach religijnych na początku lat 90., o nowych ruchach religijnych, o sekularyzacji, która nastąpiła później w niektórych krajach.

– Co ciekawe – mówił – sekularyzacja postępowała różnym tempem w różnych krajach. W Czechach była szybka i głęboka, podczas gdy w Polsce pozostała ograniczona. Na Węgrzech i w Słowacji proces ten miał charakter raczej stopniowy.

Amelia wtrąciła:

– Te różnice wynikają z odmiennych tradycji historycznych i roli, jaką religia odgrywała w tożsamości narodowej poszczególnych krajów. W Polsce katolicyzm był niemal synonimem polskości i stanowił ważny element oporu przeciwko komunizmowi. W Czechach tradycja husycka i silne wpływy oświeceniowe sprawiły, że społeczeństwo było bardziej otwarte na sekularyzację.

François przytaknął, ale dodał nieco inną perspektywę:

– Należy jednak pamiętać, że sekularyzacja jest procesem złożonym i nie zawsze oznacza zanik religijności. Często prowadzi raczej do jej prywatyzacji i indywidualizacji. Ludzie nie przestają wierzyć, ale zmieniają sposób, w jaki praktykują swoją wiarę.

Amelia spojrzała na niego z lekkim zaskoczeniem. Nie ustalili wcześniej tego punktu, a komentarz François brzmiał niemal jak polemika z jej stanowiskiem.

– To prawda – zgodziła się, zachowując profesjonalny ton. – Ale dane, które zebraliśmy, szczególnie wywiady z przedstawicielami różnych pokoleń, sugerują coś więcej niż tylko zmianę formy religijności. Pokazują raczej fundamentalną

przemianę w hierarchii wartości, gdzie tradycyjne wartości religijne są zastępowane przez wartości konsumpcyjne i indywidualistyczne.

François znów nie mógł się powstrzymać od komentarza:

- Z całym szacunkiem, ale czy nie jest to zbyt uproszczone spojrzenie? Nasze badania pokazują również odrodzenie religijności wśród młodszych pokoleń, szczególnie w kontekście poszukiwania tożsamości i sensu w zglobalizowanym świecie.

Amelia poczuła, jak narasta w niej irytacja. Dlaczego François podważa jej interpretację? Przecież razem przygotowywali tę prezentację, razem analizowali dane.

- Odrodzenie, o którym mówisz - odpowiedziała, starając się zachować spokój - dotyczy raczej marginalnych grup i ma często charakter polityczny, a nie autentycznie duchowy. To instrumentalizacja religii, a nie jej renesans.

François uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony ostrością jej tonu.

- To interesująca interpretacja - powiedział dyplomatycznie. - Choć dane z niektórych krajów, jak Węgry czy Polska, sugerują coś przeciwnego.

Publiczność zaczęła szeptać, wyczuwając napięcie między dwojgiem prezenterów. To, co miało być płynną, wspólną prezentacją, zamieniało się w intelektualny pojedynek.

Amelia, widząc, że sytuacja robi się niezręczna, postanowiła przejść do następnej części:

- Przejdźmy do analizy konkretnych przypadków - powiedziała, klikając kolejny slajd. - Pierwszym przykładem jest wystawa "Sacrum i profanum" zorganizowana w galerii "Transformacja" w ramach naszego projektu.

Kolejne slajdy pokazywały zdjęcia z wystawy - współczesne dzieła sztuki odnoszące się do tematów religijnych, często w prowokacyjny, kontrowersyjny sposób. Instalacje z religijnymi symbolami w nieoczekiwanych kontekstach, obrazy reinterpretujące tradycyjne motywy, fotografie dokumentujące współczesne praktyki religijne.

François patrzył na te obrazy z rosnącym niepokojem. Niektóre z tych prac wydawały mu się otwarcie bluźniercze - jak instalacja przedstawiająca krucyfiks zanurzony w Coca-Coli, symbolizująca, według opisu, "komercjalizację religii w postkomunistycznej Polsce".

Kiedy Amelia zaczęła omawiać tę właśnie pracę, François nie wytrzymał:

- Czy nie uważasz, że ta wystawa prezentuje bardzo jednostronny obraz relacji między religią a transformacją? - zapytał, przerywając jej wypowiedź. - Gdzie są prace pokazujące pozytywną rolę religii w budowaniu społeczeństwa obywatelskiego po upadku komunizmu? Gdzie dzieła odzwierciedlające autentyczną duchowość, a nie tylko jej krytykę?

Amelia zatrzymała się wpół słowa, zaskoczona. Jej niebieskie oczy zwęziły się niebezpiecznie.

- Ta wystawa nie miała być hagiografią Kościoła, François - odpowiedziała chłodno. - Miała pokazywać złożone, czasem trudne relacje między sacrum a profanum w społeczeństwie postkomunistycznym. A jeśli masz problem z jej kształtem, mogłeś powiedzieć to podczas przygotowań, a nie na publicznej prezentacji.

W sali zapadła niezręczna cisza. Publiczność wyczuwała, że stała się świadkiem nie tylko intelektualnej debaty, ale i czegoś bardziej osobistego.

François, zdając sobie sprawę, że posunął się za daleko, spróbował załagodzić sytuację:

- Oczywiście, masz rację. Wystawa jest wartościowym głosem w dyskusji. Chciałem jedynie podkreślić, że powinniśmy starać się prezentować pełne spektrum doświadczeń i interpretacji.

Amelia skinęła sztywno głową i kontynuowała prezentację, ale atmosfera już się nie poprawiła. Reszta wystąpienia przebiegła w napięciu, a pytania z sali tylko pogłębiły podziały między dwójkiem prezenterów.

Gdy skończyli i zeszli z podium, Amelia natychmiast skierowała się do wyjścia, nie czekając na François. Dogonił ją dopiero na korytarzu.

- Amelia, poczekaj - powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Porozmawiajmy.

Odwróciła się, a jej twarz wyrażała mieszaninę gniewu i zranienia.

- O czym tu rozmawiać? - zapytała cicho, ale intensywnie. - Publicznie podważyłeś moją pracę, mój profesjonalizm. Dlaczego? Co się stało z naszą współpracą, z naszym... porozumieniem?

François westchnął, przecierając twarz dłonią.

- Przepraszam - powiedział szczerze. - Nie planowałem tego. Po prostu... te prace mnie zaskoczyły. Są tak otwarcie antyreligijne, tak jednoznacznie krytyczne wobec Kościoła. To nie współgra z tym, co mówiłaś mi prywatnie o znaczeniu duchowości.

Amelia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Co ja ci mówiłam o duchowości? - zapytała, jakby naprawdę nie pamiętała.

- Może nie bezpośrednio - przyznał François. - Ale sposób, w jaki mówiłaś o polskich tradycjach, o swojej rodzinie... Odniosłem wrażenie, że religia jest dla ciebie ważna. I nagle widzę wystawę, która wydaje się atakować wszystko, co związane z religią.

Amelia prychnęła cicho.

- Więc stworzyłeś sobie jakiś obraz mnie, a teraz jesteś rozczarowany, że rzeczywistość do niego nie pasuje? - zapytała z goryczą. - Może w ogóle mnie nie znasz, François. Może widzisz tylko to, co chcesz widzieć - egzotyczną Europejkę ze Wschodu, która fascynuje cię swoją innością.

François cofnął się, jakby go spoliczkowała.

- To nie fair, Amelia - powiedział cicho. - Nigdy nie traktowałem cię jak egzotycznego eksponatu. Szanuję cię jako profesjonalistkę, jako osobę.

- Naprawdę? - Jej głos drżał lekko. - Bo dzisiaj tego nie pokazałeś.

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem, zostawiając François samego na środku korytarza, otoczonego ludźmi wychodzącymi z sali konferencyjnej, którzy dyskretnie obserwowali ich wymianę zdań.

François stał tam przez chwilę, zastanawiając się, co właściwie się stało. Jak ich profesjonalna współpraca, ich rozwijająca się przyjaźń, a może nawet coś więcej, mogły tak szybko zejść na niewłaściwe tory?

I przede wszystkim - czy miał rację, twierdząc, że istnieje rozdźwięk między osobistymi przekonaniami Amelii a jej profesjonalną działalnością? Czy naprawdę ją znał, czy może, jak sugerowała, widział tylko to, co chciał widzieć?

Te pytania dręczyły go przez resztę dnia, gdy samotnie wracał do hotelu, a potem siedział w hotelowym barze, wpatrując się w kieliszek wina i rozważając wszystkie niuanse ich relacji, wszystkie momenty, które mogły go zwieść na manowce w interpretacji jej charakteru, jej przekonań, jej wartości.

Tymczasem Amelia wróciła do swojej galerii na Kazimierzu, zamknęła się w biurze i przez długi czas siedziała nieruchomo za biurkiem, wpatrując się w pustą ścianę. Na biurku leżał mały, srebrny medalik z wizerunkiem Matki Boskiej - pamiątka po babci, który zawsze miała przy sobie, choć nigdy nie nosiła go na szyi, nigdy nie pokazywała publicznie.

Sytuacja z François obudziła w niej stare lęki, stare kompleksy. Od lat żyła w dwóch światach – świecie warszawskiej i krakowskiej bohemy artystycznej, gdzie religijność była często obiektem drwin, i świecie własnych, skrywanych przekonań, gdzie wiara była czymś intymnym, cennym, nawet jeśli pełnym wątpliwości i pytań.

Ta dwutorowość jej życia była częścią szerszego problemu – problemu jej tożsamości, jej przeszłości, jej rodzinnej historii. Jako córka wysokiego funkcjonariusza partyjnego, który po 1989 roku stał się odnoszącym sukcesy biznesmenem, nauczyła się ukrywać części siebie, dostosowywać się do oczekiwań otoczenia, prezentować taką wersję siebie, która była akceptowalna w danym kontekście.

W środowisku artystycznym prezentowała się jako progresywna, liberalna, czasem prowokacyjna. W rodzinnym domu – jako tradycyjna polska kobieta, która szanuje wartości wyniesione z dzieciństwa. W międzynarodowych kręgach – jako kosmopolitka o europejskiej wrażliwości.

I wszystkie te wersje były autentyczne – były częściami jej złożonej osobowości. Ale nigdy nie pokazywała całej siebie nikomu. Aż do teraz, aż do François, który jakimś cudem dostrzegł w niej tę dwutorowość, tę niespójność – i zamiast zaakceptować jej złożoność, wydawał się rozczarowany, jakby go okłamała.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi. To była jej asystentka, młoda studentka historii sztuki.

– Pani Amelio, przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała, zaglądając do biura.
– Ale profesor Lefevre stoi przed galerią. Mówi, że musi z panią rozmawiać.

Amelia poczuła, jak jej serce przyspiesza. Nie była gotowa na tę konfrontację, nie teraz.

– Powiedz mu, że już wyszłam – odpowiedziała, nie patrząc na asystentkę.

Dziewczyna zawahała się.

– Przepraszam, ale powiedziałam mu już, że pani jest. Widziałam przez okno, jak podchodzi.

Amelia westchnęła. Nie było odwrotu.

– Dobrze, wprowadź go – powiedziała, chowając medalik do szuflady biurka.

Gdy François wszedł do biura, Amelia siedziała wyprostowana, z profesjonalnym wyrazem twarzy. Nic nie zdradzało jej wcześniejszych emocji.

- Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi - zaczął François, stojąc niepewnie w drzwiach. - Ale nasza rozmowa została przerwana, a ja... czuję, że powinniśmy ją dokończyć.

Amelia gestem wskazała mu krzesło naprzeciwko biurka.

- Proszę, siadaj - powiedziała oficjalnym tonem. - Czego konkretnie dotyczy ta rozmowa?

François usiadł, wyraźnie zaskoczony jej chłodem.

- Amelia, proszę - powiedział cicho. - Nie musimy być tak formalni. Znamy się od kilku miesięcy, pracujemy razem, myślałem, że...

- Myślałeś, że co? - przerwała mu. - Że mnie znasz? Że rozumiesz? Dzisiejsza sytuacja pokazała, że chyba nie.

François westchnął, pocierając skronie.

- Masz rację - przyznał. - Nie znam cię tak dobrze, jak myślałem. Ale chcę cię poznać, naprawdę poznać. Dlatego tu jestem.

Amelia patrzyła na niego przez chwilę, jakby ważąc jego słowa.

- Co konkretnie chcesz wiedzieć? - zapytała w końcu.

- Wszystko - odpowiedział szczerze. - Kim jesteś, Amelio? Nie jako kuratorka, nie jako uczestniczka projektu, ale jako człowiek. Co dla ciebie ważne? W co wierzysz?

Amelia poczuła, jak coś w niej pęka. Tyle lat ukrywania, dostosowywania się, prezentowania różnych wersji siebie. Czy była gotowa pokazać się komuś w całości, ze wszystkimi sprzecznościami, wszystkimi wątpliwościami?

- To nie jest proste pytanie - powiedziała cicho. - Nie jestem... jednowymiarowa, François. Jak większość ludzi, jestem pełna sprzeczności.

- I to mnie w tobie fascynuje - odpowiedział, pochylając się do przodu. - Ale dzisiaj, podczas prezentacji, miałem wrażenie, że jedna część ciebie manifestowała się publicznie, a inna pozostawała ukryta. I może się mylę, ale czułem, że ta ukryta część jest równie ważna, jeśli nie ważniejsza.

Amelia milczała przez chwilę, zbierając myśli.

- Gdy dorastasz w rodzinie takiej jak moja - zaczęła w końcu - uczysz się pewnych... strategii przetrwania. Mój ojciec był wysokim funkcjonariuszem partyjnym przed 1989 rokiem. Po transformacji stał się biznesmenem, typowym przedstawicielem "czerwonej burżuazji". Nauczyłam się od niego adaptacji,

elastyczności, ukrywania tego, co niewygodne.

François słuchał uważnie, nie przerywając.

- W świecie sztuki, w którym się obracam, pewne rzeczy są oczekiwane - kontynuowała. - Oczekuje się, że będziesz progresywny, krytyczny wobec tradycji, wobec religii. Ale ja... - zawahała się, po czym otworzyła szufladę biurka i wyjęła medalik. - To po mojej babci. Noszę go zawsze przy sobie, choć nikt o tym nie wie. Chodzę do kościoła, nie regularnie, ale chodzę. Modlę się czasem. Nie wiem, czy to czyni mnie hipokrytką, czy po prostu złożoną istotą ludzką.

François patrzył na medalik w jej dłoni, a jego twarz złagodniała.

- To nie czyni cię hipokrytką - powiedział łagodnie. - To czyni cię człowiekiem, który szuka swojej drogi w skomplikowanym świecie. Który próbuje pogodzić różne części swojej tożsamości.

Amelia uśmiechnęła się lekko, z wdzięcznością.

- A ta wystawa? - zapytał François, wracając do tematu, który wywołał ich konflikt. - Te prowokacyjne, antyreligijne prace... To też część ciebie?

Amelia skinęła głową.

- Tak - odpowiedziała pewnie. - Bo widzisz, moja relacja z religią jest skomplikowana. Wierzę, ale jednocześnie jestem krytyczna wobec instytucji Kościoła, wobec tego, jak religia jest wykorzystywana politycznie. Ta wystawa to nie jest atak na wiarę, to jest krytyka instrumentalizacji wiary. I tak, to też część mnie - wątpiąca, pytająca, krytyczna.

François milczał przez chwilę, przetwarzając jej słowa.

- Rozumiem - powiedział w końcu. - I przepraszam, że tak zareagowałem podczas prezentacji. Miałeś rację, powinienem był porozmawiać z tobą wcześniej, prywatnie.

- A ja powinnam być bardziej otwarta od początku - przyznała Amelia. - Ale to trudne, François. Całe życie ukrywając różne części siebie, trudno nagle się otworzyć, nawet przed kimś... kto jest bliski.

Ostatnie słowa wypowiedziała cicho, niemal niepewnie. François wstał, obszedł biurko i stanął obok niej.

- Jestem bliski? - zapytał z delikatnym uśmiechem.

Amelia też wstała, by być na poziomie jego oczu.

- Bliższy niż ktokolwiek od dawna - przyznała.

François delikatnie dotknął jej dłoni, tej, która wciąż trzymała medalik.

- Cieszę się - powiedział cicho. - Bo chcę poznać cię całą, Amelio. Ze wszystkimi sprzecznościami, wątpliwościami, tajemnicami. Nie potrzebuję jednowymiarowego obrazu, potrzebuję prawdziwej osoby.

Amelia poczuła, jak jej oczy wilgotnieją. Tyle lat budowania fasad, tyle lat ukrywania, a tu nagle ktoś chciał poznać prawdziwą ją, bez osądzania, bez rozczarowania.

- To może zająć trochę czasu - powiedziała z lekkim uśmiechem. - Jest wiele warstw do odkrycia.

- Mamy czas - odpowiedział François, ściskając lekko jej dłoń. - Projekt potrwa jeszcze kilka miesięcy, a potem... kto wie? Paryż nie jest tak daleko od Krakowa.

Amelia poczuła, jak jej serce przyspiesza na myśl o tym, co mogło kryć się za tymi słowami. Ale nie chciała wybiegać za daleko w przyszłość. Na razie wystarczało jej to, że ktoś chciał ją poznać, naprawdę poznać, ze wszystkimi jej złożonościami.

- Na teraz proponuję kolację - powiedziała, odkładając medalik i biorąc torebkę. - Znam miejsce, gdzie serwują najlepszego pstrąga w Krakowie.

- Prowadź - odpowiedział François, uśmiechając się ciepło.

Gdy wychodzili z galerii, Amelia czuła się lżejsza, jakby zrzuciła z siebie ciężar, który nosiła od lat. Wiedziała, że ich relacja - prywatna i zawodowa - wchodzi na nowy poziom. Poziom, który wymagał od niej autentyczności, ale oferował w zamian coś, za czym zawsze tęskniła - bycie akceptowaną jako całość, ze wszystkimi sprzecznościami, które w sobie nosiła.

Viktor i Marta: Ukraińskie lustro

Marta Stawska siedziała na tarasie kawiarni na Rynku Głównym, czekając na Viktora. Był koniec maja, pogoda była idealna - ciepło, ale nie gorąco, niebo jasne i błękitne. Na placu tętniło życie - turyści, uliczni artyści, krakowscy gołębie. Idealny dzień na spotkanie.

Minęły dwa tygodnie od ich pierwszego prywatnego spotkania, tej nocy po wyjściu z kawiarni "Bunkier". Dwa tygodnie pełne intensywnej pracy nad projektem, ale też rosnącej bliskości między nimi. Nic oficjalnego, nic nazwanego - po prostu znajomość, która z każdym dniem stawała się głębsza, bardziej osobista.

Viktor pojawił się punktualnie, jak zawsze. Wysoki, szczupły, w prostej białej koszuli i dżinsach, wyglądał bardziej na artystę niż na architekta. Jego ciemne włosy były nieco przydługie, jakby od jakiegoś czasu nie miał czasu na fryzjera, a w oczach czaił się ten charakterystyczny dla niego wyraz – mieszanina melancholii i intensywności.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział, siadając naprzeciwko niej.

Marta spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się.

– Jesteś dokładnie na czas – odpowiedziała. – Jak zawsze.

Viktor rozluźnił się nieco, odwzajemniając uśmiech. Ten jego lekki niepokój, nawet w najprostszych sytuacjach, był jedną z rzeczy, które Marta w nim lubiła. Był w nim pewien rodzaj wrażliwości, który rezonował z jej własną – ta świadomość kruchości życia, ta ostrożność w budowaniu oczekiwań.

– Mam dla ciebie coś ciekawego – powiedziała, wyciągając z torby folder. – Przejrzałam archiwa i znalazłam kilka wywiadów z Ukraińcami mieszkającymi w Polsce w latach 90. Ich perspektywa na transformację jest fascynująca.

Viktor wziął folder, ale nie otworzył go. Zamiast tego patrzył na nią z nieczytelnym wyrazem twarzy.

– Coś nie tak? – zapytała, zaskoczona jego reakcją.

– Nie – pokręcił głową. – Po prostu... czasem mnie zaskakujesz, Marto. Tym, jak dogłębnie podchodzisz do projektu. Jak bardzo zależy ci na zrozumieniu różnych perspektyw.

Marta wzruszyła ramionami, nieco zawstydzona komplementem.

– To moja praca – powiedziała. – Jako psycholog muszę rozumieć różne punkty widzenia, różne doświadczenia.

– To więcej niż praca – zauważył Viktor. – To... cecha charakteru. Empatia. Nie każdy ją ma.

Kelner podszedł do ich stolika i przyjął zamówienie – kawa dla Viktora, herbata dla Marty, szarlotka do podziału. Kiedy odszedł, Viktor w końcu otworzył folder i zaczął przeglądać wywiady.

– Interesujące – mruknął po chwili. – Ten człowiek, ten Andrij Kowal, mówi o tym, jak Ukraińcy w Polsce w latach 90. byli postrzegani jako "ci ze Wschodu", jako coś egzotycznego, niemal orientalnego.

– A jak jest teraz? – zapytała Marta. – Jak ty czujesz się w Polsce jako Ukrainiec?

Viktor spojrzał na nią z zastanowieniem.

– To skomplikowane – odpowiedział po chwili. – Czuję się... akceptowany. Ale wciąż inny. Jakbym miał niewidzialną etykietkę "Ukrainiec" przyczepioną do czoła. Nieważne, jak długo tu jestem, jak dobrze mówię po polsku, jak dobrze znam polską kulturę – zawsze będę najpierw Ukraińcem, a dopiero potem architektem, kolegą, przyjacielem.

Marta skinęła głową, rozumiejąc to poczucie.

– Myślę, że jako Polacy mamy do tego specyficzne podejście – powiedziała. – Z jednej strony jesteśmy dumni z naszej gościnności, z naszej solidarności z Ukrainą. Z drugiej – wciąż patrzymy na Ukraińców trochę z góry, trochę jak na młodszego brata, który potrzebuje naszej pomocy, naszego prowadzenia.

Viktor zaśmiał się cicho, ale bez wesołości.

– Młodszy brat – powtórzył. – To interesujące określenie. Wiesz, że dla wielu Ukraińców to właśnie Polska jest młodszym bratem? Historycznie, kulturowo.

Marta spojrzała na niego zaskoczona.

– Naprawdę? W jaki sposób?

– Kijów był wielkim europejskim miastem, gdy Warszawa była jeszcze małą osadą – wyjaśnił Viktor. – Ukraińska kultura, literatura, architektura ma tysiącletnią historię. Ale potem przyszły zabory, sowiecka okupacja, rusyfikacja. I nagle staliśmy się "młodszym bratem", który musi dogonić Zachód. A Polska, która wstąpiła do Unii Europejskiej piętnaście lat przed nami, stała się "starszym bratem", który wskazuje nam drogę.

Marta nigdy nie myślała o tym w ten sposób. Jej obraz Ukrainy, jak w przypadku większości Polaków, był zbudowany wokół współczesnej narracji – kraju walczącego o demokrację, o wolność, o europejską przyszłość.

– To ciekawa perspektywa – przyznała. – I pokazuje, jak ograniczone jest nasze spojrzenie. Widzimy tylko fragment historii, ten, który pasuje do naszej narracji.

Viktor przytaknął, a jego twarz rozjaśniła się nieco.

– Dlatego lubię z tobą rozmawiać, Marto – powiedział ciepło. – Jesteś otwarta na inne perspektywy, na rewizję własnych przekonań.

Kelner przyniósł ich zamówienie, a oni przez chwilę jedli w przyjemnej ciszy, obserwując ruch na Rynku.

- A jak ty postrzegasz Polskę? - zapytała w końcu Marta. - Jako Ukrainiec, jako ktoś, kto mieszkał w kilku krajach europejskich?

Viktor zastanowił się, bawiąc się łyżeczką.

- Polska jest dla mnie zwierciadłem - odpowiedział w końcu. - Widzę w niej odbicie Ukrainy - takiej, jaką mogłaby być, gdyby historia potoczyła się inaczej. Gdybyśmy nie byli przez stulecia pod rosyjskim butem, gdybyśmy szybciej zrzucili sowieckie jarzmo, gdybyśmy wcześniej dołączyli do Unii Europejskiej.

- Zwierciadło - powtórzyła Marta, zastanawiając się nad tym obrazem. - To ciekawe porównanie. Ale czy nie jest tak, że każdy kraj widzi w innych krajach swoje alternatywne scenariusze? Swoje "co by było, gdyby"?

- Oczywiście - zgodził się Viktor. - Ale dla Ukraińców Polska ma szczególne znaczenie. Jesteśmy sąsiadami, nasz język i kultura są podobne, mamy wspólną historię. I jednocześnie Polska jest tam, gdzie my chcielibyśmy być - w Unii Europejskiej, w NATO, w zachodnim kręgu cywilizacyjnym.

- Ale też mamy swoje problemy - zauważyła Marta. - Polaryzacja społeczeństwa, napięcia polityczne, problemy z praworządnością. Demokracja nie jest dana raz na zawsze, trzeba o nią walczyć codziennie.

Viktor spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Wiesz, co powiedziałaby na to przeciętny Ukrainiec? - zapytał. - "Przynajmniej nikt was nie bombarduje. Przynajmniej nie musicie walczyć o fizyczne przetrwanie waszego narodu."

Marta poczuła, jak jej twarz się rumieni. Oczywiście, miał rację. Problemy Polski, jakkolwiek realne, bladły w porównaniu z egzystencjalnym zagrożeniem, z jakim mierzyła się Ukraina.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - To było nieczułe z mojej strony.

Viktor pokręcił głową.

- Nie przepraszaj - powiedział łagodnie. - Twoje problemy są prawdziwe i ważne. To nie jest konkurs cierpienia. Po prostu... perspektywa jest inna.

Marta uśmiechnęła się z wdzięcznością. Viktor zawsze był taki - wyrozumiały, nieoceniający. To była kolejna cecha, którą w nim ceniła.

- A co z nami? - zapytała nagle, zmieniając temat. - Jak postrzegasz... to, co się między nami dzieje?

Viktor wyglądał na zaskoczonego tą bezpośredniością. Przez chwilę milczał, jakby szukając odpowiednich słów.

- Ja... czuję do ciebie coś wyjątkowego, Marto - powiedział w końcu. - Coś, czego nie czułem od dawna. Może nigdy.

Marta poczuła, jak jej serce przyspiesza. Nie spodziewała się tak otwartego wyznania.

- Ale - kontynuował Viktor, a jego twarz spoważniała - boję się. Boję się zaangażować, boję się budować coś, co może nie przetrwać. Moje życie jest... skomplikowane. Ukraina jest skomplikowana. Przyszłość jest niepewna.

Marta rozumiała te obawy. Sama miała podobne - strach przed zranieniem, przed utratą, przed zainwestowaniem emocji w coś, co mogło się rozpaść. Jako psycholog wiedziała, że te lęki często wynikają z przeszłych doświadczeń, z traum, które kształtują nasze podejście do relacji.

- Wszyscy się boimy, Viktor - powiedziała cicho. - Wszyscy nosimy w sobie rany z przeszłości. Ale czy to oznacza, że mamy rezygnować z bliskości, z szansy na coś dobrego?

Viktor patrzył na nią przez chwilę, a w jego oczach odbijały się różne emocje - pragnienie, strach, nadzieja.

- Nie - powiedział w końcu. - Nie powinniśmy rezygnować. Ale powinniśmy być uczciwi. Wobec siebie, wobec siebie nawzajem.

- Zgadza się - przytaknęła Marta. - Uczciwość jest kluczowa. I dlatego chcę, żebyś wiedział... Ja też czuję do ciebie coś wyjątkowego. Ale też mam swoje lęki, swoje wątpliwości.

Viktor uśmiechnął się, a w jego oczach pojawił się ciepły błysk.

- Więc jesteśmy w tym razem - powiedział, sięgając przez stół, by dotknąć jej dłoni. - Dwoje przestraszonych ludzi, próbujących zbudować coś wartościowego w niepewnym świecie.

Marta odwzajemniła uścisk jego dłoni, czując niewytłumaczalne ciepło rozlewające się po jej ciele.

- To dobry początek - odpowiedziała z uśmiechem.

Siedzieli tak przez chwilę, trzymając się za ręce na środku ruchliwego Rynku, nie przejmując się spojrzeciami przechodniów. W tej chwili istnieli tylko oni, ich wspólny moment, ich wspólna podróż ku czemuś, co jeszcze nie miało nazwy, ale co już teraz wydawało się cenne, warte ryzyka.

Jednak ich moment został przerwany przez niespodziewane pojawienie się znajomej postaci. Stefan Wilk, elegancki jak zawsze w markowej marynarce i designerskich okularach, podszedł do ich stolika.

- Marta, Viktor - przywitał ich z szerokim uśmiechem. - Cóż za miła niespodzianka. Nie przeszkadzam w niczym ważnym, prawda?

Marta i Viktor szybko rozłączyli dłonie, jakby przyłapani na czymś niewłaściwym. Marta poczuła, jak jej policzki płoną, a Viktor wyglądał na niezadowolonego z tej ingerencji.

- Stefan - powiedziała Marta, starając się zachować naturalny ton. - Co za zbieg okoliczności. Właśnie omawialiśmy z Viktorem ukraińską perspektywę na transformację.

- Oczywiście - odpowiedział Stefan z lekko ironicznym uśmiechem, jasno dając do zrozumienia, że nie kupuje tej wymówki. - Czy mogę się przysiąc? Mam kilka uwag do ostatniego raportu przygotowanego przez Viktora.

Viktor i Marta wymienili spojrzenia. Ich prywatna chwila została bezpowrotnie przerwana, a profesjonalny świat ponownie wkroczył do ich relacji.

- Proszę - powiedział w końcu Viktor, wskazując na wolne krzesło.

Gdy Stefan się dosiadł i zaczął mówić o projekcie, Marta obserwowała, jak twarz Viktora przybiera profesjonalny, nieco zdystansowany wyraz. Ich moment intymności minął, ale pozostało w niej ciepło jego dotyku, szczerść jego wyznania.

Wiedziała, że ich relacja będzie skomplikowana - przez ich odmienne doświadczenia, przez kontekst zawodowy, przez niepewną przyszłość. Ale w tej chwili, mimo przerwania ich prywatnej rozmowy, czuła nadzieję. Nadzieję, że dwoje zranionych ludzi, niosących bagaż swoich narodowych i osobistych historii, może znaleźć wspólną drogę, wspólny język, wspólną przyszłość.

Stefan i Olga: Między Polską a Rosją

Kawiarnia literacka "Massolit" na krakowskim Kazimierzu była jednym z tych miejsc, które miały duszę. Ukryta w starej kamienicy, z regałami pełnymi anglojęzycznych książek, z przytulnymi kanapami i aromatem świeżo parzonej kawy, przypominała raczej prywatny salon niż komercyjne miejsce.

Stefan Wilk siedział w rogu kawiarni, przy małym drewnianym stoliku, czekając na Olgę. Wybrał to miejsce celowo - wiedział, że rosyjska tłumaczka lubi literaturę i spokojne, nieco hipsterskie przestrzenie. Chciał, żeby czuła się komfortowo

podczas ich spotkania.

Był to nietypowy dzień dla Stefana – zwykle o tej porze byłby w swoim biurze, zajmując się wydawnictwem, lub na jakimś biznesowym lunchu. Ale dzisiaj zostawił swojego zastępcę na stanowisku, a sam wziął wolne popołudnie. Spotkanie z Olgą było ważne – nie tylko dla projektu, ale i dla niego osobiście.

Kiedy Olga w końcu weszła do kawiarni, Stefan zauważył, że wygląda inaczej niż zwykle. Jej jasne włosy były rozpuszczone zamiast związane w zwykły ciasny kok, miała na sobie kolorową sukienkę zamiast typowych dla niej stonowanych ubrań. Wyglądała młodziej, bardziej swobodnie.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała, siadając naprzeciwko niego. – Tramwaj utknął na Dietla.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział Stefan z uśmiechem. – Dopiero przyszedłem.

Było to drobne kłamstwo – czekał już prawie dwadzieścia minut, ale nie chciał, by czuła się niekomfortowo.

Olga rozejrzała się po kawiarni z aprobatą.

– Miłe miejsce – skomentowała. – Nie znałam go.

– Pomyślałem, że ci się spodoba – powiedział Stefan. – To jedna z moich ulubionych kawiarni w Krakowie. Ma w sobie coś... autentycznego.

Olga przytaknęła, ale w jej oczach czaił się cień rozbawienia.

– Co? – zapytał Stefan, zauważając jej spojrzenie.

– Nic – odpowiedziała, uśmiechając się lekko. – Po prostu... nie spodziewałam się, że człowiek sukcesu taki jak ty lubi takie niekomercyjne, nieco kontestacyjne miejsca.

Stefan zaśmiał się, nie urażony.

– Jest wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz, Olgo – powiedział, a w jego głosie pojawiła się nuta wyzwania. – Nie jestem tylko biznesmenem w drogim garniturze.

– Wiem – odpowiedziała poważnie. – Dlatego się zgodziłam na to spotkanie.

Kelnerka podeszła do ich stolika, przerywając moment napięcia. Zamówili kawę – americano dla Stefana, latte dla Olgi – i po kawałku domowego ciasta z rabarbarem.

- Więc - zaczął Stefan, gdy kelnerka odeszła - chciałaś porozmawiać o rozdziale dotyczącym rosyjskich doświadczeń transformacji?

Olga skinęła głową, wyciągając z torby notes i folder z dokumentami.

- Przeczytałam twoją analizę ekonomicznych aspektów rosyjskiej transformacji - powiedziała rzeczowo. - Jest... interesująca. Ale brakuje w niej ludzkiego wymiaru. Tego, jak prywatyzacja lat 90. wpłynęła na zwykłych Rosjan, jak doprowadziła do powstania oligarchii, jak zmieniła rosyjskie społeczeństwo.

Stefan zmarszczył brwi, nieco urażony krytyką. Był dumny ze swojej analizy - opartej na twardych danych, pokazującej liczby, trendy, zależności.

- To była ekonomiczna analiza, nie socjologiczna - zauważył. - Liczby nie kłamią, Olgo. Pokazują obiektywną prawdę o tym, co stało się w Rosji po upadku Związku Radzieckiego.

Olga uśmiechnęła się, ale bez wesołości.

- Liczby mogą nie kłamać, ale mogą być interpretowane na różne sposoby - odpowiedziała. - A niektóre rzeczy nie dają się zredukować do liczb. Jak zmierzysz rozpacz matki, która nagle nie ma za co kupić leków dla dziecka? Jak wymierzysz upokorzenie profesora uniwersytetu, który musi dorabiać jako taksówkarz, by przeżyć?

Stefan westchnął. Wiedział, że Olga ma rację, ale trudno mu było przyznać to otwarcie. Jako biznesmen przyzwyczaił się do myślenia w kategoriach zysków i strat, efektywności, rentowności. Ludzki wymiar gospodarczych procesów rzadko był w centrum jego uwagi.

- Masz rację - przyznał w końcu, zaskakując nieco Olgę. - Moja analiza jest niepełna. Dlatego potrzebuję twojej pomocy, twojej perspektywy.

Olga spojrzała na niego z mieszaniną zaskoczenia i uznania.

- Nie spodziewałam się, że tak łatwo przyznasz mi rację - powiedziała.

- Nie jestem tylko twardym biznesmenem - odpowiedział z lekkim uśmiechem. - Potrafię słuchać, potrafię się uczyć. Zwłaszcza od kogoś, kto doświadczył czegoś, czego ja nie mogłem.

Kelnerka przyniosła ich zamówienie, a oni przez chwilę cieszyli się kawą i ciastem, które rzeczywiście było wyśmienite.

- Więc - podjął Stefan po chwili - opowiedz mi o ludzkim wymiarze rosyjskiej transformacji. Co pamiętasz z tamtego okresu?

Olga odłożyła widelec i zamyśliła się.

– Pamiętam kolejki – powiedziała w końcu. – Długie, ciągnące się przez całe ulice. Ludzie stali godzinami po najbardziej podstawowe produkty. Pamiętam inflację, która zjadała oszczędności mojej babci – całe życie odkładała na emeryturę, a nagle jej pieniądze nie były warte papieru, na którym je wydrukowano.

Stefan słuchał uważnie, widząc, jak twarz Olgi zmienia się, gdy zagłębia się we wspomnienia.

– Pamiętam mojego ojca, inżyniera – kontynuowała. – Stracił pracę, gdy fabryka, w której pracował przez dwadzieścia lat, została sprywatyzowana i zrestrukturyzowana. Przez ponad rok nie mógł znaleźć nowej pracy. Pił, zamknął się w sobie. To zmieniło naszą rodzinę, nasze relacje.

– Podobne historie zdarzały się w Polsce – przyznał Stefan. – Mój ojciec miał szczęście – otworzył własny biznes, który się rozwijał. Ale widziałem wiele rodzin, które cierpiały.

Olga skinęła głową.

– Ale w Rosji było inaczej – powiedziała. – Skala była inna. Bardziej brutalna, bardziej... beznadziejna. W Polsce wciąż był jakiś kierunek, jakiś plan – Unia Europejska, Zachód. W Rosji był tylko chaos, a potem... Putin.

Stefan wyczuł w jej głosie coś więcej – jakieś osobiste doświadczenie, jakieś ukryte cierpienie. Ale nie naciskał, wiedząc, że jeśli Olga zechce, sama podzieli się swoją historią.

– A jak to wpłynęło na rosyjską mentalność? – zapytał zamiast tego. – Na wartości, na podejście do demokracji, do wolnego rynku?

Olga westchnęła.

– To jest właśnie to, czego brakuje w twojej analizie – powiedziała. – Transformacja w Rosji nie tylko zmieniła gospodarkę. Zmieniła duszę narodu. Ludzie, którzy na początku lat 90. wierzyli w demokrację, w wolność, w otwarcie na Zachód, zostali głęboko rozczarowani. Dla wielu Rosjan wolny rynek stał się synonimem oszustwa, nieuczciwości, nierówności. Demokracja kojarzy się z chaosem lat 90., z upadkiem, z upokorzeniem.

– A to tłumaczy popularność Putina – skonstatował Stefan. – Obiecał przywrócić porządek, dumę narodową, stabilność.

– Dokładnie – przytaknęła Olga. – To nie jest tak, że Rosjanie nie rozumieją demokracji, że mają "autorytarną mentalność", jak lubią mówić zachodnie media. Po prostu ich doświadczenie z demokracją i kapitalizmem było brutalne,

traumatyczne. A Putin zaoferował im narrację, która nadawała sens ich cierpieniu – "Zachód nas oszukał, upokorzył, a teraz wracamy do dawnej chwały".

Stefan milczał przez chwilę, przetwarzając te informacje. Jako człowiek biznesu, jako ktoś, kto odniósł sukces dzięki transformacji, miał tendencję do postrzegania jej przede wszystkim jako ekonomicznej szansy. Ale perspektywa Olgi przypominała mu, że dla wielu ludzi – w Polsce, w Rosji, w całej Europie Wschodniej – transformacja była przede wszystkim traumą, utratą, dezorientacją.

– A ty? – zapytał w końcu. – Jak transformacja wpłynęła na ciebie osobiście?

Olga zawahała się, jakby zastanawiając się, ile może mu powiedzieć.

– Jestem z pokolenia, które dorastało już w nowej Rosji – odpowiedziała ostrożnie.
– Nie pamiętam Związku Radzieckiego. Ale dorastałam w cieniu transformacji – z ojcem, który stracił pracę i poczucie własnej wartości, z matką, która musiała pracować na dwóch etatach, by utrzymać rodzinę. Z dziadkami, których oszczędności zostały zniszczone przez inflację.

– To musiało być trudne – powiedział Stefan cicho.

– Było – przytaknęła Olga. – Ale jednocześnie miałam możliwości, o których moi rodzice nie mogli marzyć. Uczyłam się języków, studiowałam za granicą, podróżowałam. To także było dziedzictwo transformacji – ta wolność, te możliwości.

– A teraz? – dopytywał Stefan. – Jak postrzegasz swoją teraźniejszość, swoją przyszłość?

Olga nagle spoważniała, a jej twarz stała się nieprzenikniona.

– Teraz jestem tutaj – powiedziała wymijająco. – Pracuję nad projektem, który pomaga zrozumieć transformację w całej jej złożoności.

Stefan wyczuł, że dotknął tematu, o którym Olga nie chciała rozmawiać. Jej teraźniejszość, jej status emigrantki, jej relacje z Rosją Putina – to wszystko najwyraźniej było zbyt osobiste, zbyt bolesne.

– Przepraszam – powiedział szczerze. – Nie chciałem być wścibski.

Olga machnęła ręką.

– Nie przepraszaj – odpowiedziała. – To normalne pytania. Po prostu... nie wszystko jestem gotowa opowiedzieć. Jeszcze nie.

– Rozumiem – zapewnił ją Stefan. – Każdy ma swoje granice, swoje tematy, które są zbyt trudne. Uszanuję to.

Olga uśmiechnęła się z wdzięcznością, a w jej oczach pojawił się cień ciepła.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Nie wszyscy to rozumieją.

Stefan odwzajemnił uśmiech, czując, że właśnie przekroczyli jakąś granicę w swojej relacji - od czysto zawodowej znajomości do czegoś głębszego, bardziej osobistego. Nie wiedział jeszcze, czy to przyjaźń, czy coś więcej, ale cieszył się z tego rozwoju.

- Wracając do naszej analizy - powiedział, zmieniając temat - myślę, że powinniśmy ją przepracować razem. Połączyć moje dane ekonomiczne z twoją perspektywą na społeczne i psychologiczne aspekty.

- Z przyjemnością - zgodziła się Olga. - Myślę, że to będzie ciekawa fuzja podejść.

Zaczęli omawiać szczegóły wspólnej pracy, wymieniać pomysły, planować. To było coś, w czym oboje czuli się komfortowo - konkretne, profesjonalne dyskusje. Ale pod powierzchnią tych rzeczowych rozmów płynął niewidoczny prąd - wzajemne zainteresowanie, ciekawość, może nawet początek uczucia.

W pewnym momencie, gdy dyskutowali o wpływie prywatyzacji na strukturę społeczną, Olga pochyliła się nad stołem, by pokazać Stefanowi wykres w swoich notatkach. Jej włosy, zwykle związane, opadły do przodu, prawie dotykając jego dłoni. Stefan poczuł subtelny zapach jej perfum - coś lekkiego, kwiatowego, z nutą cytrusów. Przez chwilę zapomniał, o czym mówili, skupiony na tym zapachu, na bliskości jej ciała.

- Stefan? - zapytała Olga, patrząc na niego pytająco. - Wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście - odpowiedział szybko, wracając do rzeczywistości. - Po prostu zamyśliłem się nad tym, co pokazujesz.

Olga patrzyła na niego przez chwilę, jakby nie do końca mu wierzyła, ale nie drążyła tematu. Zamiast tego wróciła do wykładu o nierównościach ekonomicznych w postsowieckiej Rosji.

Gdy ich spotkanie dobiegało końca, a kawa i ciasto zostały dawno zjedzone, Stefan zapytał:

- Czy moglibyśmy kontynuować tę rozmowę przy kolacji? Znam świetną rosyjską restaurację niedaleko stąd.

Olga zawahała się, a na jej twarzy pojawił się cień niepewności.

- Stefan, ja... - zaczęła.

- To nie musi być randka - zapewnił ją szybko. - Tylko kolacja, kontynuacja naszej profesjonalnej dyskusji. Chyba że... chciałabyś, żeby to była randka?

Ostatnie zdanie wypowiedział lżejszym tonem, z lekkim uśmiechem, dając jej możliwość potraktowania tego jako żartu, jeśli nie była zainteresowana.

Olga spojrzała na niego z mieszaniną rozbawienia i zainteresowania.

- Nie jestem pewna, czy rosyjska restauracja to dobry wybór - powiedziała. - Wolałabym coś... neutralnego.

- Włoska? - zaproponował natychmiast.

- Włoska brzmi dobrze - zgodziła się.

- A co do charakteru tego spotkania... - dodała po chwili wahania - może na razie pozostanmy przy profesjonalnej kolacji. Zobaczmy, dokąd to prowadzi.

Stefan przytaknął, zadowolony nawet z takiej odpowiedzi. Nie spodziewał się, że Olga od razu zgodzi się na randkę - była ostrożna, zdystansowana, prawdopodobnie z dobrych powodów. Ale fakt, że zgodziła się na kolację, że nie odrzuciła całkowicie możliwości czegoś więcej w przyszłości, dawał mu nadzieję.

- Doskonale - powiedział, wstając i pomagając jej zebrać notatki. - Zarezerwuję stolik na ósmą?

- Na ósmą będzie idealnie - odpowiedziała, pakując dokumenty do torby.

Gdy wychodzili z kawiarni, Stefan poczuł dziwną lekkość, jakiej nie doświadczał od dawna. Po rozwodzie sprzed pięciu lat, po kilku nieudanych związkach, po latach poświęconych głównie karierze i biznesowi, nagle odkrył, że jest podekscytowany perspektywą poznania kogoś nowego. Kogoś, kto patrzył na świat inaczej niż on, kto miał inne doświadczenia, inną perspektywę.

A Olga, idąca obok niego, również czuła pewne podekscytowanie, choć mieszało się ono z niepokojem. Po tym, co przeszła w Rosji, po stracie Siergieja, po latach samotności w Polsce, perspektywa nowej relacji była równie kusząca, co przerażająca. Ale coś w Stefanie - może jego bezpośredniość, może jego umiejętność słuchania, może ta kombinacja twardego biznesmena i wrażliwego człowieka - sprawiało, że była gotowa zaryzykować, choćby tylko nieco bardziej osobistą rozmowę przy włoskiej kolacji.

- Do zobaczenia o ósmej - powiedziała, zatrzymując się przed księgarnią, gdzie miała coś załatwić przed powrotem do hotelu.

- Do zobaczenia - odpowiedział Stefan, uśmiechając się ciepło.

Gdy odszedł, Olga patrzyła za nim przez chwilę, zastanawiając się, czy nie popełnia błędu. Czy nie wchodzi w relację, która może przynieść więcej bólu niż radości. Czy jest gotowa otworzyć się przed kimś, kto nie może w pełni zrozumieć jej doświadczeń, jej traum, jej lęków.

Ale potem przypomniła sobie, jak uważnie słuchał, jak nie naciskał, gdy wyczuł jej niechęć do mówienia o niektórych tematach. Jak przyznał, że jej perspektywa jest wartościowa, że jego analiza była niepełna bez ludzkiego wymiaru.

Może warto było zaryzykować. Może po latach ukrywania się, unikania bliskości, czas był na nowy początek. Na relację, która mogła być mostem między jej rosyjską przeszłością a polską teraźniejszością, między jej traumami a nadzieją na przyszłość.

Z tą myślą weszła do księgarni, czując, że ten dzień może być początkiem nowego rozdziału w jej życiu.

Rozdział 9: Kryzysy

Powódź

Kraków obudził się pod wodą.

Kilkudniowe intensywne opady, które nawiedziły południową Polskę w połowie czerwca 2025 roku, doprowadziły do podniesienia się poziomu Wisły i jej dopływów do stanu alarmowego. O świcie wały przeciwpowodziowe na Dębnikach nie wytrzymały naporu wody, która wdarła się na ulice, zalewając piwnice, partery, samochody.

Marta Stawska obudziła się od dźwięku syren alarmowych i natarczywego dzwonienia telefonu. Na wyświetlaczu zobaczyła nazwisko Viktora.

- Marta, gdzie jesteś? - usłyszała jego zaniepokojony głos, gdy tylko odebrała.

- W domu - odpowiedziała, wciąż na wpół senna. - Co się dzieje?

- Powódź - powiedział krótko. - Wisła wylała na Dębnikach. Jesteś bezpieczna?

Marta podeszła do okna i zobaczyła, że ulica przed jej blokiem na Krowodrzy jest sucha. Ta część miasta, położona wyżej, była stosunkowo bezpieczna.

- Tak, u mnie wszystko w porządku - odpowiedziała. - A ty?

- Też jestem bezpieczny, ale mój hotel jest częściowo zalany. Parter stoi w wodzie. Władze organizują ewakuację.

- Przyjedź do mnie - powiedziała bez zastanowienia. - Mam wolny pokój.

Nastąpiła krótka pauza.

- Jesteś pewna? - zapytał Viktor. - Nie chcę się narzucać.

- Jestem pewna - odpowiedziała stanowczo. - Daj mi swój adres, przyjadę po ciebie.

- Nie, zostań w domu - zaprotestował. - Wezmę taksówkę. Ulice są jeszcze przejezdne. Będę za godzinę.

Gdy się rozłączyli, Marta natychmiast zadzwoniła do pozostałych uczestników projektu, by sprawdzić, czy są bezpieczni. Amelia mieszkała na Kazimierzu, dzielnicy położonej tuż nad Wisłą, ale jej mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze, więc nie było bezpośrednio zagrożone. François i Klaus mieszkali w tym samym hotelu co Viktor, więc również byli ewakuowani. Stefan miał dom na wzgórzu Wawelskim, powyżej poziomu zalewowego. Ivana mieszkała na wynajętym mieszkaniu w Nowej Hucie, też poza zasięgiem powodzi. Tylko Olga była niedostępna - jej telefon milczał.

Viktor przyjechał punktualnie, jak obiecał. Był przemoczony, z plecakiem zawierającym najpotrzebniejsze rzeczy, które zdążył zabrać z hotelu. Marta natychmiast zaprowadziła go do łazienki, dała czyste ręczniki i zaproponowała gorącą herbatę.

- Dziękuję - powiedział, gdy usiedli w kuchni, pijąc herbatę. - Nie wiem, jak długo to potrwa.

- Zostań tak długo, jak będzie trzeba - odpowiedziała Marta. - Mój dom jest twoim domem.

Viktor uśmiechnął się z wdzięcznością, a Marta poczuła ciepło rozlewające się po jej ciele. To było naturalne - zaoferować mu schronienie, pomoc. Ich relacja w ostatnich tygodniach rozwijała się, pogłębiała, choć wciąż nie dali jej żadnej oficjalnej nazwy. Byli czymś więcej niż przyjaciółmi, ale jeszcze nie parą. Znajdowali się w tej niezręcznej, ale ekscytującej przestrzeni pomiędzy.

- Musimy odwołać dzisiejsze spotkanie projektowe - powiedział Viktor, wracając do profesjonalnego tonu. - Z powodu ewakuacji hotelu, gdzie miało się odbyć.

- Oczywiście - zgodziła się Marta. - Wyślę wszystkim wiadomość. Może zorganizujemy je online?

- Dobry pomysł - przytaknął Viktor. - Choć nie wiem, czy wszyscy będą mieli dostęp do internetu. W niektórych częściach miasta nie ma prądu.

- Może po prostu przełożymy na inny termin - zaproponowała Marta. - W tej chwili bezpieczeństwo jest najważniejsze.

Przygotowywali właśnie śniadanie, gdy zadzwonił telefon Marty. To był François.

- Marta, przepraszam, że przeszkadzam - powiedział, gdy odebrała. - Czy wiesz może, gdzie jest Amelia? Nie mogę się do niej dodzwonić, a woda zalewa Kazimierz.

Marta poczuła, jak jej żołądek się zaciska.

- Rozmawiałam z nią godzinę temu. Była w domu, na drugim piętrze, wydawało się, że jest bezpieczna.

- Teraz stany są wyższe - odpowiedział François z niepokojem w głosie. - Woda dochodzi już do pierwszego piętra w niektórych budynkach. Jadę tam.

- François, to niebezpieczne - zaprotestowała Marta. - Władze odradzają...

- Muszę - przerwał jej. - Muszę się upewnić, że jest bezpieczna.

Zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, rozłączył się. Marta spojrzała na Viktora, który słyszał całą rozmowę.

- To szaleństwo - powiedziała. - Jechać w stronę zalewanych dzielnic.

Viktor milczał przez chwilę, jakby zastanawiał się nad czymś.

- Zrobiłbym to samo - powiedział w końcu cicho. - Gdyby chodziło o ciebie.

Ich spojrzenia spotkały się, a Marta poczuła, jak jej serce przyspiesza. To było najbliższe wyznaniu uczuć, jakie kiedykolwiek usłyszała od Viktora.

- Ja też - przyznała, nie odwracając wzroku.

W tym momencie znów zadzwonił telefon. Tym razem był to Stefan.

- Marta, jesteś bezpieczna? - zapytał bez wstępu.

- Tak, jestem w domu, z Viktorem - odpowiedziała. - A ty?

- U mnie wszystko w porządku, ale martwię się o Olgę - powiedział Stefan. - Nie mogę się do niej dodzwonić. Wiesz, gdzie mieszka?

- W hotelu "Europejskim" na Dębnikach - powiedziała Marta, przypominając sobie tę informację z dokumentów projektowych. - Ale to jedna z zalanych dzielnic.

Usłyszała, jak Stefan przeklina pod nosem.

- Jadę tam - powiedział.

- Stefan, nie! - zaprotestowała Marta. - To zbyt niebezpieczne. Władze prowadzą ewakuację, na pewno się nią zajmą.

- Nie mogę czekać - odpowiedział stanowczo. - Muszę wiedzieć, czy jest bezpieczna.

I podobnie jak François, rozłączył się, nie czekając na jej odpowiedź. Marta spojrzała na Viktora z niedowierzaniem.

- Co się dzieje z tymi mężczyznami? - zapytała. - Obaj rzucają się w niebezpieczeństwo dla kobiet, które ledwo znają.

Viktor uśmiechnął się lekko.

- Myślę, że znają je lepiej, niż sądzisz - powiedział. - I chyba nie tylko oni rozwinęli... głębsze relacje w naszym zespole.

Marta zarumieniła się, wiedząc, że mówi również o nich. Ich własna relacja, rozwijająca się powoli, ostrożnie, nagle wydała się bardziej realna, bardziej namacalna w kontekście kryzysu.

- Martwię się o nich wszystkich - przyznała, zmieniając temat. - François, Stefan, Amelia, Olga... Co jeśli naprawdę są w niebezpieczeństwie?

- Zaufaj im - powiedział Viktor, kładąc dłoń na jej ramieniu. - François i Stefan to dorośli, odpowiedzialni mężczyźni. Znajdą sposób, by pomóc Amelii i Oldze, nie ryzykując niepotrzebnie.

Marta przytaknęła, choć nie była przekonana. Kryzys często wydobywał z ludzi zarówno to, co najlepsze, jak i to, co najmniej racjonalne.

Włączyli telewizor, by śledzić informacje o powodzi. Sytuacja była poważna - woda wciąż się podnosiła, kolejne dzielnice były zalewane, władze organizowały ewakuację, służby ratunkowe pracowały na pełnych obrotach.

Przez kolejne godziny Marta i Viktor wymieniali wiadomości i rozmowy telefoniczne z pozostałymi członkami zespołu, próbując koordynować przepływ informacji. François dotarł do Amelii - była bezpieczna, choć jej mieszkanie zostało częściowo zalane. Ewakuowali się razem do schroniska zorganizowanego przez miasto w jednej ze szkół na wzgórzu. Klaus znalazł zakwaterowanie u znajomego profesora z uniwersytetu. Ivana zgłosiła się na ochotnika do pomocy medycznej w punktach ewakuacyjnych.

Tylko o Stefanie i Oldze wciąż nie było wieści.

- Powinniśmy coś zrobić - powiedziała Marta, nie mogąc dłużej siedzieć bezczynnie. - Może pojechać ich szukać?

- To nie jest dobry pomysł - odpowiedział Viktor. - Tylko byśmy przeszkadzali służbom ratunkowym. Najlepsze, co możemy zrobić, to zostać tutaj i być dostępni, gdyby potrzebowali pomocy.

Marta wiedziała, że ma rację, ale trudno jej było siedzieć bezczynnie, gdy jej przyjaciele mogli być w niebezpieczeństwie. Viktor, widząc jej niepokój, zaproponował, że zrobią obiad, by zająć czymś ręce i myśli.

Pracowali razem w kuchni, przygotowując prostą zupę i sałatkę, gdy w końcu zadzwonił telefon Marty. To był Stefan.

- Marta - jego głos brzmiał inaczej niż zwykle, jakiś przytłumiony, zmęczony. - Znaleźliśmy Olę. Jest... bezpieczna, ale w szoku. Hotel był zalany, musiała uciekać przez okno. Jakiś mężczyzna pomógł jej dopłynąć do wyższego terenu na pontonie.

- Dzięki Bogu - westchnęła Marta z ulgą. - Gdzie jesteście teraz?

- W punkcie ewakuacyjnym na Salwatorze - odpowiedział. - Olga jest pod opieką medyczną. Fizycznie jest OK, ale psychicznie... To wyzwoliło jakieś stare traumy. Mówi coś po rosyjsku, płacze. Lekarze dali jej środki uspokajające.

Marta czuła, jak jej profesjonalne, psychologiczne ja przejmuję kontrolę.

- Czy ma gdzieś się podziać, gdy ją wypuszczą? - zapytała rzeczowo.

- Jeszcze nie wiem - przyznał Stefan. - Jej hotel jest niedostępny, wszystkie jej rzeczy przepadły.

- Przyprowadź ją do mnie - zaproponowała Marta. - Mam wolną kanapę w salonie. Ty też możesz zostać, jeśli potrzebujesz.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Dziękuję, Marta - powiedział w końcu Stefan, a w jego głosie brzmiała autentyczna wdzięczność. - To wiele dla mnie znaczy. Dla nas.

- Kiedy możemy was oczekiwać? - zapytała, już planując w myślach reorganizację mieszkania.

- Za jakieś dwie godziny, jeśli drogi będą przejezdne - odpowiedział. - Olga musi jeszcze przejść badania. Upewnię się, że wszystko z nią w porządku, zanim

ruszymy.

- Przygotuję wszystko - zapewniła go Marta. - Bądźcie ostrożni.

Gdy się rozłączyli, Marta spojrzała na Viktora, który słyszał jej część rozmowy.

- Stefan przyprowadzi Olgę - wyjaśniła. - Jest bezpieczna, ale w szoku. Straciła wszystkie rzeczy w hotelu.

Viktor pokiwał głową ze zrozumieniem.

- To musi być traumatyczne - powiedział. - Zwłaszcza dla kogoś, kto już przeżył utratę i musiał zaczynać od nowa.

Marta spojrzała na niego zaskoczona.

- Co masz na myśli?

Viktor zawahał się, jakby zastanawiając się, czy powinien powiedzieć więcej.

- Słyszałem od Ivany, że Olga opuściła Rosję w pośpiechu, zostawiając prawie wszystko. Że musiała uciekać z powodów politycznych.

Marta nie wiedziała o tym. Olga nigdy nie mówiła otwarcie o powodach swojej emigracji, a Marta, szanując jej prywatność, nie pytała. Ale ta nowa informacja rzucała nowe światło na reakcję Olgi na powódź - na jej szok, jej załamanie.

- Musimy być dla niej wsparciem - powiedziała, bardziej do siebie niż do Viktora. - Bez naciskania, bez pytań, jeśli nie będzie gotowa odpowiadać.

Viktor przytaknął, rozumiejąc.

- Pomogę ci przygotować mieszkanie - zaproponował. - Potrzebujemy dodatkowych koców, pościeli?

- Tak, w szafie w korytarzu powinny być zapasowe - odpowiedziała Marta, wdzięczna za jego praktyczne podejście.

Przez następne dwie godziny przygotowywali mieszkanie na przyjęcie gości - Marta oddała swoją sypialnię Oldze, sama planując spać w gabinecie na rozkładanym łóżku. Viktor miał pokój gościnny, a dla Stefana przygotowali kanapę w salonie. Ugotowali więcej zupy, zrobili kanapki, przygotowali zapas wody pitnej, na wypadek gdyby dostawy zostały przerwane.

Gdy Stefan i Olga w końcu dotarli, było już późne popołudnie. Olga wyglądała jak cień samej siebie - blada, z podkrążonymi oczami, w zbyt dużych ubraniach, które musiały być pożyczone od kogoś z punktu ewakuacyjnego. Stefan podtrzymywał

ją delikatnie za łokieć, jakby bał się, że może upaść.

- Wejdźcie, proszę - powitała ich Marta, prowadząc do środka.

- Dziękuję, że nas przyjmujesz - powiedział Stefan, a w jego oczach było coś, czego Marta nigdy wcześniej nie widziała - rodzaj bezbronności, troski, która kontrastowała z jego zwykłą pewną siebie postawą biznesmena.

Olga próbowała się uśmiechnąć, ale wychodził jej tylko grymas.

- Przepraszam za kłopot - powiedziała cicho, z silniejszym niż zwykle rosyjskim akcentem.

- Żaden kłopot - zapewniła ją Marta. - Jesteśmy zespołem, prawda? Wspieramy się nawzajem.

Viktor przywitał ich skinieniem głowy, nie narzucając się, wyczuwając, że Olga potrzebuje przestrzeni.

- Przygotowałam ci moją sypialnię - powiedziała Marta do Olgi. - Możesz się położyć, odpocząć. Mam też kilka rzeczy, które powinny na ciebie pasować, jeśli chcesz się przebrać.

- Dziękuję - odpowiedziała Olga, a w jej oczach pojawiły się łzy. - Przepraszam, ja... nie spodziewałam się...

- Nie przepraszaj - przerwała jej łagodnie Marta. - Każdy potrzebuje czasem pomocy. Dziś ty, jutro może ja.

Stefan odprowadził Olgę do sypialni, a Marta i Viktor zostali sami w salonie.

- Jest w gorszym stanie, niż się spodziewałam - szepnęła Marta.

- To więcej niż szok powodziowy - odpowiedział równie cicho Viktor. - To jakby otworzyły się stare rany.

Stefan wrócił po kilku minutach, wyglądając na wyczerpanego. Usiadł ciężko na kanapie, przecierając twarz dłońmi.

- Zasnęła - powiedział. - Lekarz dał jej środki nasenne, powinny działać przez kilka godzin.

- Co się dokładnie stało? - zapytała Marta, podając mu kubek gorącej herbaty.

Stefan westchnął, zbierając myśli.

- Kiedy dotarłem do hotelu, ewakuacja już trwała. Olgi nie było na liście ewakuowanych. Jeden z pracowników powiedział, że część gości wyszła sama, więc pomyślałem, że może już jest bezpieczna. Ale coś mi mówiło, że powinienem sprawdzić. - Urwał, biorąc łyk herbaty. - Znalazłem ją w punkcie medycznym na Salwatorze. Jakiś mężczyzna przywiózł ją tam pontonem. Była przemoczona, w szoku. Mówiła coś po rosyjsku, płakała. Lekarka powiedziała, że to może być reakcja na traumę, że powódź mogła wywołać wspomnienia jakiegoś wcześniejszego traumatycznego doświadczenia.

Marta przytaknęła. Jako psycholog wiedziała, że kryzys często wyzwał wcześniejsze, niezaleczone traumy.

- To była trauma emigracji - powiedział Viktor cicho. - Utrata wszystkiego, ucieczka, konieczność zaczynania od nowa.

Stefan spojrzał na niego zaskoczony.

- Skąd wiesz?

- Domyślam się - odpowiedział Viktor. - Wielu Ukraińców przeszło przez to samo. Ucieczka przed wojną, zostawienie wszystkiego, niepewność, czy kiedykolwiek będą mogli wrócić.

Stefan milczał przez chwilę, przetwarzając tę informację.

- Olga nigdy nie mówiła, dlaczego wyjechała z Rosji - powiedział w końcu. - Wspominała tylko, że w Rosji Putina nie było dla niej miejsca.

- Zapewne ma ku temu powody - zauważyła Marta. - Niektóre historie są zbyt bolesne, by je opowiadać. Niektóre mogą być nawet niebezpieczne do opowiedzenia.

Siedzieli w ciszy, każde pogrążone we własnych myślach. Na zewnątrz deszcz w końcu ustał, ale sytuacja wciąż była krytyczna - poziom wody podnosił się, kolejne dzielnice były zalewane, służby ratunkowe pracowały nieustraszenie.

- Pójdę sprawdzić, co z Amelią i François - powiedział w końcu Viktor, wstając. - Musimy wiedzieć, czy czegoś potrzebują.

Gdy wyszedł do kuchni, by zadzwonić, Stefan spojrzał na Martę z powagą.

- Dziękuję - powiedział cicho. - Nie tylko za dach nad głową, ale za... zrozumienie. Za nie zadawanie zbyt wielu pytań.

Marta uśmiechnęła się łagodnie.

- To część mojej pracy - odpowiedziała. - Jako psycholog wiem, kiedy dać ludziom przestrzeń, a kiedy naciskać.

- To więcej niż praca - zaprotestował Stefan. - To... dobroć. Empatia. Nie każdy ją ma.

Marta zarumieniała się lekko, słysząc niemal echo słów, które Viktor powiedział jej wcześniej tego dnia.

- Jak długo znasz Olgę? - zapytała, zmieniając temat. - Poza projektem, mam na myśli.

Stefan zawahał się.

- Kilka miesięcy - przyznał. - Spotykaliśmy się nieformalnie, jako znajomi. Ale ostatnio... to zaczęło się zmieniać w coś więcej.

- I dlatego pojechałeś jej szukać, mimo niebezpieczeństwa - stwierdziła Marta, nie pytając.

Stefan przytaknął, a na jego twarzy pojawił się wyraz, którego Marta nigdy u niego nie widziała - mieszanina troski, niepewności i czegoś, co mogło być zakochaniem.

- Nie mogłem jej tam zostawić - powiedział po prostu. - Nie mogłem siedzieć bezpiecznie w domu, wiedząc, że ona może być w niebezpieczeństwie.

- Rozumiem - odpowiedziała Marta, i naprawdę rozumiała. Sama czuła ulgę, wiedząc, że Viktor jest bezpieczny, pod jej dachem. Że nie musi się o niego martwić.

Viktor wrócił do salonu.

- Amelia i François są w schronisku w liceum na wzgórzu Wawelskim - poinformował ich. - Są bezpieczni, ale Amelia straciła prawie wszystko, co miała w mieszkaniu. Woda zalała jej parter i pierwsze piętro.

- A jej galeria? - zapytała Marta, wiedząc, jak ważna była dla Amelii.

- Też zalana - odpowiedział Viktor ponuro. - Większość dzieł udało się uratować, ale sam budynek jest poważnie uszkodzony.

Stefan pokręcił głową ze współczuciem.

- Kiedy to wszystko się skończy, musimy pomóc im obojgu - powiedział. - Amelia będzie potrzebowała wsparcia przy odbudowie galerii.

- A Olga będzie potrzebowała wszystkiego - dodała Marta. - Od ubrań po nowe mieszkanie.

- Pomogę jej - powiedział Stefan stanowczo. - Finansowo, logistycznie, jakkolwiek będzie trzeba.

Marta i Viktor wymienili spojrzenia. Ten kryzys, ta powódź, stała się katalizatorem, ujawniającym ukryte uczucia, przyspieszającym rozwój relacji, które dotąd kiełkowały powoli, ostrożnie.

Nagle z sypialni dobiegł ich krzyk. Olga. Wszyscy troje zerwali się na równe nogi i pobiegli do pokoju.

Olga siedziała na łóżku, blada jak ściana, z szeroko otwartymi oczami pełnymi przerażenia.

- Siergiej! - krzyknęła po rosyjsku. - Gdzie Siergiej? On utopitsa!

Stefan natychmiast usiadł obok niej, biorąc jej dłonie w swoje.

- Olga, to ja, Stefan - powiedział łagodnie. - Jesteś bezpieczna. Miałaś zły sen.

Olga patrzyła na niego przez chwilę niewidzącym wzrokiem, po czym powoli wróciła do rzeczywistości. Jej oddech uspokoił się, napięcie w ciele zelżało.

- Stefan - powiedziała cicho, tym razem po polsku. - Przepraszam. Miałam... koszmar.

- Nic się nie stało - zapewnił ją, nie wypuszczając jej dłoni. - Jestem tutaj. Wszyscy jesteśmy.

Marta i Viktor stali w drzwiach, niepewni, czy powinni zostać, czy dać im prywatność. W końcu Marta zdecydowała.

- Przygotuję ci herbatę, Olga - powiedziała ciepło. - A może jesteś głodna? Mamy zupę.

Olga pokręciła głową.

- Tylko herbatę, proszę - odpowiedziała. - I... czy możecie zostać na chwilę? Wszyscy. Nie chcę być sama.

- Oczywiście - zapewnił ją Viktor, wchodząc głębiej do pokoju i siadając na krześle przy biurku.

Marta poszła do kuchni przygotować herbatę, a gdy wróciła, zastała Olę siedzącą na łóżku, otuloną kocem, ze Stefanem u boku. Viktor stał przy oknie, patrząc na

deszczowy Kraków.

– Proszę – powiedziała, podając kubek Oldze. – Z miodem i cytryną, dobrze?

Olga przytaknęła z wdzięcznością, biorąc kubek drżącymi dłońmi. Przez chwilę w pokoju panowała cisza, przerywana tylko odgłosem deszczu uderzającego o szyby.

– Muszę wam coś powiedzieć – powiedziała w końcu Olga, patrząc na herbatę zamiast na nich. – Powinniście wiedzieć, z kim mieszkacie pod jednym dachem.

– Olga, nie musisz... – zaczął Stefan, ale przerwała mu delikatnym gestem.

– Muszę – powiedziała stanowczo. – Po tym, co dla mnie zrobiliście, zasługujecie na prawdę.

Odstawiła kubek na stolik nocny i wzięła głęboki oddech.

– Wyjechałam z Rosji w 2015 roku, po aresztowaniu mojego partnera, Siergieja – zaczęła, a jej głos był cichy, ale pewny. – Był dziennikarzem śledczym, pisał o korupcji, o wojnie w Ukrainie, o zbrodniach reżimu. Ja tłumaczyłam jego artykuły na angielski, francuski, niemiecki. Pewnego dnia przyszli po niego. Zarzuty: zdrada stanu, szpiegostwo, antyrosyjska propaganda.

Viktor, stojący przy oknie, drgnął nieznacznie na te słowa.

– Mnie nie aresztowali – kontynuowała Olga. – Może dlatego, że byłam tylko tłumaczką, może czekali na więcej dowodów. Przyjaciele ostrzegli mnie, że jestem na liście do zatrzymania. Miałam dwadzieścia cztery godziny, by wyjechać.

– I zostawiłaś wszystko – powiedziała cicho Marta.

Olga przytaknęła.

– Wszystko. Dom, pracę, przyjaciół, rodzinę. Wzięłam tylko paszport, trochę pieniędzy, laptop z najważniejszymi dokumentami. Wyjechałam do Finlandii, potem do Polski. Zaczęłam od nowa. Nowa tożsamość, nowa praca, nowe życie.

– A Siergiej? – zapytał Viktor, choć coś w jego tonie sugerowało, że domyślał się odpowiedzi.

Olga spojrzała na niego, a w jej oczach był stary ból.

– Zmarł w więzieniu w 2017 roku – powiedziała, a jej głos lekko zadrżał. – Oficjalnie: zawał serca. Nieoficjalnie: został zamordowany.

W pokoju zapadła cisza. Nikt nie wiedział, co powiedzieć wobec tak głębokiego cierpienia, tak niepojętej straty.

- Kiedy zobaczyłam wodę wlewającą się do hotelu - kontynuowała Olga - coś we mnie pękło. Znowu musiałam uciekać, znowu zostawiać wszystko. To jak... jak koszmar, który się powtarza.

Stefan objął ją ramieniem, przyciskając do swojego boku w geście ochrony i wsparcia.

- Tym razem nie jesteś sama - powiedział cicho. - Masz nas.

Olga oparła głowę na jego ramieniu, zamykając oczy.

- Dziękuję - szepnęła. - Wszystkim wam.

Viktor podszedł do łóżka i stanął przed Olgą, patrząc na nią intensywnie.

- Przekażę ci wiadomość od mojej matki - powiedział po rosyjsku. - Powiedziałyby: "Wytrzymałaś więcej, niż ktokolwiek powinien. Jesteś silniejsza, niż myślisz. I zasługujesz na szczęście, nawet jeśli trudno ci w to uwierzyć."

Olga spojrzała na niego zaskoczona, a potem jej twarz rozjaśnił słaby uśmiech.

- Twoja matka brzmi jak mądra kobieta - odpowiedziała, również po rosyjsku.

- Jest - przytaknął Viktor z własnym uśmiechem. - I miałyby rację.

Marta, która nie rozumiała ich wymiany zdań, poczuła mimo to ciepło na widok tej solidarności, tego mostu między Ukraińcem a Rosjanką - mostu zbudowanego na wspólnym doświadczeniu utraty, ucieczki, budowania życia na nowo.

- Myślę, że powinniśmy pozwolić Oldze odpocząć - powiedziała łagodnie. - Ale jesteśmy tuż obok, gdybyś czegośkolwiek potrzebowała.

Olga przytaknęła z wdzięcznością.

- Chciałabym jeszcze chwilę porozmawiać ze Stefanem - powiedziała. - Jeśli to nie problem.

- Oczywiście - odpowiedziała Marta, kierując się do drzwi. - Weź tyle czasu, ile potrzebujesz.

Viktor podążył za nią, zamykając za sobą drzwi sypialni i zostawiając Stefana i Olgę sam na sam.

Gdy wrócili do salonu, Viktor usiadł ciężko na kanapie, a na jego twarzy malowało się zmęczenie i smutek.

- To musiało być dla ciebie trudne - powiedziała Marta, siadając obok niego. - Słuchać jej historii, wiedząc, że to twój kraj...

- To nie mój kraj wypędził Olgę - przerwał jej Viktor, a w jego głosie brzmiała gorycz. - To reżim Putina. To nie to samo.

Marta skinęła głową, rozumiejąc to rozróżnienie.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam zrównywać.

Viktor westchnął, a napięcie opuściło jego ciało.

- Wiem - odpowiedział łagodniej. - Po prostu... to trudne. Słuchać takich historii i wiedząc, że podobne rzeczy dzieją się codziennie. Że ludzie tacy jak Siergiej umierają w więzieniach, że ludzie tacy jak Olga muszą porzucać wszystko i uciekać.

Marta przytaknęła, pozwalając mu mówić. Wyczuwała, że to coś, co Viktor potrzebował z siebie wyrzucić.

- I jednocześnie - kontynuował - mamy tu Stefana, Polaka, gotowego zaryzykować dla Rosjanki. Ciebie, otwierającą dom dla nas wszystkich. François szukającego Amelii. To pokazuje, że mimo wszystkich różnic, wszystkich historycznych zaszłości, wciąż jesteśmy ludźmi, zdolnymi do troski, do współczucia.

- To chyba właśnie to, o czym jest nasz projekt - zauważyła Marta cicho. - O tym, jak wielkie historyczne procesy, jak transformacja, wpływają na zwykłych ludzi. Jak kształtują ich życie, ich wybory, ich relacje.

Viktor spojrzał na nią z nowym rodzajem uznania.

- Masz rację - powiedział. - Może dlatego ten projekt jest tak ważny. Nie tylko dla nauki, dla zrozumienia transformacji, ale dla nas. Dla naszego własnego zrozumienia siebie nawzajem, naszej historii, naszych traum.

Marta poczuła, jak jej serce wypełnia się ciepłem na te słowa. Viktor, zwykle tak zdystansowany, tak ostrożny w wyrażaniu uczuć, nagle otworzył się przed nią w sposób, którego się nie spodziewała.

- Viktor - zaczęła, nie wiedząc dokładnie, co chce powiedzieć, ale czując, że ten moment jest ważny, że nie może go zmarnować.

Viktor spojrzał na nią, a w jego oczach było coś nowego - decyzja, determinacja, pewność.

- Marta - powiedział cicho, pochylając się ku niej. - Myślę, że się w tobie zakochuję.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, jego usta znalazły jej usta, a jego dłonie delikatnie ujęły jej twarz. Pocałunek był nieoczekiwany, ale nie niechciany. Marta odpowiedziała na niego całym sercem, całą duszą, wiedząc, że to początek czegoś nowego, czegoś prawdziwego.

Gdy w końcu się od siebie oderwali, oboje byli lekko oszołomieni, jakby nie do końca wierzyli w to, co się właśnie wydarzyło.

- Przepraszam - powiedział Viktor, choć w jego oczach nie było żalu. - Powinienem być zapytać.

- Nie przepraszaj - odpowiedziała Marta z uśmiechem. - Odpowiedziałabym "tak".

Viktor roześmiał się cicho, a w jego śmiechu był rodzaj ulgi, wyzwolenia.

- W takim razie mogę cię pocałować jeszcze raz? - zapytał z figlarnym błyskiem w oku.

- Zdecydowanie tak - odpowiedziała, pochylając się w jego stronę.

Ten drugi pocałunek był dłuższy, głębszy, bardziej pewny. Był potwierdzeniem tego, co rozwijało się między nimi od miesięcy - wzajemnego zrozumienia, szacunku, pragnienia.

Na zewnątrz deszcz w końcu przestał padać, choć woda wciąż stała wysoko na zalanych ulicach. Kraków zaczynał powoli wracać do życia, służby ratunkowe kontynuowały swoją pracę, ludzie pomagali sobie nawzajem w ewakuacji, w sprzątaniu, w ratowaniu tego, co zostało.

A w mieszkaniu Marty, czworo obcych sobie jeszcze niedawno ludzi znalazło coś, czego być może nie spodziewali się znaleźć w ramach projektu badawczego - głębokie, ludzkie połączenie, które przekraczało granice narodowe, kulturowe, historyczne. Połączenie, które było może najważniejszym wynikiem ich badań nad transformacją - dowodem, że mimo wszystkich podziałów, wszystkich różnic w doświadczeniach, ludzie wciąż potrafią się odnaleźć, zrozumieć, pokochać.

Między nami a prawdą

François Lefevre siedział przy małym stoliku w schronisku zorganizowanym w szkole na wzgórzu Wawelskim, obserwując Amelię rozmawiającą przez telefon. Była to część budynku zaadaptowana na tymczasowe mieszkania dla ewakuowanych - sala gimnastyczna podzielona na boksy przy pomocy parawanów, z połowymi łózkami, kocami, podstawowymi udogodnieniami. Nie było to luksusowe zakwaterowanie, ale dawało dach nad głową, bezpieczeństwo, ciepły posiłek.

Amelia wróciła do stolika, odkładając telefon z westchnieniem.

- To była moja asystentka - powiedziała, siadając naprzeciwko François. - Woda w galerii osiągnęła półtora metra wysokości. Wszystkie instalacje elektryczne są zniszczone, podłogi do wymiany, ściany do osuszenia i odmalowania.

- Ubezpieczenie to pokryje? - zapytał François, nalewając jej herbaty z termosu.

Amelia wzruszyła ramionami.

- Częściowo. Ale to potrwa miesiące. A ja mam zaplanowane wystawy, zobowiązania wobec artystów...

François widział, jak bardzo jest zdenerwowana, mimo pozorów spokoju, które starała się zachować. Jej zwykle perfekcyjnie ułożone włosy były w nieładzie, nie miała makijażu, a na jej twarzy malowało się zmęczenie i stres.

A mimo to, nawet w tych okolicznościach, wciąż była piękna. Może nawet bardziej niż zwykle - ta bezbronność, ta naturalność, czyniły ją w jego oczach jeszcze bardziej fascynującą.

- Pomogę ci - powiedział, kładąc dłoń na jej dłoni. - Finansowo, organizacyjnie, jak tylko będziesz potrzebowała.

Amelia spojrzała na niego z wdzięcznością, ale i z cieniem wątpliwości.

- Nie mogę przyjąć od ciebie pieniędzy, François - powiedziała. - To zbyt osobiste, zbyt... zobowiązujące.

- Nie muszą to być moje osobiste pieniądze - wyjaśnił. - Mogę pomóc w znalezieniu grantów, sponsorów, może jakieś francuskie instytucje kulturalne byłyby zainteresowane współpracą...

Amelia uśmiechnęła się lekko.

- Zawsze masz rozwiązanie - zauważyła. - Zawsze wiesz, co powiedzieć.

François nie wiedział, czy to komplement, czy subtelna krytyka. Z Amelią nigdy nie mógł być pewien - była jak książka napisana częściowo w języku, którego nie znał w pełni.

- Nie zawsze - przyznał. - Często czuję, że nie wiem, co powiedzieć. Zwłaszcza tobie.

Amelia spojrzała na niego zaskoczona tą szczerością.

- Dlaczego?

François zawahał się, szukając właściwych słów.

– Bo jesteś... złożona – powiedział w końcu. – Wielowarstwowa. Czasem czuję, że gdy udaje mi się zrozumieć jedną twoją część, odkrywam, że jest jeszcze dziesięć innych, których nie znam.

Amelia milczała przez chwilę, wpatrując się w swoją herbatę.

– To nie jest łatwe, być sobą – powiedziała w końcu cicho. – Autentycznie sobą. Zwłaszcza gdy... gdy spędziłeś całe życie, ukrywając różne części siebie.

– Z powodu historii twojej rodziny? – zapytał ostrożnie.

Przytaknęła.

– Z powodu tego, kim był mój ojciec przed 1989 rokiem. Z powodu tego, jak musieliśmy się adaptować po transformacji. Z powodu tego, jak środowisko artystyczne postrzega religię, tradycję...

François słuchał uważnie, wiedząc, że to rzadki moment otwartości z jej strony.

– Po naszej ostatniej... dyskusji – kontynuowała, nawiązując do ich konfliktu po prezentacji o religii i transformacji – dużo myślałam. O tym, dlaczego tak zareagowałam. O tym, dlaczego ta wystawa, którą zorganizowałam, była tak jednoznacznie krytyczna wobec religii, mimo że ja sama... mimo mojej własnej, skomplikowanej relacji z wiarą.

François czekał cierpliwie, nie chcąc przerywać jej toku myśli.

– I myślę, że to kwestia autentyczności – powiedziała w końcu. – A raczej jej braku. Przez całe życie adaptowałam się do oczekiwań różnych środowisk. W domu byłam dobra# ZWIERCIADŁA

Reflexio, CZĘŚĆ IV: PRZEMIANY WEWNĘTRZNE (2025)